

•EMIGRACJA•
MALCOLM XD

Copyright © by Malcolm XD MMXIX

Copyright © by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Wydanie I poprawione

Warszawa MMXIX

Spis treści

10 000–19 999	9
Dwa słowa o mnie	19
Audi A4	25
Autokar	35
Tir	41
Kamper	53
Victoria Station	67
Roman i śmietnik historii	75
Squat	95
Riksza	105
Krąg Dialogu	121
Sejf	129
Nowy flat	139
Współlokatorzy	147
Hackney	153
No-go go-go	167
Palec	175
Carlos	181
Farma kapusty	189
Pole	205
Jak trzy razy stracić majątek	207
Slowford	215
Pogrom	221
Z lewej na prawą, z prawej na lewą	235

10 000–19 999

Pierwsze 19 lat mojego życia spędziłem w jednym z miejsc, które Główny Urząd Statystyczny określa jako miasta o liczbie ludności 10 000–19 999. Nie będę podawał jego nazwy, bo moje miasto nie jest znane prawie z niczego, więc i tak nic ona wam nie powie. Według wspomnianego GUS takich miast jest w Polsce dokładnie 187. Jednak gdy mówię, że nie jest znana prawie z niczego, mam na myśli, że w niektórych kręgach znana jest z jednej rzeczy, jednak nie są to kręgi szczególnie popularne i wpływowe. Mowa o środowisku sympatyków agrestu. Moje miasto rodzinne i powiat, w którym się znajduje, jest europejską stolicą agrestu, którą samo się proklamowało. Przypomina o tym przyozdobiona logiem Unii Europejskiej tablica informacyjna znajdująca się przy drodze krajowej. Na tablicy są wymienione jeszcze inne atrakcje turystyczne naszego miasta, czyli XIX-wieczny zespół

parkowy, głaz narzutowy o kształcie jajka (jak się go dotknie, to przynosi szczęście), który obecnie stoi na rynku, oraz dwór. Dworu tak naprawdę nie ma i kiedyś w miejscu jego piktogramu na unijnej tablicy informacyjnej była synagoga, która faktycznie istnieje, ale potem część radnych doszła do wniosku, że z synagogami to jest delikatny temat, bo nigdy nie wiadomo, kto i o co się może przypierdolić, więc wymyślili sobie nieistniejący dwór i nim zakleili ją na tablicy. U nas wszyscy wiedzą, że dworu nie ma, więc nikt tam nie chodzi, bo nie ma gdzie, a jak już przyjeżdża jakiś turysta i o niego pyta w punkcie informacyjnym, to mu mówią, że teren jest obecnie zamknięty z powodu rewitalizacji i nie można wchodzić, więc żeby sobie poszedł dotknąć tego kamienia.

Z kamieniem z parku swoją drogą raz była opcja taka, że go ukradli. Przez tydzień wszyscy się zastanawiali, kto mógłby zająć kamień, co waży z 10 ton. Odpowiedź na to pytanie przyszła wraz z pojawieniem się na wjeździe do miejscowości 20 kilometrów dalej tablicy informacyjnej zachęcającej do odwiedzin przynoszącego szczęście głazu. Wcześniej jej nie było, bo w tamtym mieście nie mieli nawet wyimaginowanego dworu, więc nie byłoby żadnych przesłanek do umieszczenia jakiejkolwiek tablicy. Jej pojawienie się wzbudziło słuszne podejrzenia i nasz burmistrz pojechał do nich sprawdzić, czy przypadkiem to nie nasz kamień się u nich zawieruszył, i okazało się, że tak właśnie było. Natomiast tamci twardo twierdzili, że ten kamień do nich przepchnął lodowiec tysiące lat temu i żeby nasz burmistrz im udowodnił, że niby było inaczej. No to nasz burmistrz zaczął latać po rynku i brać na świadków losowych ludzi: matki z dziećmi na spacerach, emerytów siedzących w kawiarni, a nawet żuli. Wszyscy mieszkańcy tamtego miasta zdawali sobie jednak sprawę, że pojawienie się kamienia jest dla nich dziejową szansą na skok cywilizacyjny, więc byli częścią ogólnomiejskiej konspiracji i utrzymywali, że kamień na rynku jest od przynajmniej 5, jak nawet nie 10 tysięcy lat. Mieli przewagę liczebną 10 000–19 999 do jednego, więc nasz burmistrz musiał w końcu uciekać, ale potem pogrzebał w Internecie i znalazł zdjęcia z uroczystości na Boże Ciało z tamtego miasta sprzed roku, na których wyraźnie widać, że żadnego kamienia na rynku nie ma. Wysłał to burmistrzowi tamtych, a on odpowiedział, że w takim razie to musiał nam ukrąść jakiś pijany wandał wracający z imprezy i działający bez porozumienia z kimkolwiek i podrzucić do nich. Natomiast skoro już tak się stało, to żeby teraz oficjalnie przenieść kamień z powrotem, to byłoby trzeba to zrobić trybem formalnym: z pozwoleniem od konserwatora zabytków, od wojewody, od ekologów i nawet od samej Unii Europejskiej, bo w końcu zapłaciła za tablicę informacyjną, którą trzeba by zdemontować, gdyby kamienia jednak nie było. Nasi urzędnicy wiedzieli, że to zajmie z 10 lat, więc na najwyższych szczeblach władzy samorządowej zapadła decyzja o akcji partyzanckiej. To znaczy, żeby nasi strażacy do spółki z zakładem usług komunalnych pojechali w nocy do tamtego miasteczka, bo ci pierwsi mieli dźwig, a ci drudzy ciężarówkę, i ten kamień zająć z powrotem bez żadnego trybu. Mieszkańcy miasta 20 kilometrów dalej byli jednak na taki wariant przygotowani, bo jak o 3 w nocy ci od nas wjechali do nich na rynek, to zastali ochotniczą straż obywatelską pełniącą przy kamieniu wartę. Ta straż zaczęła drzeć mordę i zaraz zleciało się pół miasta i tych naszych o mało co nie zlinczowali. A konkurencyjni strażacy stamtąd, którzy przyjechali swoim wozem blokować nasz wóz, jak by chciał uciekać z kamieniem na sygnale, to nawet powiedzieli, że gdyby teraz im się przypadkiem samochód podpalił, to oni by im nie mogli pomóc, bo rzekomo skończył się budżet na lanie wody na ten rok.

W tej sytuacji nasz burmistrz poszedł aż do samego ogólnopolskiego szefa partii politycznej, z której był on, jak i burmistrz miasta obok, i poprosił o interwencję. Ten drugi burmistrz oczywiście nie chciał się na początku zgodzić na oddanie, bo wiedział, że będzie go to kosztowało posadę, ale szef partii mu za to obiecał jedynekę na liście w wyborach do sejmiku

wojewódzkiego, więc w końcu się dogadali, chociaż zajęło im to z 2 tygodnie. Jak nasi strażacy drugi raz pojechali po kamień, to jeden facet stamtąd w akcie desperacji się do niego przykuł łańcuchem i wyrzucił klucz, bo w międzyczasie, przeczuwając nadchodzący boom turystyczny wywołany efektem kamienia, zdążył zainwestować oszczędności życia w wyremontowanie pokoi pod agroturystykę. Nasz powiat to jednak nie jest jakaś Puszcza Białowieska, żeby ktoś się w takich sytuacjach przejmował ludzkim życiem i zdrowiem, więc strażacy tego faceta załadowali dźwigiem na ciężarówkę razem z kamieniem, przywieźli do nas i postawili nie jak wcześniej w parku na uboczu, tylko na rynku, żeby nikt go znowu nie zajebał – co było o tyle prawdopodobne, że w okolicy jest sporo innych miejscowości pozbawionych większych walorów turystycznych. Ciężarówka zakładu usług komunalnych przywracająca kamień macierzy wjeżdżała na rynek przy wiwatach społeczności lokalnej, która w przeszłości zbytnio się nim nie interesowała, ale w życiu tak to bywa, że niektóre rzeczy docenia się dopiero wtedy, gdy się je straci. Natomiast przykuty łańcuchem typ, gorzko żałując swojej decyzji, siedział na naszym rynku przez kilka godzin jak w średniowiecznych dybach, wystawiony na obelgi, plucie i jajka rzucane przez mieszkańców mojego miasta. Oprócz jajek ktoś nawet rzucił pomysł, żeby tego faceta symbolicznie i publicznie ukamienować, w myśl pochodzącego ze starożytności Kodeksu Hammurabiego, ale na szczęście jego żona przyjechała z zapasowymi kluczami od kłódki i go odpięła. Wracając jednak historią, tak jak kamieniem, do mojego miasta, to co wakacje odbywają się u nas Dni Agrestu (które de facto składają się z tylko jednego dnia, ale mówi się DNI, bo to lepiej brzmi), których program jest rok w rok dosyć podobny. Zaczynamy o 12:00 mszą świętą w kościele św. Doroty. Święta Dorota jest patronką między innymi ogrodników, a według lokalnego kultu świętych nawet agrestu konkretnie. W kościele jest obraz świętej Doroty, która jedną ręką dusi żmiję, będącą zdaniem proboszcza symbolem wrogów, a w drugiej trzyma agrest. Ja tego nie pamiętam, bo jak byłem dzieckiem, to się zbyt dokładnie nie przypatrywałem, ale według wielu mieszkańców agrest u św. Doroty został domalowany około roku 2005, kiedy powstała koncepcja agrestowej promocji kulturalno-ekonomicznej miasta, a wcześniej była tam gałązka oliwna. Może agrest nie jest tematem zbyt porywającym, ale kiedyś nie byliśmy stolicą absolutnie niczego, więc to nadal pewien awans – nawet jeżeli tylko sadowniczy. Cały pomysł z agrestem wyszedł od burmistrza, któremu doskwierało, że jest burmistrzem miasta niebędącego stolicą niczego, oraz od Kąckiego, który jest lokalnym magnatem i największym pracodawcą, posiadaczem setek hektarów gruntów rolnych, na których już chyba się domyślacie, co uprawia. Aha, msza ma oczywiście intencję – wierni modlą się za agrestem naszym, a przeciwko agrestowi chińskiemu, który jest może i tańszy, jednak rakotwórczy, i stanowi zagrożenie dla suwerenności ojczyzny. Chińską stolicą agrestu jest Chaoyang, mieszczące się na północ od Pekinu, czemu poświęcona była cała lekcja geografii w gimnazjum. Dowiedzieliśmy się na niej, że grunty w Chaoyang są zajełbie skażone, co odpowiada za toksyczne właściwości tamtejszego agrestu właśnie. Daje to nam pewną przewagę w walce o tyle nierównej, że tam mieszkają 4 miliony ludzi, a u nas tylko 10 000–19 999. Po mszy świętej rozpoczyna się piknik rodzinny, na który składają się elementy takie jak pokaz wozu strażackiego, malowanie dzieciom twarzy w różne tygrysy i małpy, walenie wody, kiełbasa z grilla, trampolina, bicie się po mordzie, turniej piłki nożnej, wata cukrowa, stragany z lokalnymi wyrobami agrestowymi czy pokaz taneczny. Kulminacyjnym momentem pikniku są zawody w jedzeniu agrestu na czas. Niepobity do dzisiaj rekord to skonsumowane 4,3 kg, ale tego typu rekordzistę potem odwieźli do szpitala. Przed rewolucją agrestową w zawodach jadło się normalnie kiełbasę, po której też jeden typ skończył w szpitalu, co pamiętam bardzo dobrze, bo to był mój wujek. Dyplom ma do tej

pory i zawsze jak jesteśmy u nich na jakimś spotkaniu rodzinnym i wujek już się podjebie, to go zdejmują ze ściany i każe wszystkim oglądać. Nie jest na nim doprecyzowane, ile kiełbasy zjadł, tylko że zajął 1. miejsce, więc w jego opowieściach rekordowa masa rośnie z roku na rok. Wujek patrzy też z góry na współczesnych wyczynowych zjadaczy agrestu, bo jego zdaniem CO ZA SZTUKA TO JEŚĆ, JAK TO SAMA WODA JEST? Oprócz tego, że my musimy tych kiełbasianych opowieści słuchać przy okazji każdych imienin i świąt, to z braku specyfikacji wagi produktu mięsnego wynikły też poważniejsze problemy. Mianowicie, wujek miał wielką spinę ze zwycięzcą zawodów z 2003, który twierdził, że wujek nie pobił jego rekordu i cały czas on ma tytuł mistrza. Sytuacja eskalowała do tego stopnia, że obydwaj zdobyli zdjęcia z Dni (wtedy jeszcze bez AGRESTU, tylko po prostu DNI) 2003 i 2004, na których widoczna jest zjadana przez nich kiełbasa, i poszli do dwóch konkurencyjnych sklepów mięsnych, żeby im na podstawie przedstawionej na zdjęciu kiełbasy wydać ekspertyzę o jej wadze. Problem w tym, że różne gatunki tego wyrobu o tej samej objętości mają różną wagę, w zależności od ilości wody, mięsa czy sposobu przygotowania, więc metr bieżący śląskiej ma zupełnie inną wagę niż metr bieżący myśliwskiej. Skończyło się na tym, że poszli z tymi sprzecznymi ekspertyzami z mordą do wiceburmistrza, który jest odpowiedzialny za organizację tych imprez, że ma jednemu z nich na dyplomie napisać markerem REKORDZISTA, ale po turboawanturze wiceburmistrz odmówił i od tego czasu waga – obecnie już agrestu – skrzętnie zapisywana jest na dyplomach, żeby uniknąć podobnych konfliktów w przyszłości. Niemniej, jak wspominałem, według wujka jedzenie agrestu nie umywa się do jedzenia kiełbasy, co jest zresztą jedyną rzeczą, w której zgadza się z tym typem, co wygrał w 2003.

Równolegle do pikniku odbywają się w domu kultury odczyty i wystawy prac naszych miejscowych artystów. Na nieszczęście dla mnie nie cieszą się one takim zainteresowaniem jak wóz strażacki, bicie po mordzie i malowanie twarzy, więc co roku byłem zmuszony tam siedzieć i robić frekwencję, bo w domu kultury pracuje moja matka i mi kazała. Artyści są zawsze ci sami i moim zdaniem mocno lecą w chuja, bo na przykład taka kobieta, co maluje tylko konie i kwiatki, to według moich obserwacji pokazuje zawsze te same obrazy, co namalowała już z 10 lat temu. 500 złotych co roku za to kasuje i się cieszy, bo kto w końcu odróżni konia tegorocznego od zeszłorocznego.

Najważniejszym elementem dnia jest jednak wieczorny koncert. Podczas koncertów nie ma już tych wszystkich dodatkowych atrakcji, wóz strażacki zjeżdża do remizy, a typ od waty cukrowej jest najebany, więc z aktywności pobocznych pozostaje tylko walenie wody i napierdalanie się. Ze znanych artystów mieliśmy już między innymi Meza, T-Love, Braci Golec i Mandarynę. Krzyczą ze sceny MIASTO O LUDNOŚCI 10 000–19 999 MIESZKAŃCÓW, CZY TU JESTEŚCIE?! A 10 000–19 999 ludności miasta krzyczy ŁOOOOO, dając znać, że tu jest. Korzystając z okazji, krzyczą nawet ci, co wyjechali do Niemiec i na co dzień tu nie mieszkają, tylko przyjechali na tydzień odwiedzić rodzinę i coś załatwić w urzędzie, co moim zdaniem nieco fałszuje rzeczywistość, zawyżając liczbę ludności w oczach przyjezdnych artystów, którzy gotowi pomyśleć, że może być nas nawet 20 000 lub więcej, a to według GUS już zupełnie inna kategoria.

Weźcie pod uwagę, że to, co powyżej opisałem, to najciekawszy dzień w kalendarzu mojej miejscowości. Czasami zdarza się coś budzącego zainteresowanie mieszkańców, jak na przykład wtedy, gdy typ w seicento zapomniał się zatrzymać przed przejazdem kolejowym, ale to nie są wydarzenia cykliczne, więc i nie odnotowuje się ich w wydawanym przez gminę kalendarzu, w przeciwieństwie do Dni Agrestu.

Rozrywki coweekendowe są u nas dosyć ograniczone. Jest pizzeria Vezuvio, gdzie duża pizza jest taka, że nikt nie da rady samemu zjeść. Jest kebab, gdzie można sobie postać

przy takich stolikach dookoła i zawsze się kogoś spotka. Mamy też pub Pod Żaglami, którego nazwa wzięła się stąd, że właściciel chciał go zrobić w klimacie szantowym, chociaż u nas żadnego większego jeziora ani rzeki nie ma. W Żaglach siedzą głównie kuce, w sensie metale, i czasami grają tam miejscowe kuc-zespoły, ale te występy nie mają zbyt wielkiego rozmachu i jak pod prowizoryczną sceną zbierze się 10 osób, to właściciel już robi zdjęcia i wrzuca do neta z podpisem TAK SIĘ BAWIMY POD ŻAGLAMI !!! Typ zawsze stawia spację przed znakami interpunkcyjnymi i strasznie mnie to wkurwia, szczególnie jako syna matki pracującej w domu kultury. Najbardziej rozrywkowym miejscem jest klub PARADISE, gdzie jest dużo sebstwa, a kilka lat temu była nawet opcja, że kogoś pobili na śmierć.

Tak przedstawiają się w mojej rodzinnej miejscowości opcje rekreacyjne. Jeżeli dodamy do tego, że po zakończeniu liceum moje możliwości rozwoju zawodowego obejmowały pracę na farmie agrestu, pracę w supermarkecie lub staż u matki w domu kultury za 350 złotych na miesiąc, to nie zdziwi was chyba, że mając 19 lat i zdaną maturę, postanowiłem złożyć papiery na studia do Warszawy.

Dwa słowa o mnie

Wypadałoby, żebym z dwa słowa powiedział o sobie, skoro chcę was fatygować, żebyście czytali to, co mam do napisania. Bo wyjdzie jeszcze tak, że bym się dostał i zdążył skończyć te studia, a wy dalej nic byście o mnie nie wiedzieli. Czasami łapię się na tym, że opiszę wszystkich dookoła, tylko o sobie samym nic nie powiem, a to może być czasami ważniejsze, niż co za rośliny się u mnie w powiecie uprawia albo kto z kim melanżował, bo w końcu jestem narratorem, to przydałoby się coś o mnie wiedzieć. Mnie to czasami wkurwia, jak w książce o narratorze nic nie wiadomo i jest jakimś widmem, co wszędzie jest i wszystko wie, a nikt go nie widzi, bo to w końcu też człowiek, ma swoje poglądy, przywary i inne cechy, które uczciwie jest wymienić, żeby czytelnik wiedział, czego może się spodziewać.

Urodziłem się w roku 1989 w miejscowości o liczbie ludności 10 000–19 999, jako jedyne dziecko mojej matki i mojego ojca, i w tej kwestii już nic się nie zmieniło. Matka moja pracuje w domu kultury, podczas gdy mój ojciec jest zawodowo raczej nieaktywny, bo padł ofiarą transformacji ustrojowej, chociaż stało się to z jakiegoś powodu już prawie 15 lat po tejże transformacji, a przynajmniej jej początku.

W szkole podstawowej uczyłem się dobrze, w gimnazjum źle, a w liceum średnio. Dobry byłem z polskiego, historii i WOS, zły z muzyki, biologii i chemii, a z pozostałych przedmiotów tak różnie, zależy, jaki temat i czy nauczyciel był w porządku. Ukierunkowanie na przedmioty humanistyczne zawdzięczam matce i temu, że do niej do pracy często chodziłem po szkole. Swoje położenie klasowe w momencie rozpoczęcia tej opowieści określiłbym jako niższa klasa średnia typu zubożała inteligencja. Bo o ile obydwójce moi rodzice mieli wykształcenie wyższe, co nie było w ich czasach aż tak powszechne, to ze względu na wspomnianą transformację ustrojową i niskie nakłady na polską kulturę, szczególnie w jej domach położonych w niedużych miejscowościach, dochodowo lokowaliśmy się poniżej tej słynnej średniej krajowej.

Co do kontaktów towarzyskich, to przez większość życia pozostawałem na bliskich peryferiach grupy rówieśniczej, aczkolwiek nadal w jej obrębie. Tłumacząc na przykładzie, to jak moi starzy pojechali na 2 dni do ciotki Haliny na Kaszuby i zrobiłem imprezę, to przyszły 3 osoby, ale jak ktoś inny robił imprezę, to mimo wszystko mnie zawsze zapraszali.

Dziewczynę miałem dwa razy, w gimnazjum i w liceum, tylko muszę zaznaczyć, że to była ta sama.

Moje największe hobby to jazda na rowerze, bo to bardzo indywidualistyczne zajęcie w porównaniu do takiego choćby tenisa stołowego, gdzie jednak trzeba co najmniej dwie osoby – no chyba że sobie sam podbijasz piłeczkę o paletkę na rekord, ile więcej, ale wątpię, żeby tenisowo-stołowi ortodoksi uznawali to w ogóle za tenisa stołowego, bo w końcu w całym procesie nie bierze udziału żaden stół. Z drugiej strony w przeciwieństwie do na przykład sklejania modeli czy gry w Heroesów 3 na single playerze pozwala obserwować ludzi. Nie myślcie sobie tylko, że jestem jednym z tych typów, co jeżdżą na rowerze po ścieżce za dziewczynami, żeby im się gapić na dupę, bo tu zupełnie nie o to chodzi. Ja lubię sobie pojechać gdzieś daleko, tak 50 czy 100, czy 200 kilometrów, i usiąść pod sklepem albo na plaży miejskiej, albo na zrewitalizowanym rynku i posłuchać, co w tym miejscu ludzie mają sobie do powiedzenia. Jest to o tyle lepsze od jazdy samochodem, że nie ingeruje się tak w przestrzeń i nie płoszy ludzi, bo samochodem to trzeba stanąć, zgasić silnik, trzasnąć drzwiami, i ludzie zaraz patrzą, kto przyjechał, skąd ta rejestracja jest albo ile taki samochód może kosztować. Trudno w tej sytuacji się wtopić w otoczenie i tym samym już się zaburza obserwowany ekosystem. Jak wspominałem, z fizyki byłem słaby, ale jedna rzecz, która mnie zainteresowała, to to, że w niektórych przypadkach już sama obserwacja zaburza stan obserwowanego obiektu. I tak samo jest z tym rowerem i samochodem, bo na rowerze się znajduję w jakiejś sytuacji w sposób cichy i subtelny, a nawet jak mnie ludzie zauważą, to myślą, że gdzieś muszę niedaleko mieszkać, bo przecież bym 100 kilometrów nie przyjechał, żeby na nich popatrzeć i ich posłuchać, więc się zachowują naturalnie, bo w końcu sami swoi.

A słuchać i patrzeć na różnych obcych ludzi zawsze lubiłem dlatego, że potem do tego wyrywka, który się zobaczy i usłyszy, można dorobić całą historię. Na przykład idzie człowiek po ulicy i mówi do kogoś przez telefon, że ten skurwysyn jego brat to go oszukał na spadku po ciotce i całą działkę na Mazurach zajął dla siebie, a jemu tylko 33% mieszkania w Bolesławcu przypadło, i to też kawalerki, co jej teraz bez zgody wujka Włodka i ciotki Wiołki, tych Bobrowskich, nie może sprzedać. No i potem człowiek rozkminia, dlaczego ten brat się tak zachował, skoro są w końcu braćmi, czy może on też ma poczucie krzywdy spadkowej, skąd ciotka miała całą działkę na Mazurach i czy tam jeździli za dzieciaka i ich gryzły komary, a przede wszystkim, czy z Włodzimierzem i Wioletką Bobrowskimi w ogóle da się dogadać, czy to takie dziadki co nic się nie da załatwić, BO JAK SPRZEDAM, TO NIE BĘDĘ MIAŁ, chociaż jest im wcale niepotrzebne.

Z tą obserwacją mam tylko taki jeden problem, że jak spojrzenia moje i obserwowanego obiektu się spotkają, to w 90% przypadków się zaczyna jakiś cyrk. Nie wiem, co mam nie tak z twarzą, matka mówi, że mam po prostu oczy takie pytające, że jestem ciekawy, ale notorycznie jak ktoś się na mnie popatrzy na ulicy, to się do mnie musi o coś przypierdolić. Jak jadę bussem i jest tyle ludzi, że każdy ma akurat dwa miejsca dla siebie, i wejdzie jakiś typ najebany, to zawsze stanie przy kierowcy, rozejrzy się ludziom po twarzach, popatrzy na mnie i już leci kurwa choćby na sam koniec autokaru i przez torbę baby, co nieprzepisowo ją położyła w przejściu, żeby tylko się do mnie przysiąść i mi opowiedzieć całe swoje życie. Albo jak nas za małolata policja łapała za picie w parku i staliśmy na przykład w 8 osób przed patrolem, to też się policjant patrzył po wszystkich, aż wyhaczył mnie i OOO PANA TO POPROSZĘ NA STRONĘ i zaraz kieszenie sprawdzane i mandat. No i oczywiście klasyczne pytanie od Sebow CO SIĘ KURWA PATRZYSZ, a ja mówię, że się nie patrzę, a on mówi NO PRZECIEŻ KURWA WIDZĘ i już awantura.

Zostawiając jednak już temat mojego wzroku, to jeszcze powiem o mojej rodzinie. Nie wiem, czy to takie istotne, jednak zauważyłem, że jak kogoś opisują na Wikipedii, to po pierwszym

akapicie wstępu zawsze jest, z jakiej był rodziny, więc pozwolę sobie założyć, że jednak trochę istotne, skoro encyklopedyści tak robią.

Wychowany zostałem w wierze rzymsko-katolickiej-okazjonalnie-praktykującej. Moja matka uprawiała raczej katolicyzm domowy, czyli żeby na Wielkanoc było jajko z majonezem, a ojciec to zależnie od jego bieżącej afiliacji politycznej, których miał wiele, bo w swojej walce o naprawienie wyrządzonych mu szkód dziejowych zawiązywał najdziwniejsze sojusze. Starzy poznali się na studiach i potem przyjechali do mojej miejscowości liczącej 10 000–19 999 mieszkańców, z której pochodził mój ojciec i tutaj miał korzenie, perspektywy zawodowe i mieszkanie w spadku po moich dziadkach, którzy wcześniej zmarli. Moja matka natomiast była z Warszawy, ale za ojcem się przeprowadziła do nas. Muszę ze smutkiem przyznać, że ojciec był koniunkturalistą i zapisywał się do każdej partii i organizacji, która mu obiecywała, że w końcu będą znowu go szanować, bo ojciec bardzo cierpiał na niedostatek szanowania go przez Polskę i tryby historii. Niemniej równocześnie należy dodać, że był koniunkturalistą ideowym, któremu zawsze udało się nietrafnie przewidzieć nadchodzącą koniunkturę i tym samym kończył z dupą na wietrze i nadal nieszanowany. Jak przewidywał, że w wyborach wygra lewica, to wygrywała prawica, a jak prawica, to wygrywała lewica. A jak jakimś cudem ostrożnie postawił na remis i centrum czy koalicję, to wygrywał jakiś kurwa lokalny klub samorządowy, co był ze wszystkimi pokłócony. Teraz już żadni politycy nie chcą ojca brać nawet do rozdawania ulotek, bo wszyscy mówią, że przynosi pecha. Tym samym od mniej więcej tego czasu, kiedy kończyłem liceum, ojciec się nie angażuje już w nic, bo przestał w cokolwiek wierzyć, a w efekcie nawet powoli przestał się prawie w ogóle odzywać – nawet jak w telewizji pokazują coś, co go kiedyś bardzo bulwersowało, to teraz już tylko mu lekko wargę zadrży.

Aktywna za ich dwójkę jest z kolei moja matka. Wynika to po części ze specyfiki jej pracy, bo jak zarabia 2100 na łapę złotych na etacie (i to wliczając doroczną premię uznaniową, której może równie dobrze nie być) jako pracownik kultury, to sobie szuka w tej kulturze dodatkowych zajęć. Robiła krajoznawczą wymianę młodzieży z jakiegoś miasta o liczbie ludności 10 000–19 999 w Chorwacji do nas i z powrotem. Wyznaczała ścieżkę przyrodniczo-rekreacyjną pod nordingwalking z Funduszy Norweskich. Praktycznie sama też co roku robi u nas kino letnie, bo też trochę można było dorobić. Myślę, że poza aspektem finansowym, to matka też lubi mieć zajęcie, żeby nie siedzieć z ojcem w domu, bo u nas jest – nazwijmy to – duszna atmosfera.

Podsumowując, to powiedziałbym, że do momentu, w którym rozpoczęła się ta historia, to życie miałem przeciętne łamane przez normalne. No a potem to było już bardzo różnie.

Audi A4

Pomiędzy maturą a rozpoczęciem edukacji wyższej w stolicy, na którą miałem nadzieję, miały jednak minąć 4 miesiące, czyli tak zwane najdłuższe wakacje w życiu, bo matury skończyliśmy w maju, a studia zaczynają się w październiku. O ile to okres wyjątkowy, jak sama nazwa wskazuje, to nie można powiedzieć, że bym ja lub moi rówieśnicy-maturzyści zagospodarowali go w jakiś sposób wyjątkowy jak na standardy miejscowości o liczbie ludności 10 000–19 999. Prawie każdy z nas pracował gdzieś na ćwierć czy pół etatu, ewentualnie pomagał w interesie starym, jeżeli prowadzili franczyzę sklepu małopowierzchniowego, jak rodzice Goški, czy mieli średnio łamany przez słabo prosperujący warsztat lakierniczy, jak stary Stomila. Stomil to mój przyjaciel jeszcze z podstawówki, który pseudonim swój zawdzięcza temu, że najpóźniej z nas wszystkich miał Internet w domu i będąc w gimnazjum, niechcący ujawnił, że jest głęboko przekonany, że prezerwatywy zakłada się na język, na co koronnym dowodem miało być, że istnieją

prezerwatywy smakowe. A wiecie, taki ciąg myślowy prezerwatywa – guma – opony – zakłady przemysłu gumowego Stomil, i tak drogą skojarzeń powstała jego ksywa. Internet odgrywał kluczową rolę w naszej edukacji w zakresie antykoncepcji, bo przeznaczone na nią godziny szkolne w systemie oświaty zostały podporządkowane zagrożeniu o wyższym priorytecie niż choroby weneryczne czy nieplanowane ciążę, czyli chińskiej ofensywie przeciwko gospodarce polskiej, ze szczególnym uwzględnieniem dumpingowych praktyk w rolnictwie.

Po pracy szło się do domu na obiad, potem grało na kompie, a wieczorem ustawiało z ekipą ze szkoły. Patrząc z perspektywy czasu, to nasza ekipa była bardzo egalitarna, bo jak się mieszka w mieście o liczbie mieszkańców 10 000–19 999, to nie można sobie pozwolić na taki luksus, żeby przyjaźnić się tylko z ludźmi, których się lubi i którzy są do ciebie podobni, bo takich było zwyczajnie za mało. W naszej ekipie był więc zarówno Kudłaty z Olgą, czyli para kucy, jak i Adaś-dresik, który już nawet czasami dostawał w klubie Paradise do sprzedania trochę piguł od starszych dresów. Był Tadzio, który nie miał matki, tylko ojca na rencie, dzięki czemu był z nas najbardziej obrotny, bo żeby mieć na browar czy nowe ubranie, to zawsze musiał się nazapierdalać, a z drugiej strony była też Klaudia, która była chrześnicą samego magnata Kąckiego, potentata agrestowego, a jej matka była radną, i Klaudia z tego tytułu miała dwutygodniową przerwę od siedzenia z nami „na lasku”, „na parku” czy na rynku, bo pojechała na obóz angielskiego na Maltę. Według relacji Klaudii ten wypadek dobrze wyglądał tylko na zdjęciach na portale społecznościowe, bo trafiła na taki turnus, gdzie połowa ludzi była z Hiszpanii, a druga z Belgii, więc nikt ze sobą nie rozmawiał po angielsku, tylko po hiszpańsku, walońsku i niderlandzku, bo tak w Belgii mówią, bo się nie mogą dogadać, żeby był jeden język. A kursy na Malcie jak widać nie spełniają swojej roli.

Łącznie stałej ekipy było nas z 10 osób, a w szczytowych momentach, jak ktoś na przykład robił urodziny, to nawet 20, i szczęśliwie wszyscy mówili po polsku. Wyjątkiem był Łukasz pseudonim Babcia, bo on nieźle mówił też po niemiecku, co zawsze chciał wszystkim udowodniać, jak się najebał – A ZAPYTAJ MNIE NA PRZYKŁAD, JAK JEST WÓZEK WIDŁOWY, NO ZAPYTAJ! NIE MUSISZ, JA SAM POWIEM! GABELSZTAPLER! Cała jego rodzina siedziała od kilku lat pod Leipzig i przyjeżdżała tylko 2 razy do roku – na Boże Narodzenie i na Dni Agrestu. Babcia chodził na niemiecki dodatkowo po szkole, bo nie wiązał swoich planów życiowych z Polską, tylko składał papiery do jakiejś szkoły policealnej w Niemczech. Co istotne, ksywa Babci wzięła się stąd, że był w na tyle dobrej sytuacji, że był eurosierotą. Bo, jak wspominałem, jego starzy i dwóch braci byli w Niemczech, a on w Polsce mieszkał tylko z babcią, żeby już tutaj skończyć liceum. Babcia Babci miała się nim teoretycznie opiekować, ale była mocno niedołęzna, więc to Babcia zajmował się babcią i codziennie o 20:00, niezależnie od okoliczności, mówił ZARAZ BĘDĘ, BO DO BABCI MUSZĘ i ukręcał się na pół godziny na przykład z ogniska i szedł do domu dać babci jeść i ją położyć spać, a potem mógł już robić, co mu się żywnie podobało. Ta wolność budziła oczywiście zazdrość, bo ja, wracając z imprez, wchodziłem do domu na palcach, żeby nie obudzić matki, bo by mi kazała chuchać, a odkąd w domu kultury wpadła jej w ręce broszura edukacyjna dla rodziców BLIŻEJ SIEBIE – DALEJ OD NARKOTYKÓW, to nawet patrzyła w oczy, czy nie mam czerwonych od hehehuany. Naszą zazdrość budziło również audi A4, które jego brat przywiózł z Niemiec na handel, ale nie zdążył sprzedać, więc stało w szopie za domem. Audi nie było nawet przerejestrowane, a Babcia nie miał prawa jazdy, ale w tamtym okresie spotykaliśmy się głównie na ogniskach w lesie, a tam przecież drogówka nie stoi. Babcia więc często przywoził nam aprowizację, do 20:00 sam nie pił, jechał na chwilę

do babci i potem wracał samochodem. Jak mocniej popił, zostawiał go w lesie i zabierał następnego dnia.

Z audi A4, Babcią i Stomilem była potem opcja dosyć tragiczna. Stomil miał w czerwcu urodziny, zrobiliśmy z tej okazji ognisko na aż 30 osób, bo Stomil był w naszym mieście popularny ze względu na to, że dużo pił. W środku nocy dwóch typów zaczęło się kłócić, a cała reszta ich rozdzielać – wiecie, jak to jest na takich imprezach, jak nagle się ujawnia kilkanaście talentów mediatorskich. Gdy nasza uwaga skupiona była na awanturze, to Babcia i Stomil wskoczyli do samochodu z zamiarem pojechania na stację, żeby dokupić wódki. Trzeba przyznać, że to nie był pierwszy raz, jak Babcia prowadził po spożyciu, ale było to do pewnego stopnia tolerowane, bo jeździł tylko po lesie, w sensie drogą leśną dojeżdżał do drogi krajowej i tam w krzakach zostawiał samochód i szedł kilkaset metrów na stację z buta, żeby nie było przypału. Ewentualne uwagi zbywał stwierdzeniem, że nawet jak go złapią, to i tak nie ma prawka, więc mu nie zabiorą. Umówmy się, że z taką argumentacją trudno było polemizować. Tym razem Babcia nie prowadził jednak po kilku piwach, a po kilku piwach i pół litra – w końcu okazję taką jak urodziny Stomila trzeba było godnie uczcić. Włączył mu się Hołowczyc i tą leśną drogą zapierdalał ze 100 kilometrów na godzinę, bo jeszcze akurat w radiu leciał jakiś kawałek, co lubił, co według relacji Stomila miało go podkręcić i przełożyć się na dodatkową brawurę kierowcy.

Co istotne, przejeżdżali koło leśniczówki. Zналиśmy nieźle leśniczego, który tam mieszkał, bo często jak robiliśmy ogniska, to podjeżdżał do nas swoim starym mitsubishi pajero i dobrodusznie mówił NO DOBRA MŁODZIEŻ, BAWCIE SIĘ, TYLKO SYFU NIE RÓBCIE I LASU MI NIE SPALCIE i rzeczywiście żyliśmy z leśniczym w zgodzie, nie spalaliśmy lasu, a po każdym ognisku było wysprzątane. Więc koło tej leśniczówki przed audi chłopakom wyskoczyło jakieś zwierzę – do dzisiaj się nie da ustalić właściwie jakie, bo w opowieściach Stomila mieści się ono rozmiarowo w przedziale pomiędzy kotem a niedźwiedziem. Zależy, ile akurat wypije i komu opowiada. Babcia się wystraszył, odbił kierownicą w prawo, wypadł z drogi, wleciał na podwórkę do leśniczego, gdzie tamten miał tak zwaną ziemiankę, czyli taką małą górkę, pod którą jest piwnica, i tam się trzyma ogórki kiszzone i grzyby marynowane. Ziemianka zadziałała jak rampa, samochód wzbił się w powietrze i wleciał przez okno wraz z fragmentami ściany leśniczemu do sypialni na parterze, lądując prostu na łóżku. Stomil miał zapięte pasy, a Babcia nie, więc wyjechał banią w kierownicę, ale mimo tego nie stracił przytomności. Chłopaki w szoku wyskoczyli z samochodu, Stomil się drze na Babcię CO TY ZROBIŁEŚ IDIOTO, aż zorientowali się, że są u leśniczego w sypialni, a pod 1,5 tony samochodu jest sprasowane łóżko. Wtedy zapadło 10 sekund ciszy, które przerwał Stomil, mówiąc TY KURWA DEBILU, ZABIŁEŚ LEŚNICZEGO, na co Babcia zaczął ryczeć, a Stomil zakomenderował SPIERDALAMY W LAS, KAŻDY W SWOJĄ STRONĘ. Będąc w szoku, zaczęli uciekać na oślep w różnych kierunkach.

Stomil biegł z pół godziny przed siebie, a potem zadzwonił do mnie i zdążył powiedzieć tylko MIELIŚMY WYPADEK, LEŚNICZY NIE ŻYJE, NIE WIEM, GDZIE JESTEM, po czym padł mu telefon. My, szczerze mówiąc, nawet nie zauważyliśmy, że chłopaków nie ma, bo sytuacja na ognisku była dynamiczna, ale po odebraniu tak dramatycznego komunikatu rozpoczęliśmy poszukiwania zaginionych kolegów, ale też się wszyscy pogubiliśmy. Więc koniec końców idę sam przez ten las o 6 rano, na telefonie mi się wyświetla, że dzwoni stary Stomila, bo często było tak, że jak chłopak poszedł w melanż, to jego stary właśnie do mnie dzwonił, żeby go namierzyć, bo się już 100 lat przyjaźniliśmy w końcu. No i patrzę na ten telefon i nie wiem, czy odebrać, bo byłem już przekonany, że Stomil się wykrwawił gdzieś w lesie, więc nie wiedziałem, jak jego ojcu przekazać wiadomość, że syn nie żyje. Odbieram po 10 sygnale i łamiącym się głosem mówię H-H-HALO, na co wydiera się ojciec Stomila

MALCOLM KURWA, TEN IDIOTA ZNOWU SIĘ NACHLAŁ I MÓWI, ŻE JEST NA WESELU JAKIŚ PRZY SZOSIE I COŚ PIERDOLI, ŻE MIAŁ WYPADEK I ŻEBYM POJECHAŁ PO NIEGO, ALE CHYBA KŁAMIE, JAK ZWYKLE PIJANY, BO MU SIĘ NA PIECHOTĘ NIE CHCE WRACAĆ.

Ja w euforii krzyczę

PANIE JACKU, TO ON ŻYJE?!

A CO MA KURWA NIE ŻYĆ? PIJANY JAK ZWYKLE! ILE RAZY WAM MÓWIŁEM, ŻE TO JEST CHORY CZŁOWIEK, ALKOHOLIK, Z NIM NIE MOŻNA PIĆ!!!

I tu się zagadka rozwiązała: Stomil uciekał przez las zszokowany i z rozładowanym telefonem. Po drodze z upicia, przeżytego stresu i lekkich obrażeń głowy miał halucynacje (jak twierdzą racjoniści) lub objawienie (jak twierdzą wierzący), bo objawiła mu się św. Dorota patronka agrestu i powiedziała, żeby już nigdy w życiu nie pił wódki, tylko napoje bezalkoholowe. Stomil św. Doroty wystraszył się jeszcze bardziej – szczególnie że stawiała tak wygórowane żądania – i uciekał dalej, aż wybiegł na drogę krajową, przy której jest nie tylko tablica informacyjna ufundowana przez Unię Europejską i stacja benzynowa, ale również dom weselny. Skierował się tam po pomoc, bo usłyszał głosy jakichś ludzi – mimo że była 6 rano w niedzielę. Tam wydarzył się drugi w ciągu pół godziny cud, bo pierwszą osobą, którą zobaczył, był rzekomo zmiażdżony samochodem we własnym łóżku leśniczy. Był on nie tylko cały, zdrowy i zupełnie wypukły jak na człowieka przygniecionego dopiero co przez półtorej tony, ale w dodatku w szampańskim nastroju. Ten cud jednak miał podłoże mniej mistyczne od objawienia św. Doroty, bo leśniczy po prostu był na weselu siostrzeńca w tej sali weselnej, przez co siłą rzeczy nie było go w jego domu w łóżu, które miało rzekomo stać się jego grobowcem.

Przyjechał trzeźwy pan Jacek, ojciec Stomila, wsiedli we trzech w samochód i pojechali do leśniczówki szukać Babci. Leśniczy był w takim dobrym humorze, że wystający mu z okna samochód nie zrobił większego wrażenia – PRZEŚPIĘ SIĘ NA KANAPIE I ZADZWONIE DO CHŁOPAKÓW Z LEŚNICTWA OBOK I CIĄGNIKIEM PRZYJADĄ I MI TO AUTKO Z DOMU WYJMĄ. MÓJ SIOSTRZENIEC JEST BUDOWLANIEC, TO MI CEGŁY POWKŁADA, A ZA OKNO I ŁÓŻKO TO MI PAN POLAKIERUJESZ PAJERO I BĘDIEMY KWITA.

Gorzej było z Babcią, bo pies leśniczego go wywąchał ze 100 metrów od leśniczówki, gdzie leżał nieprzytomny i poraniony w krzakach. Normalnie go helikopterem wieźli do miasta wojewódzkiego do szpitala, a potem jeszcze rok jeździł na wózku, bo mu się coś stało w kręgosłup i głowę. Rodzina Babci wymyśliła, że go razem z babcią (w sensie tą prawdziwą – nestorką) wezmą do siebie pod Leipzig, bo tam podobno lepsza służba zdrowia, ale babcia powiedziała, że ona już była w Niemczech na robotach przymusowych i drugi raz się nie wybiera. Matka Babci wróciła więc na rok do Polski, żeby zajmować się matką i synem, i małżeństwo się jej przez to rozpadło, bo mężowi samemu pod tym Leipzig było smutno.

Poza tym, od razu po powrocie do Polski matka Babci rozpoczęła prześladowania wszystkich osób z feralnego ogniska, że DZIECKO MI NA WÓZEK INWALIDZKI POSADZILI, bo wszyscy byli winni, tylko nie jej syn, który prowadził ten samochód.

Najbardziej była zawzięta na Stomila i opowiadała na niego takie farmazony, że się w głowie nie mieściło: że Babci groził nożem, żeby go zmusić, żeby go samochodem zawiózł po wódkę, albo że mu dosypał do piwa pigułkę gwałtu i tym sposobem, pozbawionego wolnej woli, wpakował za kierownicę, żeby go wywieźć gdzieś w las.

Znaleźliśmy się ze Stomilem w trudnej sytuacji życiowej. Ja wcześniej dorabiałem przy ulotkach, ale ta opcja już się skończyła, bo jak wiecie, mieszkalem w małym mieście, więc każdy mieszkaniec dostał już każdą możliwą ulotkę. Ulotki pizzerii Vezuvisio niejednego dostał

nawet dwie, bo zwiększyła nakłady na reklamę z powodu rosnącej konkurencji z kebabem. Apogeum tego konfliktu miało miejsce, gdy w pizzerii wprowadzono do menu PIZZA KEBAB, która wyglądała jak normalna pizza, tylko mięso było jak z kebaba, a w kebabie wprowadzono KEBAB PIZZA, który w istocie rzeczy był normalnym kebabem, tylko niezwiniełym.

W przypadku Stomila jego stary był na niego tak wkurwiony za opcję z lądowaniem samochodem w leśniczówce, że nie pozwalał mu nawet zbliżyć się do jakiegokolwiek samochodu w jego słabo prosperującym warsztacie lakierniczym, nie wspominając o lakierowaniu w celach zarobkowych. Dodatkowo ciągnęły się za nim rozprowadane przez matkę Babci plotki, co jeszcze bardziej obniżało jego i tak już nieduże szanse na rynku pracy, bo połowa starych bab w mieście jak go widziała na ulicy, to zaczynała coś szeptać pod nosem. Nasze położenie było o tyle przykre, że potrzebowaliśmy środków nie tylko na bieżącą konsumpcję, ale i realizację ambitniejszych planów. Chciałem przez te wakacje odłożyć kilka tysięcy na nowy start w Warszawie – o ile miałbym się tam dostać na studia. Matka obiecała mi się dokładać do życia, ale głupio by mi było od niej brać na picie Harnasi pod muzykę Kazika na juwenaliach, mając świadomość, że przepijam jej wdowi grosz. Że wdowi, to w sensie metaforycznym oczywiście, bo ojciec żył, tylko nic nie robił. Stomil z kolei chciał przez wakacje oszczędzić pieniądze na wyjazd last minute do Bułgarii we wrześniu, bo kilka osób z naszej ekipy miało plan się tam wybrać. Pewnego dnia przyszedł do mnie i powiedział, że słyszał w telewizji, że w Wielkiej Brytanii pomocnik glazurnika zarabia miesięcznie 2000 funtów, czyli ponad 10 000 złotych. Ja na to powiedziałem, że co ty pierdolisz, a on na to powiedział, że NO. Mój ojciec, który siedział w dużym pokoju obok i nas słuchał, zaczął nas dopingować, prowadząc sam przed sobą wywód, że każdy, kto w tym kraju miał trzy szare komórki na krzyż, to już dawno spierdolił za granicę i zostali tylko tacy naiwni frajerzy-idealiści jak on, którzy za ten frajerski idealizm zapłacili zmarnowanym życiem. Wtedy włączyła się matka z kuchni, że Jezus Maria, żeby tylko ktoś nas nie okradł albo nie zabił na tej emigracji, ale jak już będziemy mieli jakieś kłopoty, to żebyśmy pamiętali, że tam w Londynie mieszka Krystianek, czyli jej siostrzeniec, i że jak coś, to zawsze możemy się do niego zwrócić o pomoc, bo to w końcu rodzina. Nie wiem do końca, jak to się stało, ale rozmowa potoczyła się jakoś tak, że pół godziny później już było właściwie postanowione, że ze Stomilem jadę do UK. Przez Internet kupiliśmy bilety na autokar odjeżdżający za 3 dni, który co prawda miał do Londynu jechać 26 godzin, ale za jedyne 300 złotych w dwie strony i to w obydwie z kiblem na pokładzie.

Autokar

We wszystkich sytuacjach podróży jest tak, że losowi ludzie zgromadzeni w przestrzeni podróży rozkręcają się powoli. Najpierw każdy siedzi na swoim miejscu i nic nie mówi, ewentualnie tylko do swojej rodziny czy znajomych, i to też najczęściej ściszym głosem, typu:

- Zenek no weź idź się zapytaj co z tym samolotem •
- Siedź spokojnie, poczekaj, zaraz coś powiedzą •
- No weź idź się zapytaj, patrz na dzieci, już głodne •

NO TO SAMA IDŹ SIĘ KURWA ZAPYTAJ, JAK TAK CI SIĘ SPIESZY.

Potem następuje moment przesilenia, zazwyczaj spowodowany jakimś czynnikiem zewnętrznym. W naszym przypadku było to ogłoszenie kierowcy, że w Poczdamie będziemy z półtoragodzinnym opóźnieniem, bo jest korek na obwodnicy. Taki czynnik wywołuje zazwyczaj tzw. KOMENTARZE, czyli przepełnione żalem lub nostalgią wypowiedzi niemające konkretnego odbiorcy. W naszym autokarze zaczęło się od Grażynki w średnim

wieku, która popatrzyła przez okno w jakiś punkt na horyzoncie i powiedziała, że jak się kiedyś jeździło do roboty, to w ogóle nie było korków, a niemieckie autostrady to były prima sort, a nie to, co teraz. Na to inny typ, patrząc przez inne okno w inny punkt na horyzoncie, powiedział, że jaki to wtedy był kurs euro, a właściwie dojcze marki, nie to, co teraz. Zaraz inny typ, patrząc w nawiew od klimatyzacji, zmienił temat konwersacji z nieokreślonym rozmówcą na kwestię historycznego kursu funta szterlinga, że jak on w 2002 wracał, to po 7 złotych był. A nawet prawie po 8.

I wtedy już wszyscy zaczęli opowiadać, jak to kiedyś było. A było naprawdę wspaniale. I brzmiało to nie jakby mówili o 5 latach wstecz, tylko o Polsce przed rozbiorem. Że każdy typ był husarzem, każda kobieta była cycatą blondyną w stroju ludowym niosącą zboża plon w nasz ojczysty dom, jak w teledyskach Donatana, a do tego jeszcze Polska była najbardziej tolerancyjna na świecie dla Żydów, o czym teraz się w ogóle nie mówi. W przełożeniu na realia pracy emigracyjnej oznaczało to, że fachowców szanowano, w 2 tygodnie każdy był zarobiony O TAK (tu ma miejsce przesunięcie dłoni przy czole, obrazujące JAK), a gdy ktoś 3 miesiące posiedział na robocie, to po powrocie do Polski już właściwie nic do końca życia nie musiał robić, tylko wieść żywot rentiera i chodzić na ryby albo na paznokcie. Te piękne wspomnienia nie są jednak jeszcze zwieńczeniem procesu integracji grupy podróżnej, pozostaje jeszcze jego ostatni etap.

W filmie „Rejs” było powiedziane, że na każdym zebraniu jest taka sytuacja, że ktoś musi zacząć pierwszy. Od tego czasu nic się nie zmieniło, a pierwszy zaczął siedzący na czwórce na końcu autokaru dojebany Seba, co dało się poznać po dźwięku PSSSST i szczęku przerywanego aluminium z puszki tyskacza. Potem nastąpiło 30 sekund grobowej ciszy, bo wszyscy w autokarze patrzyli, czy kierowca będzie się burzył, bo teoretycznie przy drzwiach zawsze jest naklejka z przekreślonym znakiem %. Kierowca jednak znał życie, więc przepisów ustalonych przez oderwanych od rzeczywistości dyrektorów firmy transportowej nie egzekwował. Przy jego milczącej aprobacie PSSSST zaczęło rozlegać się z różnych części autokaru, w którym momentalnie podniósł też się gwar rozmów, prowadzonych już nie z punktami na horyzoncie i elementami wnętrza pojazdu, tylko z współpasażerami. Ożywił się też Stomil, który pijącym tyskacze ludziom na 10 miejscach dookoła nas oświadczył, że on w podróży piwa nie pija, bo potem chce się siku, dlatego woli drinka. Następnie wyjął z reklamówki dwulitrową butelkę coli z wodą, zmieszanych w proporcjach 1:1. Wtedy jakiś siedzący przed nami typek powiedział na to, że on ma zajebistego kaca, bo wczoraj mu koledzy robili pożegnanie przed wyjazdem, więc woli zacząć od piwka, ale potem chętnie się napije drinka. To zmartwiło Stomila, który ogarnął się, że trzeba było się nie wychylać z tą wódką.

Siedząca za mną wychudzona Karynka o kruczoczarnych włosach wyciągnęła telefon i korzystając z ostatnich chwil w zasięgu polskiej sieci Plus GSM, zadzwoniła do koleżanki i rozpoczęła bardzo żywiołową rozmowę. Po tempie jej wypowiedzi wnioskowałem, że w ramach pożegnania z ojczyzną władowała w siebie tyle amfetaminy, ile się tylko dało, no bo przecież z krwioobiegu jej tego pogranicznicy nie wyciągną. Napierdała jak karabin sekcjami po kilka minut non stop, po których następowało kilka sekund przerwy na wypowiedź koleżanki, po których następowało NO ALE TY, NO ALE SŁUCHAJ Karynki i znowu kilka minut napierdalania. Rozmowa dotyczyła przede wszystkim opracowanego przez Karynę planu zajścia w ciążę z jednym Anglikiem bez jego wiedzy i co za tym idzie, stworzenie w świetle prawa brytyjskiego obowiązku alimentacyjnego. Po zakończeniu rozmowy jakaś Karynka w wersji senior, która siedziała po drugiej stronie korytarza od czarnowłosej Karynki w wersji junior, zaczęła jej opowiadać, że w niej kiedyś zakochany był na zabój jeden Holender, ale mu nie dała i teraz żałuje. Konkluzja była taka, żeby młoda

Karynka swój plan realizowała, a potem koniecznie z miejsca dzieciaka rejestrowała w urzędzie jako Anglika, to już ich nikt z UK nie ruszy, co by się nie działo, nawet jakby królowej angielskiej kudłów nawyrywała. Mnie zaczęło zastanawiać, w jakich okolicznościach mogłoby dojść do starcia Karyny z królową Elżbietą. Pomyślałem, że może z arystokracją angielską jest tak, że przed kamerami to herbatka, EXCUSE ME LADY, księżna Diana itd., ale po pracy popiję i A CO TY SZMATO MYŚLISZ, ŻE NIE WIEM, JAKIE ŻEŚ SMS-Y PISAŁA DO KSIĘCIA RICHARDA i się zaczyna tak zwana banderoza. W tym czasie Stomil wypił już ¼ swojego drinka, a ten typ, co zdążył już wypić dwa piwa na kaca, dał poznać, że nie pierwszy raz jedzie autokarem do UK, bo wyciągnął z torby przygotowany plastikowy kubeczek i podstawił, żeby Stomil mu polał. Stomil się skrzywił i powiedział, że ma mało, a ten typ powiedział, że nie szkodzi, bo on ma więcej, ale tylko czystą, więc drink będzie na popitkę. To brzmiało jak uczciwa transakcja i po chwili obydwaj ładowali wodę pod wodę z colą.

Autokar zaczął rozbrzmiewać opowieściami emigracyjnymi, z których wynikało jednoznacznie, że znaleźliśmy się pomiędzy tak zwanymi ludźmi sukcesu. Każdy był już manadżerem czegoś, miał TAKI UKŁAD i JUŻ WSZYSTKO USTAWIONE. Minęliśmy granicę niemiecką i dopiero jak w rozmowie wyszło, że ja i Stomil jedziemy do UK po raz pierwszy, to pasażerowie dookoła nas zaczęli robić UUUUU, UUUU TO NIEDOBRZE CHŁOPAKI UUUU i opowiadać o wszystkich nieszczęściach, które mogą się nam na obczyźnie przytrafić. Ten typ od kaca i plastikowych kubeczków przypieczętował listę potencjalnych krzywd słowami W ANGLII TO ŻADNEMU POLAKOWI NIE WIERZCIE W ANI JEDNO SŁOWO. Na to ja chciałem rzucić żartem, że hehe paradoks kłamcy, bo on przecież też jest Polakiem, więc jak kłamie, żeby nie wierzyć Polakom, to powinniśmy im wierzyć, czyli że on mówi prawdę, że jednak nie wierzyć Polakom i tak dalej. Gość był na kacu i już porobiony tą wodą pitą pod wodę z colą ze Stomilem, więc paradoks rozwiązał w ten sposób, że mam się kurwa nie mądrzyć, bo jesteśmy teraz w Niemczech, a nie w Anglii, więc jemu wierzyć można (jeszcze).

Chwilę później się zrobiła nerwowa atmosfera, bo jedna kobieta chciała iść się wysikać po tych piwach, ale kibel w autokarze był zamknięty, więc poszła do kierowcy pytać, dlaczego zamknięty, a on jej powiedział, że zamknięty, bo nieczynny, bo ludzie nie szanują, więc jak będzie w Poczdamie postój 15 minut, to sobie tam pójdzie do szaletu publicznego. To rozpętało małą awanturę, bo ta kobieta zaczęła wyliczać, ile wydała na bilet otwarty w dwie strony typu open ticket. Jakiś adept lingwistyki zauważył, że nie może być tak, żeby bilet był OPEN, a kibel był mimo tego CLOSED. Utarczka słowna trwałaby pewnie jeszcze chwilę, gdyby nie to, że typ od wody i plastikowego kubka się widocznie tak zamyślił nad paradoksem kłamcy, że aż dostał choroby lokomocyjnej i się trochę porzygał na koszulkę. Stomil widocznie też intensywnie nad nim myślał, bo mózg mu się wyłączył i zezgonował na siedzeniu.

Jako że mieliśmy w tej sytuacji do czynienia z faktami dokonanymi, a nie subiektywną i potencjalnie oddaloną w czasie potrzebą oddania moczu, to kierowca chcąc nie chcąc zjechał na najbliższą stację benzynową, gdzie tamten typ wyjechał na koszulkę w krzaki i zaczął w luku bagażowym szukać swojej torby, żeby założyć nową. 40 współpasażerów poleciało sikać na zapas, a ja poszedłem za stację na szluga, żeby potem sobie pójść do kibla, jak już nie będzie kolejki. Rzeczywiście po 5 minutach mało kto już tam pozostał, natomiast nieprzyjemnym zaskoczeniem były bramki obrotowe, takie jak w metrze, w które trzeba było wrzucić 50 eurocentów, żeby cię przepuściły do środka. Ja miałem tylko złotówki i funty, które matka mi wymieniła w kantorze. Pytam jednego z ostatnich polskich pasażerów, czyby nie miał 50 centów pożyczyć, a on mówi, że by miał i w Polsce to by mi normalnie dał za

darmo, ale na emigracji to on ma złe doświadczenia i może mi tylko sprzedać za pieniądze na miejscu, bo mu potem nie oddam. To ja pytam, dobra, to za ile? A on mówi, że za 5 złotych, a ja mówię, że no gdzie, jak euro kosztuje 4 złote, to gdzie tu jest sprawiedliwość. Dochodzenie sprawiedliwości walutowej przerwał jednak dochodzący z parkingu krzyk kierowcy autokaru, że odjeżdżamy, bo i tak już jesteśmy spóźnieni na korek pod Poczdamem. Dałem chujowi 5 złotych za 50 eurocentów i poszedłem łąć, ale widocznie nie poszło mi to tak szybko, jak powinno, bo jak wyszedłem na zewnątrz, to już nie było ani gościa w obrzyganej koszulce, ani śpiącego Stomila, ani autokaru.

Tir

Zostałem pozostawiony na tak zwanej pastwie losu, w dodatku historycznie wrogiego losu niemieckiego, bo pod Poczdamem. Jak by to był program Beara Gryllsa, to bym miał przy sobie nóż, 5 metrów liny do zbudowania schronienia, krzesiwo i węgiel do odfiltrowania wody z kibla, żeby się nadawała do picia. Niestety, miałem tylko 80 zł, 50 funtów (resztę zostawiłem w kopercie w plecaku w autokarze, bo mamie mnie zawsze uczyła, żeby nie trzymać wszystkich pieniędzy w jednym miejscu), szlugi i zapalniczkę, co moje szanse przetrwania czyniło raczej niskimi. Poleciałem więc w panice na stację, z nadzieją, że może będą mieli numer do kierowcy tego autokaru, skoro cały czas jeździ na tej trasie.

Zaczynam po angielsku

YOU HAVE NUMBER TO BUS DRIVER? MY BUS GO AWAY!

Ale typ NICHT FERSTEHEN, więc jadę po niemiecku

DU HAVE NUMBER TO BUS DRIVER?

Bo się 3 lata uczyłem w gimnazjum, ale trochę słabo pamiętam. Natomiast kasjer ze stacji dalej kręci głową z głupią miną. Na to się włącza jakiś typ, co obok wpierdalał hot doga z ketchupem i sosem czosnkowym

BIST DU AUS POLEN?

JA

TO CZEGO KURWA PO NIEMIECKU GADASZ?

Tak rozpoczęła się moja wielka przyjaźń z panem Zbyszkiem, kowbojem z dzikiego zachodu spedycji międzynarodowej.

Zbyszek był tirowcem po pięćdziesiątce, mówił w 6 językach, wszystko już widział i wszędzie był, a teraz akurat jechał na Dortmund, żeby ludzie mieli tam świeże wędliny, bułki itd. i powiedział, że tam mnie podrzuci i już będę miał z górki do Londynu. Poczekalem, aż zje do końca hot doga, potem go wypróżni, a potem zapakowaliśmy się do szoferki i pojechaliśmy. W swojej prawie 30-letniej karierze tirowca Zbyszek był tirem w każdym kraju Europy z wyjątkiem Watykanu, bo tam podobno nie ma gdzie nawrócić. W latach 90. jeździł z kosmetykami w Sojuz i tam raz miał taką opcję, że już mu kazali kopać sobie grób, więc potem się przerzucił na Europę Zachodnią i teraz lata autobahnem i ma elegancko. W głośnikach leciały polskie przeboje typu Krzysztof Krawczyk na przemian z disco italiano, a Zbyszek śpiewał na cały głos O BELLA BELLABELLA AMOOOOOOORE czy ŻONY NIE DAŁEEEEEM, ŻONĘ WZIAŁEŚ SOBIE SAAAAM i stopą wybijał rytm muzyki o podłogę tak, że piasek z dywaników podskakiwał. Śpiewać przestawał, jak coś mi opowiadał, jak robił inbę na CB radio albo jak się zdzwaniał ze swoimi kolegami-tirowcami dogadać, co kto przywozi na balety na postoju wieczorem. Pytał, czy jestem student, a jak powiedziałem, że jeszcze nie, to powiedział, że bardzo dobrze, bo jak zajadę z nim na Uniwersytet Parkingowy, to mnie tam chłopaki wszystkiego, co w życiu potrzeba, nauczą. Plan był więc taki, że Zbyszek miał mieć rozładunek dopiero rano, więc po drodze gdzieś pod Hanowerem sobie staniemy na noc, przybalujemy, poznam chłopaków, przejdę szkołę życia w trybie

wieczorowym, a rano któryś z typów, co leci na UK, mnie ze sobą zabierze. Nocować miałem ze Zbyszkim w szoferce, bo były w niej aż dwa łóżka – jedno gościnne. Przez kolejne godziny, urozmaicone śpiewem po polsku i włosku, miałem okazję nie tylko pogadać ze Zbyszkim, ale też jeszcze lepiej przyjrzeć się osławionym autostradam niemieckim i przyległej do nich infrastrukturze. Jeszcze wcześniej, jak jechaliśmy autokarem, to pierwsze, co zauważyłem po wjeździe z Polski do Niemiec, to wiatraki prądotwórcze. Ustawione są tuż za granicą jako eksklamacje niemieckiej wyższości cywilizacyjnej, żeby każdy Polak i inny mieszkaniec Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej, a nawet Azji, wiedział, dokąd wjeżdża. Nie da się ukryć, że na wschód od Odry to następne większe zgrupowania takich wiatraków są dopiero w jakiejś Korei Południowej, a może i Japonii. Pomędzy jest tylko węgiel i Gazprom, i elektrownia w Czarnobylu. Wiatraki stanowią tym samym dla podróżnych znak, że oto wjeżdżają do świata wysokorozwiniętego, zasilanego tak zwaną gospodarką opartą na wiedzy. W czasach starożytnych podobną funkcję musiała pełnić na przykład brama Isztar, przez którą wjeżdżało się do Babilonu, i dlatego ją też zrobiono na bogato. Z tą tylko różnicą, że tę bramę później Niemcy zajęli i obecnie trzymają u siebie w Berlinie w muzeum, a z tego, co wiem, to wiatraki od prądu zrobili sami, bo ani w Babilonie, ani tym bardziej w Polsce wcześniej wiatraków do zajebania nie było. Następnym związanym z autostradami i ich okolicami elementem godnym uwagi są autostrady same w sobie. Jak się po prostu spojrzy na drogę w jednym konkretnym momencie, to tak tego nie widać, ale jak jedzie się już kilka godzin, to człowiek zaczyna sobie uświadamiać, że z autostradami to jest gruba opcja, że to taki wybetonowany plac jak pod parking, tylko ciągnący się przez cały kraj, a nawet kontynent. W Niemczech autostrad nabudowali tyle, że aż ciężko jeździć, bo jak człowiek na przykład zjedzie ze wschodniej obwodnicy Hanoweru, to od razu musi się pilnować, żeby pojechać dobrze autostradą numer 2 na Essen, a nie 7 na północ na Hamburg, albo co gorsza na południe na Kassel. Pan Zbyszek, podobnie jak sporo pasażerów z autokaru, opowiadał mi, że w Niemczech zarobki są wyższe, a ceny choćby wynajmu mieszkań takie same jak w Polsce. Może to przynajmniej po części wynikać moim zdaniem z tego, że na cenach mieszkań niemieckich negatywnie odbija się infrastruktura drogowa właśnie, bo prawie każde mieszkanie ma okna wychodzące na jakąś autostradę i co za tym idzie, właściciel nie może za nie krzyknąć tyle, ile krzyknąłby, gdyby okna wychodziły na przykład na park. Ogólnie w Niemczech nie ma już zbytnio gdzie budować kolejnych autostrad i z tego powodu firmy niemieckie startują w przetargach na ich budowy w innych krajach, typu Polska. Dzięki temu już wtedy można było sobie dojechać elegancką drogą dwupasmową z Lizbony aż do samej Łodzi, z niewielką przerwą w okolicach Świecka. Obecnie sprawy zaszły jeszcze dalej i wybetonowany plac ciągnie się nieprzerwanie aż do Białegostoku, co przeniosło środek ciężkości cywilizacyjnej naszego kontynentu bardziej na wschód i niedługo pewnie to dziennikarze z Białegostoku będą jeździli gdzieś na Białoruś, albo i do Rosji, żeby robić reportaże o neonazistach. Wracając jednak do Niemiec, gdzie neonazistów wtedy było akurat mniej niż jest obecnie, to kolejną ciekawostką autostradową są biało-brązowe tablice informacyjne przedstawiające, jakie atrakcje turystyczne znajdują się w miejscowości, którą akurat autostradą się mija. Tablice te mają to do siebie, że umieszczone na nich grafiki są bardzo szczegółowe i wygląd atrakcji oddają ze wszystkimi detalami. Tak więc jeżeli na przykład przejeżdżamy obok Brunszwika, gdzie znajduje się słynny na cały Brunszwik i kawałek autostrady posąg lwa, to na tablicy jest on namalowany tak dokładnie, jakby się go widziało na własne oczy, i tym samym potrzeba obejrzenia go ustaje niemal w tym samym momencie, co się pojawia. Dzięki temu już po jednym przejeździe przez jedną tylko autostradę niemiecką miałem poczucie, że zwiedziłem kawał świata.

Wpłynęły też na to opowieści pana Zbyszka, który faktycznie mógłby mnie uczyć życia, bo stosując terminologię moich byłych współpasażerów z autokaru, miał JUŻ WSZYSTKO USTAWIONE. Jeżdżąc po Europie, wyciągał na ówczesne pieniądze z 6 koła netto, znał każdy kraj i parking na kontynencie oraz wszędzie miał kolegów. Jako że miał własnego tira, to jak szef go wkurwił, to szedł do innego albo robił zlecenia na tak zwanym freelansie – chociaż w branży spedycyjnej to się trochę inaczej nazywa. Jedyny problem, jaki miał, to to, że czasami łapała go samotność długodystansowego transportowca, a poza kolegami z parkingów nie miał nawet do kogo zadzwonić, bo nie miał żony ani dzieci. Z powodu tej właśnie samotności złapał kiedyś w którymś z krajów Europy (poza Watykanem) HIV-a, o czym szczęśliwie dowiedział się w miarę wcześnie, bo na parkingu w Holandii rozdawali stojącym na pauzie kierowcom ulotki, żeby się testować. Uświadomiony o zagrożeniach związanych z życiem kowboja szosowego Zbyszek poszedł na test i mu wyszło, że ma. Według jego słów:

NA POCZĄTKU JAK SIĘ DOWIEDZIAŁEM, TO PIERWSZA MYŚL BYŁA, ŻE JADĘ DO NAJBLIŻSZEGO LASU I SIĘ WIESZAM NA PASACH ŁADUNKOWYCH. ALE TEN LEKARZ HOLENDER MI ZARAZ WYTŁUMACZYŁ, ŻE TERAZ JUŻ MAJĄ TAKIE LEKI, ŻE BIERZESZ JEDNĄ TABLETKĘ DZIENNIE I CI TEN HIV NIC NIE SZKODZI. NO TROCHĘ SZKODZI, ALE NAWET MNIEJ, NIŻ JAK BYŚ CUKRZYCĘ MIAŁ, OSIEMDZIESIĄTKI NAWET MOŻNA DOŻYĆ. MÓWI MI TEN DOKTOR – PANIE ZBYSZKU, NIC SIĘ NIE MARTWIĆ, TABLETKI BRAĆ, KONDONA ZAKŁADAĆ I WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE. WTEDY TAKICH LEKÓW JESZCZE WSZĘDZIE NIE MIELI, WIĘC TEN DOKTOR, DOBRY FACET, MNIE PODPIĄŁ W SYSTEMIE POD TEN HOLENDERSKI NFZ I PO PROSTU RAZ W MIESIĄCU SOBIE BRAŁEM KURS NA BENELUKS, RECEPTĘ WYKUPYWAŁEM I HAJDA. A TERAZ TO JUŻ NAWET U NAS W POLSCE TAKIE SĄ, WIĘC LUKSUS. A ZA TE KILKA LAT, COBY MI TEN HIV ODJĄŁ, TO RZUCIŁEM KURZENIE CIGARETÓW I TERAZ MI STATYSTYCZNIE WYCHODZI, ŻE DŁUŻEJ BĘDĘ ŻYŁ NIŻ PRZED TYM HIVEM HEHE.

Na koniec opowieści dodał jednak

NA PARKINGU WSZYSTKIE CHŁOPAKI BARDZO MĄDRE, NA WSZYSTKIM SIĘ ZNAJĄ, ALE CO CI TERAZ MÓWIĘ, TO IM NIE OPOWIADAJ, BO TEGO TO BY MOGLI NIE ZROZUMIEĆ.

Obiecałem nie opowiadać, a za chwilę wjechaliśmy na parking, w slangu drogowym zwany PARKÓWKĄ. Zbyszek przydusił na powitanie klakson, a kilku facetów stojących nad grillem na trawniku odwróciło się i uniosło w naszą stronę trzymane w rękach tyskacze.

JUREK

MALCOLM

PAWEŁ

MALCOLM

STEFAN

MALCOLM

DRUGI JUREK

MALCOLM

Jak już się wszyscy wszystkim przedstawili, to Zbyszek kwestią wstępu powiedział, że jestem autostopowiczem, który stracił swój autokar, siedząc w kiblu pod Poczdamem, a celem mojej podróży jest Londyn. Zaraz wyszło, że Stefan leci na bliską Szkocję z dostawą jakichś części aluminiowych, to mnie może podrzucić na samą obwodnicę Londynu, zwaną M25. Skoro to zostało już ustalone, mogliśmy przejść do konkretów, czyli grilla, tyskaczy i wykładów o życiu.

Podobnie jak w autokarze, głównym przesłaniem lekcji życiowych było, że ogólnie jest bardzo dobrze, ale chujowo. Dla osób, które podobnie jak ja początkowo nie zrozumiały tego paradoksu, podaję przykład:

W nowych ciężarówkach jest zaawansowana elektronika, przez co jeździ się nimi wygodniej i bezpieczniej. Jednocześnie stwarza to większe problemy w oszukiwaniu tachografu, czyli urządzenia, które mierzy, czy kierowca nie pracuje zbyt długo – a sporo z nich tak robi. Nie wystarczy już oszukiwać analogowo, przyłożeniem magnesu, jak robiło się kiedyś, tylko teraz trzeba oszukiwać cyfrowo, co wiąże się z większymi komplikacjami i wymaga stałego podnoszenia kompetencji.

Po niedługim czasie zrozumiałem, co pan Zbyszek miał na myśli, mówiąc mi w szoferce o Uniwersytecie Parkingowym i odbywających na nim pauzę (czyli wymaganą przepisami przerwę w pracy) Wykładowcach. Każdy z kierowców miał w zanadrzu tysiące mądrości i porad na każdy temat, ale zazwyczaj wszyscy pozostali koledzy mieli zdanie zupełnie odmienne od niego. Z tego powodu podejrzewam, że jak mnie tam nie było, to któryś zaczynał mówić na przykład NO JAK SIĘ JEDZIE NA TULUZĘ, TO TYLKO PRZEZ LYON, a inny zaraz kontrował JAKI LYON CZŁOWIEKU?! TY CHYBA W ŻYCIU WE FRANCJI NIE BYŁEŚ, NIECH CIĘ RĘKA BOSKA BRONI PRZEZ LYON JECHAĆ! Natomiast jako że tego dnia na parkingu byłem też ja, to co chwilę któryś z kierowców chciał mnie przyuczyć, gdzie się na przykład zatrzymać, jak się jedzie na dalekie Włochy, a pozostali zaczęli gwałtownie prostować to, co mówił

CO TY MŁODEMU WODE Z MÓZGU ROBISZ?! W DZISIEJSZYCH CZASACH JAK SIĘ ZATRZYMA POD BOLONIĄ, TO DO RANA MU CAŁĄ NACZEPE WYCZYSZCZĄ! TAM TO MOŻNA BYŁO STAWAĆ 15 LAT TEMU!

Zaraz inny dodawał TAK JAK MÓWISZ KOLEGO, JESZCZE DO TEGO JEDZENIE CHUJOWE i się zaczynała pełnoprawna awantura, która trwała przez 5–10 minut, aż wykładowcy osiągnęli konsensus naukowy typu, że można stawać pod Bolonią, ale nie można nic tam jeść. Umożliwiał to każdemu z nich wyjście z dysputy z honorem, a mnie dawało unikatową wiedzę będącą syntezą dekad doświadczenia zawodowego 5 kierowców. Jak tyskaczy się zrobiło tak z półtorej kraty mniej, to Drugi Jurek przyniósł flaszkę BO TO PIWKO TO TYLKO BRZUCH ROZPYCHA i tematy zaczęły schodzić na bardziej hehe pikantne.

ROZUMIESZ MŁODY, JA TEŻ KIEDYŚ BYŁEM MŁODY, WSZYSTKO JEST DLA LUDZI. NO ALE Z DZIEWCZYNAMI TO TRZEBA UWAŻAĆ.

ŻEBY JAKIEGOŚ SYFA NIE ZŁAPAĆ.

ALBO GORZEJ, HIV-A!

Widać było, że Zbyszek czuł się w tym temacie niekomfortowo, więc zaczął bagatelizować LUDZIE, JAKIEGO HIV-A?! KIEDYŚ CZŁOWIEK JEŹDZIŁ, O ŻADNYM HIVIE NIKT NIE SŁYSZAŁ I BYŁO DOBRZE! TO TERAZ JAKIEŚ GŁUPOTY POWYMYŚLALI!

Niemniej pomimo zanegowania przez Zbyszka istnienia ludzkiego wirusa niedoboru odporności pozostali szoferzy energicznie kontynuowali moją edukację w zakresie zdrowia seksualnego. Zbyszek się wkurwił, skwitował ich wykład słowami A TAM PIERDOLITA, IDĘ SIĘ ODLAĆ, BO SŁUCHAĆ WAS NIE IDZIE i odszedł w stronę swojej ciężarówki. Gdy był już kilkanaście metrów od nas, koledzy z parkingu ściszonego głosem zaczęli wymieniać komentarze

NO POPATRZ JAKI NIEDOWIAREK, W HIV-A NIE WIERZY.

NIBY POSZEDŁ SIĘ ODLAĆ, A KIBEL JEST W DRUGĄ STRONĘ.

NO A CO WY MYŚLICIE, PRZYPOMNIAŁO MU SIĘ TERAZ, TO POSZEDŁ TE SVOJE LEKI NA HIV-A WZIAĆ.

To ja zszokowany ich pytam, skąd znają największą tajemnicę pana Zbyszka, kowboja dzikiego zachodu transportu międzynarodowego, a oni wszyscy beka i mówią, że już z 3 razy tak było, że Zbyszek jak się najebał, to na urwanym filmie łąził po parkingu i wszystkim rozповідаł, a potem nie pamiętał. Jeden kierowca go raz następnego dnia z tym skonfrontował, to Zbyszek się wypierał i chciał go za takie plotki bić po mordzie, to teraz już nikt woli głośno nie podnosić tematu.

ALE WIESZ MŁODY, ZBYSZEK JEST DOBRY FACET, TY GO PRZEZ TEGO HIV-A TAK NIE PRZEKREŚLAJ.

WŁAŚNIE, TERAZ TO NIE TO CO KIEDYŚ, TAKIE LEKI SĄ, ŻE SIĘ JEDNĄ PIGUŁKĘ DZIENNIE BIERZE I MOŻNA OSIEMDZIESIĄTKI DOŻYĆ.

ALBO I DŁUŻEJ, JAK SIĘ SZLUGI RZUCI!

W HOLANDII JEST TAKI LEKARZ, CO KOŁO PARKINGU ZA DARMO BADA.

DOKŁADNIE, POD GRONINGEN.

TRZEBA MIEĆ DLA CZŁOWIEKA TROCHĘ ZROZUMIENIA.

BO W TEJ PRACY TO NAJGORSZA JEDNAK JEST TA SAMOTNOŚĆ.

Wtedy zobaczyliśmy, że Zbyszek już wraca, więc temat szybko zszedł na to, że polska Inspekcja Transportu Drogowego to chuje gorsze nawet od jej niemieckich odpowiedników. Nie pamiętam, kiedy poszedłem spać. Pamiętam dopiero, jak Zbyszek obudził mnie słowami MŁODY DAWAJ NA ZEWNĄTRZ, JEST PRZYPAŁ W CHUJ.

Wychodzimy z szoferki i widzimy, jak Stefan, który po drodze na bliską Szkocję miał mnie podrzucić pod Londyn, awanturuje się z niemieckimi policjantami. Dookoła stoją nasi wczorajsi kompani i jeszcze kilku innych kierowców i wspierają go moralnie komentarzami, że tak jest, jak on mówi, i w ogóle dajcie ludziom żyć. Okazuje się, że chwilę przed moją pobudką miała miejsce następująca sytuacja:

O 6 rano jakiś inny tirowiec obudził Stefana, żeby kawałek przesunął naczepę, bo on nie może wykręcić czy coś takiego. Stefan jako dobry kolega przestawił kawałek furgon, a potem poszedł na stację się odlać. Na stacji policjanci tankowali paliwo i widzieli Stefana przedstawiającego tira, a następnie jak powyginany po ciężkiej nocy idzie na stację. Postanowili zagadnąć go niby sympatycznie, ale jednak bardzo podstępnie, mówiąc do niego GUTEN MORGEN. Stefan odpowiedział GUTEN MORGEN, co siłą rzeczy spowodowało wydech powietrza z jego ust. W tym oto właśnie wydychanym powietrzu policjanci wyczuli nutkę spożywanego z nami poprzedniego dnia alkoholu, więc jak Stefan wychodził z kibla, to czekali już na niego z alkomatem i z miejsca wykonali pomiar orzekający zawartość 0,6 promila w oddechu. A że Stefan na ich oczach manewrował tirem po parkingu, chcieli zrobić mu przypał za jazdę po pijaku, na co absolutnie nie mógł się zgodzić, więc jako doświadczony szofer wyciągnął w swojej obronie bogaty zbiór kruczków prawnych:

że parking to nie jest droga publiczna, tylko jakiś tam prywatny, wyasfaltowany plac, na którym przepisy formalnie nie obowiązują, tak samo jak po swoim ogródku można sobie jeździć dowolną maszyną w dowolnym stanie

że go boli serce

że wypił łyżkę syropu z alkoholem na kaszel i to zafałszowało wynik

że go bardzo boli serce

że on wcale nie jeździł, a na parkingu nie ma monitoringu,

to niech mu udowodnią

że go jeszcze bardziej boli serce i chyba ma zawał i trzeba do szpitala

że Gestapo.

Wystraszyłem się wtedy o pana Stefana, ale Zbyszek mi wytłumaczył, że on jest mistrzem takich zagrywek. Teraz będą czekali pół godziny na karetkę. Potem pół godziny dyskusji z lekarzem na miejscu, bo Stefan nagle zapomni, jak się mówi po niemiecku. Potem pół godziny jazdy do szpitala, potem dwie godziny badania w szpitalu i dopiero jak mu się wtedy zawał skończy, to mu zrobią znowu badanie na alkohol, a do tego czasu to już będzie miał 0,0 promila, jak dziecko po pierwszej komunii. Zbyszek opowiadał też, że raz w ten sposób Stefan przetrzymał belgijską drogówkę na parkingu 7 godzin, aż mu zeszło z 1,1 promila na 0,2, a jak już było to 0,2, to powiedział, że zjadł z u cioci na imieninach jedną czekoladkę z ajerkoniakiem, bo nie wypadało odmówić. Reasumując, o Stefana mogłem się w ogóle nie martwić, za to o siebie już bardziej, bo w świetle przedstawionych powyżej faktów to nie wyruszy on na Szkocję wcześniej niż za 10 godzin. Mając świadomość, że Stomil w tym momencie dojeżdża już do Londynu, a po opuszczeniu autokaru najprawdopodobniej stanie na przystanku i nie będzie wiedział, co zrobić, nie mogłem sobie pozwolić na takie opóźnienie. Za poradą Zbyszka stanąłem na wyjeździe ze stacji i zacząłem łapać stopa z nadzieją, że znajdę kogoś jadącego z grubsza w kierunku Wysp Brytyjskich.

Kamper

Nie minęło 5 minut, a tu podjeżdża karawan, ale NA ZACHODZIE to nie jest jak w Polsce, że karawan, to od razu pogrzebowy, tylko taki mobilny dom na kółkach – innymi słowami kamper. Fura miała niemieckie rejestracje, a za kierownicą siedział Arab, więc jak zatrzymał się koło mnie i uchylił okno, to z odmetów umysłu wyciągnąłem cały swój zasób słów w języku niemieckim i mu tłumaczę, że GUTEN MORGEN, AUTOSTOP AUF GROSE BRYTANJE?

Kierowca pyta WAS? To ja próbuję z innej strony podejść, że ME GEJEN AUF LONDON, NEED AUTOMOTO.

Po typie widać, że ani jednego słowa debil nie zajarzył, odwraca się do tyłu i woła w głąb kampera

SZUKI! SZUKI! WEŻ TY Z NIM GADAJ, BO JA NIEMIECKIEGO NIE ZNAM!

No kurwa szok. Arab w Niemczech, w niemieckim samochodzie, niemieckiego nie zna, a polski zna. Mówię do niego, że dobrze się w takim razie składa, bo ja też nie. Typ zdezorientowany jeszcze bardziej ode mnie pyta, co ja tu w ogóle robię i czy mam coś wspólnego z tymi tirowcami, co się na parkingu kłóca z drogówką. Mówię zgodnie z prawdą, że poniekąd tak, ale to dosyć trudno wytłumaczyć, a w chwili obecnej najbardziej zależy mi na tym, żeby się dostać do Londynu. W tym czasie z części mieszkalnej za pomocą mieszczących się z boku kampera drzwi wyszedł tamten Szuki, też Arab, dzierżąc w ręce jakieś kartki. Podchodzi do mnie i zaczyna je pokazywać tłumacząc, że AUTO PAPIREN ALLES GUT – REGISTRAZION, INSCHURANCE, ALLES GUT. Ten kierowca mu mówi, żeby się nie wydurniał, bo ja jestem zwykły autostopowicz z Polski, to Szuki na mnie naskoczył, że po chuj kurwa ludzi straszę. Jak sytuacja trochę się uspokoiła, to mi się udało wytłumaczyć, że jadę do Londynu, a im udało się wytłumaczyć, że jadą do Birmingham, więc ich trasa tak właściwie to przebiega przez Londyn, więc mogę się z nimi zabrać.

Wsiadłem do środka i zajęliśmy z Szukim miejsca siedzące w części mieszkalnej, przy stole, ale blisko kierowcy, a ten drugi – który miał na imię Wano – prowadził. Obydwaj mieli tak koło trzydziestki, a gdy po pół godzinie skończyłem opowiadać historię o tym, jak bez żadnego bagażu i środka transportu znalazłem się w Niemczech, to miałem okazję dowiedzieć się, jak to możliwe, że tak dobrze mówią po polsku.

Wano i Szuki okazali się Cyganami z okolic Cieszyna, którzy pod Frankfurtem kupili na handel tego kampera, którym jechaliśmy, a teraz obrali kurs na Wielką Brytanię, żeby tam go

sprzedać. Tłumaczyli mi swój model biznesowy, krzycząc jeden przez drugiego ponad 3 godziny, a pomimo tego nadal nie skumałem do końca, o co chodzi, więc jeżeli coś pomieszałem, to soraweczka. Pomysł z grubsza był taki:

W Polsce oszczędzili pieniądze na kampera. Pojechali go potem kupić pod Hanower. Teraz z Hanoweru jadą do Birmingham kupić drugiego kampera, a potem dwoma kamperami jadą do Bristolu, gdzie mają brata, co już tam siedzi 5 lat i pracuje w warsztacie samochodowym. W Bristolu przekładają kierownicę z tego pierwszego kampera do tego drugiego, żeby miał kierownicę po prawej stronie, jak to w Wielkiej Brytanii. Z tego drugiego natomiast przekładają kierownicę do tego pierwszego, żeby miał kierownicę po lewej stronie, jak to w Europie kontynentalnej. No i jeszcze elektrykę też przekładają, bo Brytyjczycy mają inaczej, ale to już będą musieli znaleźć do tego fachowca, bo ten brat się podobno nie zna. Aha, ostatnia rzecz do przełożenia to tablice rejestracyjne. Wtedy tego pierwszego kampera, który był niemiecki, a jest angielski, sprzedają tam na miejscu, a tego drugiego, co był angielski, a stał się niemiecki, sprzedają nie – jak pewnie myślicie – w Niemczech, a w Polsce.

Jak wspominałem, 3 godziny mi to kurwa tłumaczyli i nadal nie jestem w stanie ogarnąć, gdzie tu jest sens. Mówili, że jak się zrobi taki manewr, to się nie płaci cła czy coś tam, a ich brat to jest taki fachowiec, że jak przełoży kierownicę, to nie będzie szło poznać, który był który. I że na takim biznesie to można na jeden raz zarobić z 10, a czasami to i 20 tysięcy euro, bo oni mają wszystko wyliczone. Dalszy plan jest taki, że jak to się powiedzie, to na następny raz wezmą już dwa kampery zamiast jednego, potem cztery, potem osiem i tak dalej, aż będą mieli całą flotę kamperów. A wtedy jej już nie sprzedadzą, żeby mieć na dwie floty na następny raz, tylko całą przywiozą do Polski, aby nią wwieźć naród cygański w XXI wiek, z wieku XX, w którym spotkało go nie mniej nieprzyjemności niż okoliczne narody polskie i żydowskie, o czym się nie mówi. Bo w wozie cygańskim to wiadomo, jak jest, jak w jakimś wozie Drzymały, że raz na wozie, raz pod wozem, a w takim kamperze to nie dosyć, że można naraz sobie pojechać nawet do Portugalii, to jeszcze urządzone jest lepiej niż niejeden ma w mieszkaniu. To akurat była prawda, bo w tym, którym my aktualnie jechaliśmy, było lepiej niż w mieszkaniu moim i moich starych.

W czasie gdy to wszystko mi opowiadali, to według oznaczeń autostradowych zdążyliśmy już minąć Bielefeld, potem Dortmund, potem Essen i potem w końcu wjechać do Holandii, przez którą mieliśmy do przejechania jakieś 100 kilometrów. Lecimy dziarsko szosą, Wano i Szuki palą szluga od szluga – po czym można było poznać, że nie mają HIV-a – a ja z tyłu kampera miałem wczasy all inclusive, bo Cyganie, korzystając z dużej ładowności kampera, nakupili w Lidlu pod Hanowerem zapasów na całą wyprawę: mielonki, zupki chińskie, kabanosy niemieckie, co się nazywają Frankfurter, i tym podobne niepsujące się wiktuały podróżne. W tym oczywiście tę słynną niemiecką czekoladę z Lidla, co kosztuje tyle samo co w Polsce, a rzekomo jest lepsza jakościowo, ale głowy nie dam, czy to prawda, bo jadłem pierwszy raz. Jeszcze muzyczka leciała, i to wbrew temu, co możecie podejrzewać, nie żaden Don Wasyl, tylko Szuki nagrał na podróż prawidłą składankę na CD, z Peją, WWO, Onarem i trochę techniwki. Zacząłem już sobie myśleć, że w sumie to miałem szczęście z tym ucieknętym autokarem, bo jadę tu w lepszych warunkach niż tam Stomil koło tego typu, co się pod Poczdamem obrzygał. Niby koszulkę zmienił, ale jak wiadomo, to potem i tak cały czas trochę czuć, a ja tutaj w kamperze mam jak basza osmański, że nawet łóżko jest, jak bym się chciał przespać.

Niestety, zawsze miałem tak, że jak pomyślałem sobie coś takiego, to życie za chwilę starało przywrócić się do ustawień fabrycznych, czyli stanu chujowego. Kamperem jechaliśmy przepisowo prawym pasem autostrady, a lewym pasem podjechał do nas policjant na motorze, zrównał się z nami i zaczął gapić. Wano zaczął patrzeć po kontrolkach

na desce rozdzielczej, czy może światła ma wyłączone, ale nic z tych rzeczy. To zwolnił, a tamten też zwolnił. Przyspieszył, to tamten też przyspieszył i jeszcze zaczął gadać przez krótkofalówkę. Myślę sobie, pojebane to jest, niech już nas haltuje jak człowiek, mówi, o co chodzi, daje mandat i jedziemy dalej. Policjant się zgodził z moimi myślami, bo zaraz zajechał nam drogę, włączył syrenę i kierunkowskazem zaczął pokazywać, że mamy za nim zjeżdżać na parking przy autostradzie. Zauważyłem taką prawidłowość, że jak czegoś jest gdzieś mało, na przykład autostrad czy linii metra w Polsce, to jest to okazałe i zadbane i nie ma siły, żeby po którejś z 15 stacji metra w Warszawie (bo jakoś tyle wtedy było) latały szczury i wszędzie leżały śmieci, czego, jak miałem się wkrótce przekonać, nie można powiedzieć o stacjach metra w Londynie, których jest ponad 200, a każda wygląda właśnie tak. To samo z tymi parkingami przy autostradach, że jak u nas są na krzyż dwa MOP KRZYŻANÓW, czyli MOP KRZYŻANÓW WSCHÓD i MOP KRZYŻANÓW ZACHÓD, to jest miejsca na 100 tirów, cztery kible, interaktywną tablicę informacyjną napędzaną panelem słonecznym i tym podobne. Analogicznie Holendrzy – podobnie jak Niemcy – mają wszędzie autostrady, więc ten parking, na który nas zawijali, nie zawierał w sobie nawet stacji benzynowej, tylko były z 3 wiaty turystyczno-rekreacyjne i kibel uniseks, żeby nie trzeba było wstawiać dwóch sedesów. Tym dziwniejsze było, że do ochrony tak mało reprezentacyjnego obiektu oddelegowano aż dwa radiowozy, czterech policjantów, psa gończo-śledczego i dwóch jakichś starszych typów w dziwnych mundurach, którzy trzymali taką wielką tarczę kuloodporną, jak mają antyterroryści w Ameryce, gdy wchodzi do jakiegoś gangstera do mieszkania.

Jak tylko się zatrzymaliśmy, to policjanci nam pokazują, że mamy wychodzić na zewnątrz i już się zrobiło nieprzyjemnie, a tam było jeszcze gorzej, bo centralnie wszyscy na nas powyciągali pistolety (z wyjątkiem tych dziadków od tarczy, bo oni nie mieli) i kazali nam się kłaść na ziemi. W tym momencie mi zaświtało, że oni raczej nie pilnują tego parkingu i wróciło do mnie wiele uprzedzeń antycygańskich, co do których wydawało mi się, że przez ostatnie kilka godzin zanikły. Pierwsza myśl, to że kamper pod Hanowerem nie kupiony, a skradziony. Że ja im z nieba spadłem, autostopowicz debil, i zaraz na mnie zwalą, że to ja ukradłem, a ich porwałem i zmusiłem, żeby prowadzili. A przecież będzie to głos ich dwóch przeciwko głosowi mnie jednego. Że w kamperze po szafkach pod czekoladami z Lidla nie wiadomo co pochowane. Jeszcze jak by marihuana była, to pół biedy, bo w Holandii jesteśmy, ale pewnie tam jest kokaina nakrapiana heroiną, albo ten słynny narkotyk, co się podaje małym dzieciom, żeby je odurzyć i potem było z nimi łatwiej żebrać. Dowódca tych policjantów do nas mówi, że najpierw będzie przeszukanie pojazdu w poszukiwaniu środków niebezpiecznych, a potem się zajmiemy formalnościami. Zrozumiałem, co mówił, dlatego że Holendrzy mają pojebany język, z czego jednak zdają sobie sprawę, biorą za to pełną odpowiedzialność, więc wszyscy zajebiście mówią po angielsku. Do przeszukania oddelegowano tych dziadków z tarczą, którzy ją dźwignęli i podeszli do bocznych drzwi od kampera, ale okazało się, że są one za wąskie w stosunku do tego, jak szeroka jest tarcza, dlatego trzeba ją wnieść bokiem. Jeden dziadek wszedł pierwszy, plecami do środka, a drugi mu tarczę trochę podniósł z zewnątrz, ale tym uchwytem na rękę co tarcza ma po wewnętrznej stronie się zahaczyła o klamkę, więc musieli się cofnąć i spróbować jeszcze raz. Przeszukiwali kampera kawałek po kawałku i po każdej przeszukanej sekcji tarczę przenosili kawałek dalej, co leżąc na zewnątrz, można było poznać po tym, że z samochodu dobiegał odgłos podnoszenia I RAZ I DWA I TRZY I OOOOOP, czyli po holendersku EN TWE DRIE OOOOOP, a następnie głośne upuszczanie tarczy na podłogę metr dalej. My tymczasem ciągle przebywaliśmy brzuchami na betonie, aż nagle ten ich pies śledczy do mnie podchodzi i zaczyna lizać po mordzie. Wtedy pomyślałem, że ze mną już koniec, bo

zostałem organoleptycznie wskazany przez obiektywnego psa jako przywódca gangu i na pewno dostanę w tej sytuacji z 10 lat więzienia, a Szuki i Wano to najwyżej po 2–3 lata, i to pewnie w zawiasach. Jednak zamiast natychmiastowego przewiezienia mnie do zakładu karnego stała się rzecz dziwna, bo jeden z policjantów tego psa opierdził, żeby mnie nie lizał, i wziął go na smycz i przywiązał do wiaty kawałek dalej, żeby nie podchodził i mi nie dokuczał.

Po chwili z kampera wyszedł jeden z tych tarczowników z naszymi dokumentami, które zostały w środku, i dał je dowódcy, ale musiał biegiem wracać do środka, bo jego kolega zaczął coś krzyczeć – po odgłosach wnioskowałem, że go tarcza przygniotła. W tym czasie policjanci zaczęli oglądać dokumenty z każdej strony, aż w końcu pytają NO ARAB? Więc im tłumaczę, że NO, I AM POLISH AND THEM POLISH-CYGANIE. To policjanci dopytują CIHUNERS?, to ja potwierdzam, że no tak, Cyganie, przecież mówię. Jak to usłyszeli, to momentalnie nas podnieśli z ziemi i zaczęli przeproszać i otrzepywać z kurzu. Że oni nie wiedzieli, że pomyłka taka i spodziewali się zupełnie czego innego. Mi też się wtedy zrobiło głupio, że o Szukim i Wano już miałem najgorsze myśli, ale przynajmniej nie musiałem się publicznie kajać, bo nikogo nie rzucałem na asfalt, tylko tak sobie myślałem w głowie.

Policjanci zawołali też tych dwóch dziadków ze środka, którzy wyszli stamtąd ostatkiem sił, bo było samo południe i kamper się w środku zajebiście nagrzał, a oni jeszcze musieli w jego wąskiej przestrzeni dźwigać tę tarczę ochronną. Wtedy dowódca przystąpił do tłumaczenia, że my nie wiemy, jak to jest mieszkać w takim małym mieście 10 000–19 999 mieszkańców. To my mówimy, że wiemy, bo sami z takich pochodzimy. To on mówi, że może i tak, ale w Polsce, dużym kraju, a oni nie dosyć, że z małego miasta, to jeszcze w kraju o skromnym zaludnieniu i obszarze geograficznym. Że tu u nich to się centralnie nic nie dzieje, że ich jest wszystkiego łącznie 4 policjantów i tych dwóch emerytów z Rezerwy Obywatelskiej czy czegoś takiego. Szuki zwrócił uwagę, że jeszcze pies, to jeden policjant mówi, że pies to jest jego prywatny, nieposiadający żadnych zdolności kryminalistycznych, tylko on go nie może samego zostawiać w domu, bo gryzie kanapę. Żebyśmy mieli trochę zrozumienia dla ich sytuacji, bo u nich w mieście średnia arytmetyczna wieku to jest 58 lat i nie ma ani przestępczości, ani w ogóle niczego godnego uwagi. Dwa miesiące temu mieli zgłoszenie, że kobieta torebkę ukradła ze sklepu, to w toku śledztwa wyszło, że to była jej własna, z którą do sklepu przyszła, a w domu to nawet na nią miała paragon fiskalny, co go zachowała w celach gwarancyjnych. Kiedyś to jeszcze był coffee shop i przyjeżdżała młodzież z nieodległej Belgii i Niemiec się zabawić, to jeszcze coś tam do roboty mieli. A to ktoś butlę po piwie rzucił, a to oddał mocz na ulicy, ale rok temu rada miasta przegłosowała, że w coffee shopie można sprzedawać tylko obywatelom holenderskim i zbankrutował.

Ja mówię, dobra, ale co to ma z nami wspólnego? No to oni zakłopotani zaczynają tłumaczyć, że co chwilę się słyszy, że gdzieś był jakiś zamach terrorystyczny: a to w Nowym Jorku, a to w Paryżu, a to Londynie czy Madrycie, takich różnych ekskluzywnych miejscach, centralnych ośrodkach kulturalno-gospodarczych. Więc oni pomyśleli, że jak by przypadkiem u nich taki zamach był, to by było coś. Że oczywiście nie są jacyś pojebani, że by chcieli, żeby ktoś w nim zginął, tylko taki bardziej symboliczny, żeby jakąś fontannę wysadzili, może tak skromniej nawet, że ławkę w parku czy coś takiego, to już i tak powinno wystarczyć, żeby oczy całego świata się zwróciły na ich miasteczko, a rząd to by na pewno przeznaczył jakieś dodatkowe środki. Natomiast oni są niestety realistami i zdają sobie sprawę, a i my pewnie ich rozumiemy, że jak taki terrorysta ma do wyboru całą Europę i może sobie zrobić zamach pod bazyliką św. Piotra czy pod wieżą Eiffla albo Parlamentem Europejskim, to raczej marne szanse, żeby się zdecydował akurat na miejscowość formatu 10 000–19 999 mieszkańców jak ich czy nasze w Polsce. Trudno się zresztą dziwić, jeżeli się spojrzy na to z

perspektywy takiej zakamuflowanej komórki terrorystycznej, która musiałaby potem wysłać gdzieś do centrali Al-Kaidy w Afganistanie raport, że brat Ahmed osiągnął męczeństwo, wysadzając się na parkingu pod Tesco, w wyniku czego poważnie uszkodzony został śmietnik, lakier trzech samochodów, a wierny pies jednej niewiernej emerytki to się tak wystraszył, że jak uciekł, to go potem 2 dni nie mogli znaleźć. No i biorąc wszystko powyższe pod uwagę, to ci policjanci wymyślili, że spróbują szczęścia na tej autostradzie, bo a nuż będzie jakiś ekstremista przejeżdżał w drodze na zamach w jakimś prestiżowym miejscu. Że oni co prawda nie popierają typowania ludzi do przeszukań na podstawie karnacji, ale Szuki i Wano też muszą zrozumieć ich sytuację i mają chyba świadomość, że wyglądają, jak wyglądają. Więc ja pytam, a dlaczego w takim razie mnie wytypowano? Policjanci mówią, że jako że jechałem z tymi dwoma, to oni pomyśleli, że może jestem jednym z tych, którzy się zradykalizowali w szkole albo w Internecie, a tacy są podobno najgroźniejsi. To im tłumaczę, że u mnie w szkole to można było się zradykalizować tylko na fanatyka Korony Kielce, takiej polskiej drużyny piłkarskiej znaczy. Policjanci na to, że OOOO, TAAAAK, że oni o tym słyszeli, bo wtedy zaczynały się przygotowania do EURO 2012 i wszędzie w Europie Zachodniej w telewizji leciały reportaże o tym, jaki w Europie Wschodniej jest bandytyzm na stadionach i że lepiej nie jechać.

Jak usłyszeli o tej Koronie Kielce, to zaczęli coś między sobą szeptać, a potem zapytali, czy byśmy nie chcieli zarobić po 50 euro. My wiadomo, że chcieliśmy, bo akurat paliwo w kamperze się kończyło, a ja też czułem, że powinienem się dorzucić do wachy, ale byliśmy dosyć nieufnie nastawieni i woleliśmy najpierw wiedzieć za co. Dowódca policjantów mówi więc bez zbędnych ogródek, że widzimy ten szalec co tu stoi, nie? No widzimy. To że jak już tu jesteśmy, to może byśmy im chociaż zrobili przysługę, ja bym na ścianie napisał coś polskiego-kibolskiego, a Szuki i Wano są trochę podobni do Arabów, to by napisali na ścianie coś w języku podobnym do arabskiego, jakiś taki radykalny przekaz. Od razu byłoby wielkie śledztwo, że się w okolicy pojawił jakiś niebezpieczny element, zdjęcia kibla by były w lokalnej gazecie, a z Eindhoven by musieli ściągnąć biegłego, żeby napisy przetłumaczył i interpretował. 50 euro piechotą nie chodzi, więc mówimy, no dobra, tylko wy musicie zapewnić markera do pisania. Okazało się, że mają tylko długopis do wypisywania mandatów i nawet próbowaliśmy nim mazać po ścianie w toalecie, ale zupełnie nie szło. Na szczęście jeden policjant sobie przypomniał, że córka u niego w samochodzie zostawiła piórnik, jak ją odbierał ze szkoły, więc dostaliśmy kredki świecowe.

Ja napisałem ARKA GDYNIA, bo nic lepszego mi nie przyszło do głowy, to policjant zapytał, czy dałoby radę, żebym może jeszcze do tego domalował swastykę, żeby było groźniej. Mówię mu, że ohoho, na takie rzeczy się nie umawialiśmy, my jesteśmy z Polski, kraju ciężko doświadczonego przez totalitaryzmy, więc ja za 50 euro nie będę swastyki malował, bo babcia mojego kolegi była na robotach przymusowych. On pyta, czy może chociaż krzyż celtycki, czy jakiś wilczy hak, takie mniej oczywiste symbole, to mówię, że dobra, ale żeby krzyż celtycki był wpisany w hasło, to musi się w nim znajdować litera O, przez którą się wtedy rysuje dwie kreski i gotowe, a w ARKA GDYNIA nie ma O. Dlatego skreśliłem, a obok dopisałem DYNAMO MOSKWA, gdzie O są aż dwa, więc krzyż celtycki był podwójny. DYNAMO MOSKWA to może nie po polsku, ale jest jeszcze bardziej na wschód, więc policjanci stwierdzili, że w ich zachodnio-europejskim przekonaniu to jako całość wygląda teraz nawet groźniej od swastyki.

Potem przyszła kolej na Cyganów, którzy kompletnie nie mieli pojęcia, jak pisać po arabsku, więc dowódca im powiedział, że mogą napisać po cygańsku, byle coś brzydkiego. No to Wano napisał KURWO JEBANO, jednak ku zaskoczeniu policji było to w normalnym alfabecie rzymsko-katolickim, więc się prawie niczym nie różniło od holenderskiego, o

polskim już nawet nie wspominając. Mundurowi nie byli specjalnie zadowoleni, więc ja zasugerowałem, że jest potencjał na co najmniej dwa kolejne krzyże celtyckie, ale w końcu doszliśmy do wniosku, że byłoby to logicznie niespójne i w jednym napisie trzeba się skupić na jednej grupie ekstremistycznej. W tej sytuacji zapadła decyzja, żeby do liter w KURWO JEBANO dorysować po prostu jakieś szlaczki i kropeczki, żeby wyglądało bardziej bliskowschodnio, a potem niech sobie przyjeżdża biegły sądowy z Eindhoven i to rozszyfrowuje.

Na koniec dostaliśmy po 50 euro każdy, a jak odjeżdżaliśmy, to wszyscy mundurowi nam machali na pożegnanie – z wyjątkiem dwóch emerytów, którzy odgradzali już kibel taśmą policyjną jako miejsce zbrodni.

Po jakichś trzech godzinach, gdy zbliżaliśmy już powoli do promu do UK, poszedłem na tył kampera zrobić sobie i chłopakom po gorącym kubku. Zorientowaliśmy się wtedy, że ci starsi faceci z holenderskiej Obrony Terytorialnej zostawili u nas tę zajebiście wielką tarczę. Mieliśmy jednak podstawy, by sądzić, że nigdy nie będzie im ona potrzebna, więc po prostu wyjebaliliśmy ją na poboczu autostrady, żeby nie robić sobie niepotrzebnych problemów ze strażą graniczną na wjeździe do Wielkiej Brytanii.

Po tym, jak przeprawiliśmy się promem przez Kanał La Manche i przejechaliśmy kamperem jeszcze jakąś godzinę po autostradzie, Szuki i Wano zbili ze mną po bratersku pionę, a potem wyrzucili mnie na jakimś przystanku autobusowym na obwodnicy Londynu.

Victoria Station

Byłem coraz bliżej znajdującego się w centrum Londynu dworca Victoria Station, co poznawałem po tym, że za oknem widziałem różne miejsca podobne do tych, które kiedyś widziałem w filmach o Jamesie Bondzie. Z każdym mijanym przystankiem zamiast ulgi z faktu, że po tych wszystkich perypetiach docieram w końcu do celu, czułem narastającym niepokój o los mojego niewiernego towarzysza Stomila. Pamiętałem, że poniekąd to on dopuścił dwa dni wcześniej do sytuacji, w której zostałem pozostawiony przez autokar w kiblu w Niemczech, bo spał nachlany i nie powiedział kierowcy, żeby nie odjeżdżał, bo ja jeszcze nie wróciłem z oddawania moczu. Z drugiej strony musiał spędzić sam prawie 48 godzin na obcej ziemi londyńskiej, w dodatku nie znając języka i nie będąc nigdy za granicą. Obawiałem się więc scenariuszy najgorszych, czyli że albo nie żyje, albo żyje, tylko w celu przeżycia wydał na hotel cały mój hajs z plecaka, który zostawiłem z nim w autokarze. Głośnik w autobusie mówi w końcu STOP – VICTORIA STATION. Rzeczywiście się zatrzymaliśmy, a za oknem rzeczywiście było Victoria Station, więc głośnik powiedział prawdę. Staję na wiktoriańskim bruku, składającym się z płyt chodnikowych, i od razu dostaję po mordzie zimnym deszczem, aż mnie cofnęło. Cofnęło mnie na słusznej postury kobietę obładowaną siatkami z Tesco, która gdyby nie miała zajętych rąk, to pewnie by mnie jebnęła, ale jej sytuacja pozwalała jedynie na powiedzenie WANKER (po angielsku coś w stylu CHUJ – słyszałem to potem jeszcze wiele razy) i ponowne popchnięcie mnie do przodu swoim obfitym biustem, aż wyleciałem z zatoczki autobusowej na ulicę. Wtedy prawie przejechała mnie taksówka, której kierowca miał z kolei ręce zajęte kierownicą oraz nie miał biustu (a przynajmniej nie tak bujny), więc musiał ograniczyć się do samego WANKER. Spłoszyłem się i podbiegłem pod dach dworca, gdzie znalazłem się na wylocie podwójnych drzwi, przez które w każdej sekundzie przeciskało się wprost na mnie około 8 milionów mieszkańców Londynu. W mijających mnie twarzach starałem się wypatrzyć Stomila, ale oczywiście realistycznie rzecz biorąc, nie było na to szansy, za to przez zagapienie zostałem porwany przez wir tłumu. Kiedyś za dzieciaka byłem na obozie survivalowym, na którym głównym elementem survivalu była praktyczna nauka przetrwania w towarzystwie takiego

Błażeja, który mnie gnębił, ale wyniosłem z tego lekcję od ratownika znad jeziora, że jak cię wciągnie wir, to nie wolno z nim walczyć, tylko należy się mu poddać – przeciwnie niż tamtemu Błażejowi. Tak też zrobiłem. W warunkach rzecznych woda powinna cię wtedy wyrzucić na brzeg, natomiast w warunkach londyńskich skończyło się wyrzuceniem na glebę pod Starbucksem. Było to o tyle dobre, że tuż obok niego była informacja turystyczna, która z definicji istnieje po to, żeby pomagać ludziom w mojej sytuacji.

Stomil ma to do siebie, że jest człowiekiem otwartym na kontakty międzyludzkie i tworzącym wokół siebie dużo zamieszania. Anglicy na to mówią PEOPLE PERSON. Jak jeszcze w liceum jeździliśmy czasami gdzieś na imprezy, to nawet jak była duża domówka, to po 5 minutach znali go już wszyscy obecni. UK ze swoimi 60 milionami mieszkańców to oczywiście większe wyzwanie towarzyskie niż osiemnastka Dominiki z równoległej klasy, ale spróbować warto – szczególnie że Stomil z całą pewnością na Victoria Station był, bo tutaj zakończył swój kurs nasz autokar, więc może zdążył odpierdolić coś takiego, że został już tutaj zapamiętany. Podbijam więc do informacji turystycznej i na tyle, na ile pozwalały mi moje kompetencje językowe, na jednym wydechu tłumaczę kobiecie za szybą, że ja właśnie przyjechałem z Polski, że tutaj kolega miał czekać, taki mniej więcej mojego wzrostu, oczy koloru jasny brąz, że owszem, zdarzy mu się wypić, ale jak się go już trochę zna, to się wie, że ma też drugą stronę osobowości.

Baba na to mówi NO TAK, JASNE, więc ja zachwycony jej mówię, że po prostu super – co było łatwe, bo SUPER się mówi tak samo po polsku i angielsku – a ona, że TAK TAK, że oni tu mają dużo takich przypadków i że bym wiedział, że nie jestem sam. Potem wcisnęła mi przetłumaczoną na 10 języków ulotkę z adresem jadłodajni dla bezdomnych, uśmiechnęła się ciepło i serdecznie, i powiedziała NEXT PLEASE. Nie wiedziałem, co o tym myśleć – czy chodziło jej o to, że bym sobie tam poszedł zjeść, czy że bym tam szukał Stomila, czy co kurwa. Chciałem się cofnąć do okienka i doprecyzować, ale tam już stały kolejne 4 osoby i wszystkie się na mnie przy tej próbie popatrzyły w sposób nieprzyjemny, więc sobie poszedłem, bo jestem od urodzenia nieśmiały społecznie.

Wtedy kawałek od siebie słyszę A WEŻ SPIERDALAJ. Odwracam się, a tam stoi dwóch żuli i jeden drugiemu każe spierdalać po polsku. Dla mnie to było jak w kreskówkach, jak bohaterowi w głowie zapala się taka żaróweczka, jak ma wspaniały pomysł – jeżeli ktoś tutaj Stomila zna, to z pewnością nasze żule. To SPIERDALAJ też zabrzmiało tak swojsko, więc bez większego skrępowania podbijam do nich i znowu na jednym wydechu, ale za to teraz dysponując już większym zasobem słów, zaczynam tłumaczyć, że szukam takiego kolegi, mniej więcej mojego wzrostu, oczy jasnobrażowe...

STOMILA SZUKASZ?

Tak, kurwa, tak! Stomila właśnie! Aż jednego z nich uściskałem ze szczęścia, ale wtedy drugi mówi

JAK STOMILA SZUKASZ, TO SIĘ TROCHĘ SPÓZNIŁEŚ.

DLACZEGO?

BO ON JUŻ JEST ZGON!

Wtedy aż mi kurwa cała krew odpłynęła z twarzy, dopytuję, że jako zgon, a ci zupełnie nieprzejęci tłumaczą, że NO NORMALNIE, PADŁ.

Na miejsce tej odpłyniętej krwi mi zaczęły już napływać łzy i pytam łamiącym się głosem, gdzie on w takim razie jest, a oni z kamienną twarzą odpowiadają, że w śmietniku.

O WY SKURWYSYNI POGANIE – myślę sobie. Chłopak był, jaki był, ale na sam koniec mu się chociaż należy chrześcijański pochówek. Ciało sprowadzić do Polski, żeby jego nieszczęsny ojciec miał nad czym zapłakać, to ostatnia przysługa, jaką mu mogę wyświadczyć. W taką furję wpadłem, że aż się mnie te typy wystraszyły, i każe się prowadzić

na miejsce tymczasowego spoczynku. Zaprowadzili mnie na tyły dworca, do części służbowej, gdzie się rozładowuje dostawy do wszystkich Starbucksów i Costa Coffee mieszczących się na Victorii. Wskazali kilka stojących w zaułku śmietników i powiedzieli, żebym tam sobie zajrzał, po czym spierdolili w przestrachu. Włazę tam i z takim namaszczeniem, na jakie tylko pozwalały okoliczności, zaczynam rozsuwać śmietniki. W końcu ukazuje mi się mrozący krew w żyłach widok – jest Stomil, mój przyjaciel od najmłodszych lat. Leży w przewróconym na ziemię śmietniku i nie żyje mocno. Wyglądał tak jakoś błogo, spokojnie, nawet pomimo tego, że trochę już tam musiał leżeć, bo ciało napuchło. Smutek był we mnie silniejszy niż obrzydzenie, więc nachyliłem się nad zwłokami, żeby po raz ostatni przyjrzeć się przyjacielowi.

A ten nagle otwiera oczy i mówi O KURWA, KTÓRA GODZINA?!

Z przerażenia wypierdoliłem się z kucków na plecy. Wleciałem w inny śmietnik. Z tego śmietnika zaczęły uciekać szczury. Ja czołgam się na plecach po ziemi ujebanej tym całym najgorszym syfem, który wypływa ze śmieci. Stomil wtedy lekko się podniósł i mówi z takim wkurwiającym przekąsem OOO, NO PROSZĘ! KTO W KOŃCU TU DO NAS DO UK PRZYJECHAŁ! Gdyby faktycznie właśnie wybudził się ze śmierci klinicznej i powrócił na ziemię zza światła na końcu tunelu, to na pewno nie miałby tak irytującego tonu, tylko bardziej uduchowiony, więc się podnoszę i patrzę, co tu się odjebało. Ten leży w śmieciach i wygląda jak wielki, menelski lód waniliowy. Jak lód waniliowy dlatego, że śmietnik to nie był taki duży kontener, tylko taki mały plastikowy, jak się stawia przed domami, w kolorze brązowym, więc wyglądał trochę jak wafelek. Stomil mieścił się w nim tylko do pasa, więc górną część ciała miał owiniętą w jakąś kołdrę, spod brudu której przebijał kolor lekko żółty, więc jak wanilia. A menelski, bo mój serdeczny przyjaciel był od melanżowania z lekka podpuchnięty i przyczerwieniony na twarzy, która wyłaniając się z waniliowej kołdry, wyglądała w tej kompozycji trochę tak, jakby ktoś na tego loda położył wisienkę dla ozdoby. Dostakuję do niego i od razu masa pytań: dlaczego żule powiedziały, że nie żyje, dlaczego nie zawrócił autokaru w Niemczech, dlaczego śpi w śmietniku, co robił przez ostatnie dwa dni i wiele innych. Stomil odpowiedział tylko na pierwsze pytanie, wyjaśniając, że zezgonował, bo na dworcu od rana kręcił się melanż z chłopakami, więc po południu siły go już opuściły i przyszedł tutaj się przekimać. Resztę obiecał opowiedzieć po drodze do pracy, bo spiesz się na trzecią zmianę. To pytam, dokąd kurwa na trzecią zmianę, kopalnie w UK już chyba dawno pozamykali, nie?! A on, że do przejścia podziemnego grać na gitarze, bo mają z takimi jeszcze dwoma kolegami jedną gitarę w leasingu na spółę, więc grają na zmiany po 8 godzin, zresztą sam zaraz wszystko zobaczę.

Idziemy do przejścia, będącego zakładem pracy Stomila, a on mi nawija opowieści jak ci Polacy z autokaru, jakby do Anglii przyjechał jeszcze z Batalionem 303.

NO SZYBCIEJ IDŹ, BO U NAS W UK CZAS TO PIENIĄDZ. O, TUTAJ MASZ W SUBWAYU PROMOCJE NA KANAPKI OD 13:00 DO 16:00, A TUTAJ 6 POLSKICH PIWEK KUPISZ ZA 5 FUNTÓW. O PATRZ, TAM CHŁOPAKI SIEDZĄ – SIEMA MORDY!!! A TUTAJ NA TEJ OTO ŁAWCE TO SIEDZIAŁEM, JAK TYLKO PRZYJECHAŁEM, I ZASTANAWIAŁEM SIĘ, CO ZE SOBĄ ZROBIĆ. NO ALE TERAZ JUŻ KONKRETNIE USTAWIONY JESTEM. NAWET BYM CIĘ WZIAŁ DO NAS DO ROBOTY, ALE WIESZ, TERAZ WAKATÓW NIE MA, CO NIE. ALE JAK COŚ, TO BĘDĘ DAWAŁ ZNAĆ. NIE DAM KOLEDZE ZGINAĆ.

Mówię mu, weź się kurwa w łeb uderz. Nie będę od ciebie przyjmował jakichkolwiek porad w kwestii kariery zawodowej, bo mieszkasz w śmietniku. W ogóle jak ty niby na gitarze grasz, skoro jesteś amuzykalny jak ja i naszym pierwszym i ostatnim sukcesem w tej dziedzinie sztuki było dostanie oceny dobrej za zagranie na flecie „Ody do radości” na lekcji muzyki w 6 klasie szkoły podstawowej. A Stomil mi na to mówi, że TA? TO ZARA ZOBACZYSZ.

Wchodzimy do przejścia podziemnego, gdzie faktycznie siedział jakiś typ z gitarą, zbił ze Stomilem pionę, powiedział, że dzień taki sobie, dał mu gitarę, wysypał sobie z leżącej na ziemi czapki monety do kieszeni i poszedł. Stomil stanął dumnie z tą gitarą jak kurwa Antonio Banderas w megahicie kina niedzielnego DESPERADO i zaczyna napierdalać palcami w kółko te same trzy akordy, a drugą ręką po strunach, ile fabryka dała
HEJ GDZIEŚ TAM ZNAD CZAAAAARNEJ WODY

Nie no kurwa, to się nie może dziać.

WSIADA NA KOŃ UUUŁAN MŁODY

CZULE ŻEGNA SIĘĘĘ Z DZIEWYYYYNĄ

JESZCZE CZULEJ Z U-KRA-I-NA

HEJ! HEJ! HEEEEJ SOKOŁY!!!

I tak dalej. Myślę, ja pierdolę, śni mi się to chyba. A tu nagle podchodzi jakiś Arab i wrzuca dwa funty. Zaraz idzie kobieta w hidżabie i nic nie wrzuca, ale się uśmiecha i pokazuje kciuk do góry, że jej się podoba. Zaraz potem Arab z Arabką i dzieciakiem, dziecku dali pieniążek, żeby podeszło i wrzuciło. I tak dalej, i tak dalej. Stomil w końcu skończył utwór i mówi, żebym przeliczył, ile jest w czapce. 7 funtów. A ile grał? No tak z 10 minut, normalnie byłoby krócej, ale wielokrotnie powtarzał refren. W każdym razie hajs się zdecydowanie zgadza. Nie mogłem tylko pojąć, dlaczego tak się to podobało Brytyjczykom pochodzenia arabskiego, bo oni reagowali najentuzjastyczniej. Wtedy jeszcze nigdy nie byłem w żadnym kraju arabskim i wydawało mi się, że nie mają tam zbyt lasów, natomiast nie wykluczałem, że mają góry, pola i doły do omijania, więc mogą się w pewien sposób z tym utworem identyfikować. Albo może jest fonetycznie podobny do jakiegoś przeboju arabskiego, nie wiem kurwa, ich odpowiednika MIŁOŚĆ W ZAKOPANEM, na przykład MIŁOŚĆ W ISLAMABADZIE czy gdzie tam się w świecie arabskim jeździ na narty – o ile w ogóle, bo nie wiem, czy mają śnieg. Pytam tylko Stomila, czy zdaje sobie sprawę, że śpiewał UŁAN MŁODY, zamiast KOZAK MŁODY, jak jest w oryginale. Że przecież to jest nielogiczne, bo co by robił ułan na jakimś stepie akermańskim.

CZŁOWIEKU, NIE MA CO WCHODZIĆ W NIUANSE, PRZECIEŻ ARAB I TAK CI JEDNEGO OD DRUGIEGO NIE ODRÓŻNI.

Stomil musiał przez chwilę złapać oddech, bo przy śpiewaniu naprawdę dawał z siebie wszystko. Mówię mu, że nie wiedziałem, że jest tak utalentowany gitarowo i wokalnie. On na to mówi, że hehe, on też sobie wcześniej nie zdawał sprawy, ale tutaj w UK się poduczył i teraz może grać bite 8 godzin. No to go zachęcam, żeby zagrał coś jeszcze, a on, że jasne, spoko.

HEJ GDZIEŚ TAM ZNAD CZAAAAARNEJ WODY

Nie zdążył dojść do momentu z wsiadaniem na koń przez ułana bądź kozaka, a tu nagle nie wiadomo skąd się pojawiły bagiety i zaraz spisywanie i mandat 500 funtów za zakłócanie porządku i włóczęgostwo, i żebractwo. Tak właśnie złamano karierę muzyczną, która zapowiadała się znakomicie – przynajmniej w świecie arabskim.

Roman i śmietnik historii

NO I PATRZ. TUTAJ MASZ WYLOT GORĄCEGO POWIETRZA Z WENTYLACJI, TO NIE MA CHUJA, ŻEBY CI W NOCY BYŁO ZIMNO. JA TO SIĘ NAWET CZASAMI BUDZIŁEM SPOCONY I SIĘ MUSIAŁEM ROZBIERAĆ DO SAMYCH GACI. MATERIAŁ TO JEST PLASTIK HDPE, POLIETYLEN, NIE IDZIE GO PĘKNAĆ, 100% WODOODPORNY.

KOŁDRĘ NA RAZIE MAMY JEDNĄ, ALE MI TO I TAK W NOCY GORĄCO, TO CI MOGĘ ODDAĆ, A POTEM, JAK JUŻ SIĘ URZĄDZIMY, TO SIĘ KUPI DRUGĄ. METRAŻ MASZ 240 LITRÓW. NO I PRZED WSZYSTKIM ŚWIETNA LOKALIZACJA – POCIĄG, METRO,

ZAJEJDZNA AUTOBUSOWA, ŚCISŁE CENTRUM. WIESZ, ILE TO BY NORMALNIE KOSZTOWAŁO MIESIĘCZNIE?

NIC BY NIE KOSZTOWAŁO, BO TO JEST JEBANY ŚMIETNIK!

NO ALE ZAKŁADAJĄC TAK HIPOTETYCZNIE.

NIE BĘDĘ NAWET HIPOTETYCZNIE MIESZKAŁ W ŚMIETNIKU!

ALE DLACZEGO TY SIĘ TAK DENERWUJESZ? PRZECIEŻ NIE MÓWIĘ, ŻE MAMY TU MIESZKAĆ, TYLKO ŻE DOBRZE JEST ROZWAŻYĆ KAŻDY WARIANT...

WARIANT JEST JEDEN – JEDZIEMY DO KRYSZTIANA.

Krystian to mój kuzyn, w sensie syn siostry ciotecznej mojej matki. Jest ode mnie z 5 lat starszy i posiadamy bardzo odmienne charaktery. Dla przykładu to jak matka z ciotką sobie urządzały pogaduszki przez telefon, to matka narzekała, że ja to prawie ciągle w domu siedzę, ani żadnej dziewczyny nie przyprowadzę, ani nic. Ciotka natomiast narzekała, że Krystian do domu po weekendzie z dyskoteki to wraca we wtorek, jak mu się pieniądze skończą, a jeszcze mu mało, to jeszcze chwilówki bierze. Że jakiegoś dziecko zrobił, ale mówił, że nie jego, ale ona do nich przychodziła pod dom żądając uznania ojcostwa. Z tym ojcostwem to w końcu stanęło na NO MOŻE, co oznaczało, że Krystian będzie na dziecko płacił, ale tylko trochę. Cała sprawa przysporzyła jednak wszystkim sporo stresu, z którym akurat Krystian poradził sobie najgorzej, bo w ramach odreagowania spuszczał wpierdol jakiemuś typowi na zabawie, co się skończyło zawiasami i grzywną. Zaraz potem jakaś zupełnie inna panna w ciąży zaczęła przychodzić do ciotki pod dom i stało się jasne, że pracując w Polsce za polskie złotówki, Krystian nie podoła piętrzącym się przed nim zobowiązaniom finansowym, więc pojechał pracować do UK za funty szterlingi.

Jak pierwszy raz z Anglii przyjechał na Boże Narodzenie, które akurat spędzaliśmy u ciotki, to go wujek posadził na swoim honorowym miejscu u szczytu stołu, taki był z niego dumny. Krystian przywiózł ojcu w prezencie pod choinkę litr prawdziwej szkockiej whisky Johnnny Walker z Orlenu, a pozostałym dziesiątki opowieści, jak wspaniale mu się żyje na Wyspach. Mój ojciec wtedy podłapał temat i zaczął zagadywać Krystiana, czyby mnie nie wziął pod skrzydło i nie zabrał ze sobą do UK, żebym się nauczył życia. Ja w duchu myślałem, czego niby miałbym się uczyć od Krystianka, jebanego sebixa, chyba teorii gier na jednorękich bandytach pod tytułem JAK POŁYKA (MONETY), TO KIEDYŚ W KOŃCU MUSI WYPLUĆ, która również przyczyniła się do jego problemów finansowych. Po tej wigilii, jak wracaliśmy z rodzicami do domu samochodem, to matka ojcu mówiła, żeby nie gadał głupot o tej Anglii, bo ja przecież jestem inny od Krystiana, bardziej wrażliwy, i na obczyźnie 3 dni bym nie przeżył. No to teraz fast forward kilka lat to przodu i licząc od momentu przekroczenia autokarem granicy polsko-niemieckiej, to dzisiaj w nocy świętować będę mógł przeżycie już 3 dni poza ojczyzną. Dodało mi to samozaparcia, bo matka wjechała mi wtedy ostro na ambicję, więc zawzięłem się, że przynajmniej te kilka godzin do północy muszę jeszcze wytrzymać.

Poszliśmy do sklepu, kupiłem angielską kartę SIM i dzwonię do Krystianka, że HEHE NO SIEMASZ BRAJDAK, PAMIĘTASZ, JAK NAJEBANY MÓWIŁEŚ 2 LATA TEMU NA WIGILII, ŻE JAK BYM KIEDYŚ BYŁ W LONDYNIE, TO MOGĘ DO CIEBIE WALIĆ JAK W DYM? Nie pamiętał, to mu przypomniałem. Zaczyna coś tam kręcić, że on akurat z pracą miał ostatnio ciężko, z kolegami mieszka, w domu mało miejsca, no raczej nie da rady. Zaszantażowałem go, że wrócę do Polski i opowiem mojej matce, a ona opowie jego matce, jak to mnie zostawił na pastwę losu, a jego matka mu wtedy nie da żyć. Nie miał wyjścia i mówi, że dobra dobra, ale tylko kilka pierwszych nocy na początek. Dał adres, my poszliśmy do kawiarenki internetowej na dworcu sprawdzić, jak tam dotrzeć, i pojechaliśmy. Lokalizacja nieco odmienna, niż wynikało z opowieści, bo na wigilii się zaklinał, że ma FLAT, w sensie

mieszkanie, z widokiem na Hyde Park i raz nawet jak szluga palił w oknie, to widział królową brytyjską, jak tam karmiła kaczki. Może faktycznie ją widział przez okno, ale jak przyjechała na jakieś spotkanie z trudną młodzieżą, bo okazało się, że Krystianek mieszkał na Croydon, czyli dosyć patologicznej dzielnicy, będącej od centrum godzina pociągami, a potem jeszcze pół godziny z buta. Jak już szliśmy ze stacji do jego domu, to rzeczywiście przechodziliśmy przez park i nawet był w nim jeden człowiek, ale nie była to królowa Elżbieta, bo po pierwsze był czarnoskórym mężczyzną, a po drugie pytał, czy nie mamy poczęstować szlugiem – a królową angielską to akurat stać, żeby sobie kupić nawet całą racę.

Jesteśmy w końcu na tej ulicy, na której mieliśmy być. Stajemy na jej początku i widzimy, że wszystkie domy są identyczne. Po prostu jakby ktoś je robił w fabryce z foremki.

Jednopiętrowe, z cegły, a na parterze mają takie duże okno, które wystaje trochę poza bryłę domu. Na tej ulicy było ich ze 100, a później przekonałem się, że w UK są ich miliony milionów. Numer był podany może na co dziesiątym, więc próbowaliśmy od nich odliczać, który adres może być właściwy, ale zaraz obok znajdował się inny dom, na którym numer był inny, niż być powinien według naszych wyliczeń, co je empirycznie obalało.

Nagle jest. Tak jak biblijny Noe tułał się po morzach i oceanach, a potem zobaczył tęczę, symbol przymierza pomiędzy Bogiem a ludźmi, tak nam ukazał się wywieszony w oknie jednego z domów szalik Korony Kielce – symbol przymierza pomiędzy ludźmi a scyzorykami. Krystianek, podobnie jak my, pochodził z województwa świętokrzyskiego, gdzie mieszczą się Kielce wraz ze swoją Koroną, więc byłem już pewien, że w końcu trafiliśmy. Pukam w drzwi, otwiera kuzyn, mówię SIEMASZ KUZYN, a on mówi O KURWA CHŁOPAKI i aż go cofnęło, bo ja przez ponad 2 dni w trasie się nie myłem, a Stomil w tym czasie mieszkał być może i w prestiżowej lokalizacji, ale jednak na śmietniku. Krystianek prowadzi nas do naszego tymczasowego pokoju, który okazał się pokojem dziecięcym: pomalowany na błękitno, wszędzie zabawki, kojec dla dziecka i tym podobne. Popatrzyłem porozumiewawczo na Krystianka, że znam teraz jego sekret, że na emigracji też sobie zrobił dziecko, tylko jak na święta przyjeżdża, to się nie pucuje starym, bo ciotka by już na pewno na zawał padła. Ten wyczuł, o czym myślę, i zaczyna się gęsto, acz przekonująco tłumaczyć, że tutaj tak naprawdę żadnego dziecka nie ma, tylko jest taki układ, że oni to po taniości wynajmują na czarno od pary Anglików, co dziecko mają, nie pracują i nie mieszkają w UK, tylko w Hiszpanii. Bo w Hiszpanii jest ciepło i tanio, a wtedy się zrobiło jeszcze taniej, bo tam był kryzys nawet większy niż w UK. Dlatego w opór Brytyjczyków, głównie emerytów, ale też sporo takich biedarentierów jak ci nasi wynajmujący, sobie tam powyjeżdżało.

Natomiast przed opieką społeczną udają, że w UK ciągle są, bo by im zabrali benefity, w sensie zasiłki. Zostaliśmy pouczeni, że swoje rzeczy osobiste mamy trzymać pochowane w szafach, a jak przyjdzie baba z opieki, to trzeba mówić, że my tu jesteśmy tylko w gościach, a rodzina z dzieckiem właśnie poszła do lekarza i nie wiadomo, kiedy wróci, a my im tylko po koleżeńsku pilnujemy dobytku, żeby w tym czasie nikt nie ukradł – co byłoby możliwe, bo w UK są takie kolejki do lekarzy jak u nas i na zabieg się nieraz czeka w kolejce po kilka miesięcy.

Nasze rzeczy pochowaliśmy do szafek, pierwszy pod prysznic poszedł Stomil, bo jednak miał większą potrzebę ode mnie. W tym czasie Krystian oprowadza mnie po domu i pokazuje, że tutaj salon z kuchnią, tutaj pokój jego i takiego tam koleżki Łukaszka, a tutaj pokój Romana i żeby tam nie wchodzić przypadkiem, bo Roman nie lubi, jak się wchodzi. Mówię dobra, spoko, i tak nam przysługę robisz, że nas tu nocujesz, nie będzie z nami żadnych problemów. Zagaduję, czy może by dało radę u nich podnając ten pokój dziecięcy na dłużej, jak już znajdziemy pracę, a tak w ogóle to jak tam z pracą, u wujków na wigilii

opowiadał, że jest SUPERVISOR na CONSTRUCTION, czyli majstrem na budowie, to może by tam nas do siebie wziął na przyuczenie, pracy się hehe nie boimy.

YYYY, EEEE, NO KUZYN, JAK BYŚ TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ PRZYJECHAŁ, TO AKURAT SZUKALIŚMY CHŁOPAKÓW, ALE TERAZ WAKATÓW NIE MA, CO NIE. ALE JAK COŚ BĘDZIE, TO BĘDĘ DAWAŁ ZNAĆ. NIE DAM RODZINIE ZGINAĆ.

Już nie drażyłem tematu, bo i tak mi już Krystianek pomógł więcej niż przez całe dotychczasowe życie. Stomil wyszedł z łazienki, ja wszedłem i muszę powiedzieć, że był to najprzyjemniejszy prysznic w moim życiu. Spłynęło ze mnie tyle brudu z dróg całego kontynentu, że zrozumiałem, jak czuli się żołnierze napoleońscy, którzy żeby się wykapać, to musieli przejść całą Europę z buta do Rosji i z powrotem – o ile gdzieś po drodze nie zamarzli. Wychodzę z łazienki, a Krystianek od razu tam zagląda i mówi, żeby wodę z podłogi powycierać, bo Roman nie lubi, jak jest woda. Mówię spoko spoko, a myślę, co to kurwa jest za Roman, postrach południowego Londynu, że Krystianek się go tak dyga. Przecież u siebie na wiosce to kuzyn jest jeden z większych wariatów, co potwierdził zresztą majestatem urzędu wyrok w zawieszeniu za pobicie. Powycierałem wodę i schodzę z mieszczącej się na pierwszym piętrze łazienki do naszego pokoju na parterze. Jak byłem w połowie schodów, to drzwi wejściowe do domu się otworzyły. Ja panika, że jeżeli to z opieki społecznej, to jak im wyjaśnię, że byłem pod prysznicem zamiast pilnować dobytku rodziny angielskiej z dziećmi. Zamiast opieki wchodzi jednak dwóch typów.

W bajkach dla dzieci są czasami takie opisy postaci, że np. Baba Jaga przyszła do domu dzieci w przebraniu, ale i tak jej źle z oczu patrzyło. Zawsze mnie zastanawiało, co konkretnie to znaczy, bo w realu nigdy się z czymś takim nie spotkałem – aż do teraz. Ten Łukaszek to był tylko na nieco wyższym poziomie patologii niż mój kuzyn, w sensie jak się spojrzy na mordę, to widać, że ma na sumieniu jakieś wpierdole na dyskotekach, drobne kradzieże i tym podobne. Dostał pewnie kiedyś dwa lata, jak już mu się w końcu nazbierało tych grzechów lekkich, ale potem nienaganne sprawowanie i po roku mu zamienili na jakieś prace społeczne. Roman natomiast miał tak na oko z 35 lat i ryj tak kryminalny, że 10 lat to na pewno w życiu przesiedział. Na dłoniach wydziarane jakieś gównopajęczyny w jakości takich naklejanych tatuaży dla dzieci, co kiedyś dawali w czipsach na halloween. Na szyi miał natomiast wytatuowaną koronę – symbol przymierza pomiędzy Kielcami a piłką. Nad szyją i koroną mieściła się jego głowa, a w niej oczy. W każdej wsi oraz dzielnicy miasta w Polsce krążą opowieści o tym, jak to ktoś komuś poderwał dziewczynę czy tam ukradł telefon na imprezie i ten drugi potem dojechał tego pierwszego z 10 kolegami i podobno tak mu wpierdolili, że nawet ktoś mu po głowie skakał. Oczy Romana mówiły, że w takich sytuacjach to właśnie on był tym, co skakał po głowie, bo jemu nie wystarczy, że typek już leży przekopany, tylko jeszcze się trzeba pobawić, a jak ktoś na koniec zabawy nie jeździ na wózku inwalidzkim do końca życia, to znaczy, że zabawa się nie udała.

Roman świdruje mnie więc swoimi nienawistnymi oczami, a potem przerywa ciszę pytaniem A CO TO MA KURWA BYĆ? Słyszając te słowa, ze swojego pokoju wyskakuje Krystian i zaczyna prawdziwą kurwa obronę Sokratesa

A SIEMASZ ROMAN WARIACIE, MORDECZKO. JAK TAM CO TAM, WSZYSTKO SPOCZKO? BO WIDZISZ, TUTAJ DO MNIE KUZYN NA CHWILĘ PRZYSZEDŁ, CO NIE, BO CHŁOPAKI DOPIERO CO Z POLSKI PRZYJECHALI, NIE MIELI GDZIE SPAĆ, TO GO NIE ZOSTAWIĘ NA ULICY, BO TO RODZINA. RODZINA NAJWAŻNIEJSZA, CO NIE WARIACIE? JAK BYŚ NIE MIAŁ NIC PRZECIWKO, TOBY SIĘ U NAS PRZEKIMALI Z DZIEŃ CZY DWA, CO? MOGŁOBY TAK BYĆ? NO MÓWIĘ CI, ŻE Z PROSTO Z POLSKI PRZYJECHALI, WÓDKI NAM PRZYWIEZLI W PREZENCIE, CO NIE CHŁOPAKI?

Z naszego pokoju na parterze wychodzi wtedy Stomil i nie znając sytuacji, mówi zgodnie z prawdą, że wiozł wódkę, ale mało miał, tylko litra dla siebie na drogę.

NO TO MACIE KURWA PROBLEM – mówi Roman – BO MY MAMY POPITĘ – tu wskazuje na siatę browarów trzymaną przez tego całego pięćdziesięcioprocentowego patologa Łukaszka – WIĘC ZAPIERDALAĆ DO SKLEPU.

No to ja się szybko ubrałem i siłą rzeczy wychodzimy ze Stomilem do sklepu po prezenty z Polski. Jak tylko wyszliśmy na ulicę, to poczułem ulgę, że nie obskoczyliśmy wpierdolu już na samym początku, ale w tym momencie słyszymy za sobą patolski skrzek Romana EEEEEJ! KURWA!, więc pomyślałem, że zbyt szybko się ucieszyłem, ale na szczęście ten po prostu przypomniał sobie, że do listy zakupów nie dodał szlugów marki MALBORASY ŻŁOTE.

Trochę nam z tymi zakupami zeszło, bo nie znaliśmy okolicy, więc sklepu szukaliśmy z pół godziny. Jeszcze mieliśmy dyskusję, ile paczek fajek Roman miał na myśli, żeby z jednej strony nas za dużo nie wyszło – bo były po 6 funtów za jedną – ale żeby z drugiej strony Romana nie wkurwić. Stańto na 3 paczkach, 2 razy zero siedem wódy (też drogo), czipsy i możemy wracać z nadzieją, że to wystarczy.

Wchodzimy do kuchni, gdzie chłopaki siedzą przy stole i prewencyjnie piją zawczasu popitkę, czyli browary, żeby przeciwdziałać największemu zagrożeniu związanemu ze spożywaniem alkoholu, czyli odwodnieniu. Postawiliśmy zakupy na stół i jeszcze nie zdążyliśmy ich wypakować z siatek, jak Roman podniósł się z krzesła, stanął za nami i zapierdolił nam tak zwane KARCZYCHO, czyli uderzenie otwartą ręką w kark, na tak zwaną ODMUŁĘ, bo podobno długo nam zeszło. Na odmulę dostawaliśmy zresztą przez cały wieczór, bo Roman widocznie obawiał się, żeby nasza czujność nie została uśpiona. Aczkolwiek już sama jego obecność na to nie pozwalała, bo wytwarzał dookoła siebie taką atmosferę, że człowiek cały czas był przygotowany na to, że Roman może się na niego z byle powodu rzucić z nożem.

Siedliśmy do stołu i chłopaki zaczynają nas rozpytywać o sytuację w ojczyźnie, więc opowiadamy, że wszystko z grubsza po staremu. Siłą rzeczy temat zaraz zszedł na policję i ogólnie tematy prawnokarne, w których przodował semi-patolog Łukaszek, który gardłował o jebaniu policji ile wlezie i tylko patrzył co chwilę na Romana, czy on aprobeuje, bo ewidentnie chciał mu się podlizać. Roman tylko co jakiś czas dorzucał jakieś swoje przemyślenia, po których zawsze następowało 30 sekund ciszy, bo każdy starał się zrozumieć, o co mu chodziło. Spowodowane było to tym, że tworzone przez niego zdania składały się właściwie z samych przekleństw, tylko odmienionych przez różne czasy i przypadki. Polski jest w tym obszarze językiem rozbudowanym, więc podejrzewam, że lingwiści angielscy mieliby spore kłopoty, żeby po swojemu oddać zdanie I KURWA MNIE TA KURWA JEBANA WZIEŁA KURWA I WKURWIŁA, bo w przekładzie dosłownym to wyszłaby wypowiedź z prawie samym FUCKING FUCK i nam nawet w oryginale, znając kontekst i osadzenie kulturowe wypowiedzi, było to ciężko skiminić. Taka rozmowa trwała ponad godzinę, więc w końcu chciałem trochę odpocząć od tej dusznej atmosfery i zaproponowałem Stomilowi, żebyśmy wyszli na szluga na ogródek się przewietrzyć.

W UK każdy z tych identycznych council house'ów ma taki miniogródek, wielkości może 20 metrów kwadratowych, z czego zazwyczaj połowa jest wyłożona płytami chodnikowymi albo kostką, a na drugiej połowie rośnie trawa i stoi składzik, czyli SHED, do którego się wyrzuca wszystkie te rzeczy, które kiedyś jeszcze mogą się przydać, czyli to, co w Polsce wrzuca się na pawlacz. Natomiast nikt nigdy nie wie, kiedy to kiedyś nadejdzie, więc składzik jest zajebany bądziwiem pod sam dach. Tak zwany GARDENING to najpopularniejsze hobby w Wielkiej Brytanii, więc w ogródku prawie każdego domku są też kompostowniki, czyli takie

pudła, do których się wrzuca różne resztki jedzenia z kuchni, które potem z pomocą sił natury zamieniają się w kompost.

Przysiedliśmy więc na kompostowniku, który u nas akurat był plastikowy, i cieszymy oko badziewiem wysypującym się ze składziku, aż nagle ciszę przerywa Stomil

TEN ROMAN TO NAWET SPOKO.

Mówię mu, jaki kurwa spoko? Pełnowymiarowy kryminalista, recydywista nawet. Słyszałeś, jak coś wspominał o więzieniu. Wódkę na nas wymusił rozbojem, że nie wspomnę o szlugach. Na to Stomil zaczyna odkręcać, że nie można człowieka tak oceniać, że faktycznie siedział, ale może za niewinność. Albo za posiadanie marihuany na własny użytek. Albo za jazdę na rowerze po 3 piwach. Albo jakieś inne gównoprzestępstwo, których w Polsce trochę jest.

To mu tłumaczę, że nie jestem specjalistą od świata przestępczego, ale nie sądzę, żeby kodeks grypserski przewidywał tatuowanie sobie kropki pod okiem za każde piwo wypite przed jazdą na rowerze – bo Roman miał akurat trzy. A ta korona na szyi to nie wiem, chyba symbol zbieracza metali nieszlachetnych, co poszedł siedzieć za kradzież na złom studzienki kanalizacyjnej, żeby mieć na chleb dla dzieci. Rozmowę przerwał Krystianek, który wychylił się z kuchni i zakomunikował, że wódka się skończyła, i Roman mówi, że mamy iść i dokupić, bo nam jebnie.

Tym razem krócej zeszło, bo już wiedzieliśmy, gdzie jest sklep, a w dodatku musieliśmy szybko iść, bo zaraz była północ i mieli zamykać, ale i tak po powrocie dostaliśmy od Romana na odmułę. Chyba bardziej profilaktycznie, żebyśmy się nie zamulili przy dalszym piciu, bo wszyscy już byli trochę porobieni. Półpatolog Łukaszek już się nie mógł doczekać, więc krzyczy NOOO DAWAĆ PO KOLEJCE, ale zaraz potem twarz mu się zrobiła tak wystraszona, jakby zdradził jakiś wielki sekret, i patrzy się to na Romana, to na Krystianka. Krystianek westchnął ciężko i schował twarz w dłoniach. Natomiast z całej trójki na sugestię picia kolejki najbardziej entuzjastycznie zareagował Roman, który zwrócił się do mnie i Stomila

AAAA WŁAŚNIE, BO WY CHŁOPAKI JESZCZE KOLEJKI NIE WIDZIELIŚCIE.

Po czym poleciał do swojego pokoju na górze.

W tym czasie Krystianek zaczął szeptem opierdalać Łukaszkę, że co on narobił, że znowu będą musieli z Romanem siedzieć do 6 rano i słuchać. Nie zdążyliśmy się dowiedzieć czego, bo Roman wrócił do kuchni, dzierżąc stos pudełek, które, jak się okazało, zawierały zabawkowe, elektryczne kolejki szynowe oraz akcesoria do zabawy niezbędne, takie jak szyny. Natomiast określenia ZABAWKOWE używam tylko dlatego, że na szczęście nie stoi teraz nade mną Roman, bo wtedy bardzo wyraźnie podkreślił, że to nie są zabawki, tylko MODELE KOLEKCJONERSKIE, a jak ktoś ma co do tego wątpliwości, to dostanie wpierdol. Zaraz zaczęło się picie wody połączone z układaniem po całej kuchni torów kolejowych, bocznic, stacji i tak dalej. Roman w tym czasie pokazywał nam różne wagony i lokomotywy, opowiadał nam ich historię oraz dogłębnie tłumaczył specyfikację techniczną. Że ta oto lokomotywa napędzana jest silnikiem diesla, a wprowadzona do użytku została w 1963, i ma moc 2500 koni mechanicznych, a ten wagon pasażerski to coś tam, a tamten wagon towarowy to jeszcze coś innego. Niewiele mi się udało zapamiętać, bo trwało to grubo ponad godzinę, w trakcie której Roman zarzucił nas co najmniej kilkuset faktami kolejowymi, a my raczej niż na ich faktycznym przyswojeniu skupialiśmy się na tym, żeby wyglądać tak, żeby Roman nie miał wątpliwości, że to bardzo ciekawe

NO POPATRZ, CZŁOWIEK STOI SAMOCHODEM PRZED PRZEJAZDEM KOLEJOWYM I SOBIE NIE ZDAJE SPRAWY, ŻE TA LOKOMOTYWA, CO PRZED NIM PRZEJEŹDŹA, TO WAŻY 135 TON. FASCYNUJĄCE!

A wtedy Roman płynnie przechodził dalej TY, ALE SKUMAJ NAJLEPSZE... i tu następował dalszy wysyp danych technicznych. Opowiadał natomiast z taką pasją, że strach mu było to przerwać, więc już zrozumieliśmy, o czym mówił Krystianek, jak miał do Łukasza pretensje, że będziemy siedzieli do 6 rano.

W końcu Stomil zapytał Romana, skąd on się tak na tym wszystkim zna. Roman opowiedział nam wtedy poruszającą historię, że przez całą swoją karierę kryminalną miał takie dziwne szczęście, że jak siedział w poprawczaku, a potem różnych więzieniach, to zawsze znajdowały się one blisko jakiejś stacji kolejowej albo przynajmniej torów. Oglądał więc przez okno celi pociągi, a jeżeli akurat miał taką celę, że nie było widać, to leżał w nocy i słuchał, jak przejeżdżają, i sobie wyliczał, jaki to jest pociąg, dokąd jedzie czy jaka lokomotywa go ciągnie. A tych wszystkich szczegółów nauczył się z takiego opasłego informatora PKP, który jest kolejowym odpowiednikiem książki telefonicznej, a który z jakiegoś powodu wysyłany jest co roku do każdej biblioteki więziennej w Polsce. Może po to, żeby osadzeni mogli sobie z odpowiednim wyprzedzeniem zaplanować podróż do domu. Na wolności natomiast zaczął czytać różne inne książki kolejowe i zbierać te MODELE KOLEKCJONERSKIE, z czego też miał w końcu kłopoty, bo pasja pasją, ale przecież frajerem nie jest, żeby płacić za model 400 złotych – nawet za taki rarytas jak lokomotywa elektryczna ABB ALP-44. A jako że w Kielcach są dwa sklepy modelarskie na krzyż, to Romana bardzo szybko tam znali i jak tylko przychodził, to obsługa dzwoniła na policję. W UK mu się natomiast poprawiło, bo po pierwsze był tam mniej rozpoznawalny, a po drugie jego hobby cieszy się tam większą popularnością, więc siłą rzeczy sklepów modelarskich też jest więcej. Niedługo miały być nawet jakieś targi kolejek w Liverpoolu, na które Roman planował się wybrać – naturalnie pociągami.

Jako że już trochę wypiliśmy, a mnie ta historia dosyć mocno ujęła, to zdobyłem się na odwagę i mówię, Roman, z tym, jak leżałeś w więzieniu i słuchałeś pociągów, to zupełnie jak w tej piosence Johnny'ego Casha. Roman, słysząc to, wstał i już myślałem, że zachowawczo mi jebnie, natomiast on wyciągnął łapę i powiedział, że jak znam Johnny'ego Casha, to jest kurwa szacun, po czym zbił ze mną pionę, aż plasnęło. Potem usiadł na krześle, kazał wszystkim wałęsać lufę, zapatrzył się w jeżdżący po kuchni pociąg i zaczął pod nosem śpiewać „Folsom Prison Blues”. Nie znał co prawda zbyt wielu słów, ale melodię całkiem nieźle, a jak mu brakowało jakiegoś wyrazu w tekście, to po prostu zastępował go innym słowem z pogranicza polskiego, swojego wymyślonego języka i jakichś losowych języków obcych.

I HERE THE TRAIN IS KOMIN

IT ROLLEN DOWN DIE BEND

EN I NO SEE SANCZAJN

SINCE I DON NOW WHEN

Wszyscy wpadliśmy w jakąś taką melancholię, a ja wyobrażałem sobie młodego Romka, jak go opieka społeczna wzięła do bidula z jego dysfunkcyjnego domu, a on miał z 8 lat i w tym bidulu stał przy oknie i marzył, że jednym z przejeżdżających pociągów przyjadą po niego rodzice z wszytym esperalem. Łukaszkowi widocznie też się zrobiło Romana szkoda, bo chcąc go najwyraźniej wyrwać z tej zadumy, wysilił się na dziarski ton i powiedział TO CO, MOŻE NA DRUGĄ NÓŻKĘ?, po czym mocno tupnął rzeczoną nóżką w podłogę, żeby ten pomysł przypieczętować.

W tym momencie powstał problem natury logistycznej: o ile w piosence „Folsom Prison Blues” pociąg przejeżdżał pod więzieniem, w którym siedział Johnny Cash, to w kuchni naszego council house'u pociąg przejeżdżał akurat pod stołem, w tym samym miejscu i czasie, w którym noga Łukasza miała spotkać się z podłogą. Dało to się poznać po tym, że

zamiast odgłosu tupnięcia usłyszeliśmy dźwięk pęknięcia czegoś, a pociąg nie wyjechał tunelem pod nogami Stomila, skąd zgodnie z rozkładem wyjechać powinien. Przy stole zapadła grobowa cisza, Roman zajął pod spód i wyłonił się, trzymając w ręce lokomotywę parową Pennsylvania Railroad Class A5, na której nie było komina, a być powinien, bo jak było już nam wiadomo, jest on jednym z kluczowych elementów tego typu lokomotywy. Łukaszek pobladł i zaczyna się tłumaczyć, że nie zauważył. Romanowi ryj tak poczerwieniał, że wyblakłoczarne kropki pod jego oczami prawie przestały być widoczne i zaczął cisnąć go litanią swoich kryminalnych żali.

JAK KURWA WTEDY OPIERDALALIŚMY LOMBARD, A TY STAŁEŚ NA ORIENTACI, TO TEŻ NIE ZAUWAŻYŁEŚ! I CO CWELU? JA ZA CIEBIE WTEDY W WIEZIENIU SIEDZIAŁEM. SŁOWA NIE POWIEDZIAŁEM, ŻE BYŁEŚ ZE MNĄ, A TY SPIERDOLIŁEŚ DO DOMU, BUJAŁEŚ SIĘ PO WOLNOŚCI I NAWET MI RAZ NIE PRZYSŁAŁEŚ HAJSU NA WYPISKĘ NA KANTYNĘ.

ALE ROMEK, SPOKOJNIE, PRZEPRASZAM...

ALE CO KURWA ROMEK? CO KURWA SPOKOJNIE?!

Roman rzeczywiście nie zrozumiał, w jakim kontekście padł wyraz SPOKOJNIE, bo zapierdolił Łukaszewi tą łapą, w której trzymał popsutą lokomotywę, taką lampę na ryj, że jego łuk brwiowy się rozstał jak Wielki Kanion, który pewnie też w jakiejś piosence Johnny'ego Casha musiał się przewinać. Łukaszek zleciał z krzesła na podłogę i wpadł w znajdującą się tam bocznice kolejową, w wyniku czego tory się porozłączały, więc Roman wymierzył mu jeszcze kilka dodatkowych kopów na ryj, przy każdym kopnięciu sylabizując: CO-KU-RWA-SPO-KOJ-NIE. A że Łukaszek przy każdym kopnięciu odbijał się jeszcze tyłem głowy od ściany, to po tym combosie już stracił przytomność. Lokomotywa Pennsylvania Railroad Class A5 też ucierpiała, natomiast nie łała się z niej krew, tak jak z łba Łukasza.

Pomyślałem, nie no kurwa, zabił człowieka. Mój kuzyn Krystianek zdobył się na największą odwagę cywilną, mówi ROMAN, CO TY ROBISZ, CZŁOWIEKU, DAJ MI PRZEJŚĆ, JA MU POMOGĘ i chciał podnosić Łukasza z podłogi, ale tak jak wyraz KOLEJKA uruchomił wcześniej u patologa Romana skojarzenie pozytywne, tak teraz wyraz POMOGĘ zadziałał odwrotnie, bo rozpoczął kontynuację nagromadzonych przez patologiczne życie żali. TERAZ TO POMOGĘ, A JAK Z POLSKI UCIEKAŁEM, TO MI NIKT KURWA NIE POMÓGŁ! NIKT! NIGDY! OBIECYWAŁEŚ FRAJERZE, ŻE MI ROBOTĘ ZAŁATWISZ I CO? TRZECI MIESIĄC PIERDOLISZ, ŻE ZARAZ BĘDZIE.

Po czym rzucił się na Krystianka, który na szczęście zrobił unik i zaczął uciekać. Nie było łatwo się im ganiać po domu, bo byli dosyć najebani, więc najpierw zrobili rundkę po kuchni, potem pobiegli do naszego pokoju, a potem usłyszeliśmy ich tupot na schodach prowadzących na piętro. My ze Stomilem siedzieliśmy skamieniali przy stole, a tu nagle za oknem wychodzącym na ogródek słyszymy JEB i widzimy Krystianka, który przeturlał się po trawniku, po czym wskoczył na płot i zniknął w ogródku sąsiada. Widocznie Roman osaczył go w pokoju i zrozpaczony Krystianek musiał uciekać przez okno z pierwszego piętra. A tu zaraz następne JEB, nawet głośniejsze – z okna wyleciał Roman. A jebnął głośniejsze dlatego, że skoczył na kompostownik i przebił się przez jego klapę tak, że do połowy był w środku, a od połowy na zewnątrz. Ten konkretny kompostownik to był taki gotowy do złożenia z marketu budowlanego, plastikowy. Roman widocznie się w tej pękniętej klapie jakoś zaklinował, bo rzucał się jak oszalały i ciągle darł mordę, wyrzucając z siebie wszystkie najgorsze bluźnierstwa, wyuczone przez kilka dekad swojej kryminalnej kariery.

Musiałem dokonać błyskawicznej analizy sytuacji: Łukaszek nieprzytomny, prawdopodobnie nieżywy, Krystianek zdezerterował, patolog Roman chwilowo zniewolony w kompostowniku,

ale jak wyjdzie, to nas na pewno pozabija za sam fakt, że jesteśmy pod ręką. Biorąc pod uwagę te wszystkie czynniki, krzyczę na Stomila, że spierdalamy. Złapaliśmy nasze rzeczy z pokoju, co było o tyle proste, że jeszcze ich nie rozpakowaliśmy, bo od przyjazdu do Krystianka lataliśmy do sklepu albo piliśmy wodę, albo bawiliśmy się kolejką. Wybiegliśmy na ulicę i pobiegliśmy w kierunku stacji, a naszej ucieczce towarzyszyły niosące się po rejonie dramatyczne skargi Romana NIKT MI KURWA NIE POMÓGŁ! NIKT NIE POMÓGŁ!!! Jak dobiegliśmy na stację, to okazało się, że pierwszy pociąg przyjedzie dopiero o 5 rano, a uznaliśmy, że nie możemy tam tyle czekać, bo jak Roman wyjdzie z kompostownika, to jako miłośnik kolejnictwa na pewno właśnie tutaj przyjdzie nas szukać. Poszliśmy więc z buta na jakiś losowy przystanek, na który o 5:40 miał przyjechać autobus, który zabierze nas na Brixton, czyli bliżej centrum. Prawie 4 godziny wolnego czasu, którymi dysponowaliśmy, spędziliśmy na rozważaniu, co teraz ze sobą pocniemy, bo na chwilę obecną jesteśmy bez stałego źródła zarobku i adresu zamieszkania. Że może pójdziemy pod jakiś most albo do tej jadłodajni, którą mi poleciła pani z informacji na dworcu Victoria. Aż w końcu Stomil zaczyna nieśmiało przebąkiwać, że on ma jeden pomysł, ale nie wie, czy mówić, bo mi to się pewnie nie spodoba. Mówię, że cokolwiek to jest, to dawaj, bo gorzej niż teraz mamy, to chyba nie będzie. No to on mówi, że jeden z tych jego współników od gitary mieszka na jakimś squacie i mówił, że jak coś, to my też możemy przyjść, jak będziemy w trudnej sytuacji, bo oni tam mają taką zasadę, że pomagają innym. Ja na to, że proste, oczywiście kurwa, jedziemy. Pytam jeszcze, dlaczego wcześniej nic nie mówił.

A BO NA TEN ŚMIETNIK TAK WYBRZYDZAŁEŚ, TO MYŚLAŁEM, ŻE NIE BĘDZIESZ CHCIAŁ.

Squat

Dotarliśmy na ulicę, przy której rzekomo miał znajdować się squat. To było w centrum Londynu, niedaleko Hyde Parku, i na początku myślałem, że musiała zajść jakaś pomyłka, bo trudno było mi sobie wyobrazić squat w takiej okolicy. Na ulicy co drugi samochód to był bentley, aston martin albo jakieś porsche, a domy to całe kamienice, przerobione tak, żeby mieszkała w nich tylko jedna rodzina. Pomimo że w mieszkaniu Romana udało nam się wziąć prysznic, to czuliśmy, że nadal wizualnie nie pasujemy do tak ekskluzywnego otoczenia. Zapytałem Stomila, czy dobrze sprawdził adres, bo może na innej dzielnicy jest ulica, która się nazywa tak samo, bo to się czasami zdarza. Jednak po chwili zaczęło śmierdzieć skunem, co pozwoliło nam sądzić, że nasz cel może być blisko. Faktycznie kilka domów dalej spotkaliśmy tego kolegę od gitary, który siedział na schodkach przed domem i palił blanta. Przedstawiliśmy mu naszą trudną sytuację mieszkaniową, a on powiedział, że jego oferta jest nadal aktualna i możemy tu jakiś czas pomieszkać, tylko musi nas jeszcze przedstawić wspólnocie, czyli pozostałym mieszkańcom. Dopalił, co miał, a potem weszliśmy do środka.

Wnętrze squatu było niesamowite, wykończone najlepszymi materiałami, i nie mogłem się doczekać, aby poznać historię, jak ten dom, który musiał być warty przynajmniej z 10 milionów funtów, został zamieniony w squat. Podłoga była marmurowa, a na ścianach była boazeria, ale nie taka, jaką się zna z normalnych mieszkań u nas w Polsce, tylko na bogato. Zostaliśmy wprowadzeni do salonu połączonego z jadalnią, gdzie siedziało z 10 osób i jadło śniadanie. Były współnik Stomila od gitary wskazał na niego i powiedział mieszkańcom squatu, że to jest ten Polak, o którym wspominał, i jego koleżka, czyli ja. Że jesteśmy zagrożeni bezdomnością i czy w tej sytuacji nikt nie ma problemu, żebyśmy u nich pomieszkali, ile będziemy potrzebować. Wszyscy mówią, że spoko, nie ma problemu, tylko jeden typ się podniósł i powiedział, że najpierw musi być oficjalne powitanie. Na to wszyscy

pozostali zaczęli robić NIEEEEEEE, a on powiedział, że TAK TAK, bo tak zostało przegłosowane i nikt nie ma prawa podważać decyzji z Kręgu Dialogu – czymkolwiek ów krąg był. Zaczęło się więc powitanie.

WITAMY OSOBY POCHODZENIA AFRYKAŃSKIEGO.

My ze Stomilem się patrzymy po sobie, pytając wzrokiem, co tu się odpiędała, bo typ nas chyba z kimś pomylił.

WITAMY OSOBY POCHODZENIA AZJATYCKIEGO. POCHODZENIA EUROPEJSKIEGO. PRZEDSTAWICIELI RDZENNIEJ LUDNOŚCI AMERYKI PÓŁNOCNEJ, AMERYKI POŁUDNIOWEJ, AUSTRALII I PACYFIKU. WITAMY TEŻ OSOBY O MIESZANYM POCHODZENIU ORAZ TYCH, KTÓRZY NIE IDENTYFIKUJĄ SIĘ Z ŻADNYM POWYŻSZYM POCHODZENIEM.

No to ja mówię GOOD MORNING, ale typ co nas witał symbolicznie uciszył mnie gestem, bo bynajmniej nie zamierzał jeszcze kończyć powitania.

WITAMY KOBIETY, MĘŻCZYZN ORAZ OSOBY TRANSPŁCIOWE, JAK I TE, KTÓRE SWOJĄ PŁEĆ OKREŚLAJĄ W INNY SPOSÓB. WITAMY OSOBY Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI, ZARÓWNO WIDZIALNYMI, JAK I NIEWIDZIALNYMI.

WITAMY OSOBY HETEROSEKSUALNE, HOMOSEKSUALNE, BISEKSUALNE, ASEKSUALNE, PANSEKSUALNE ORAZ TE, KTÓRE SWOJĄ SEKSUALNOŚĆ DEFINIUJĄ JESZCZE INACZEJ.

WITAMY ŻYDÓW I MUZUŁMANÓW. WITAMY PRZEDSTAWICIELI WSZYSTKICH ODŁAMÓW CHRZEŚCJAŃSTWA. WITAMY WYZNAWCÓW BUDDYZMU, WYZNAWCÓW HINDUIZMU, TAOIZMU, KONFUCJANIZMU, SHINTOIZMU. WITAMY RÓWNIEŻ WYZNAWCÓW RELIGI RDZENNYCH LUDÓW OBU AMERYK, AFRYKI, AUSTRALII I OCEANII.

Typ jechał tak z 10 minut, w trakcie których wymienił kogo się tylko dało, a my zrozumieliśmy, dlaczego pozostali mieszkańcy oponowali przeciw temu oficjalnemu powitaniu. Jak myśleliśmy, że to już koniec, to zaczął witać jeszcze nastolatków, osoby mające 20 lat, osoby mające 30 lat, osoby mające 40 lat, osoby mające 50 lat i tak dalej, a nas już nogi bolały, bo staliśmy z bagażami. Wtedy Stomil zapytał A JAK Z POLSKI, TO TEŻ MOŻNA? A typ powiedział, że można. Skleiliśmy piony ze squatowcami, a gitarzystą, który na imię miał Joaquin i był z Brazylii, zaprowadził nas do naszego pokoju. W międzyczasie prawie wszyscy, którzy jedli na dole śniadanie, poszli do pracy, co było dla mnie zaskoczeniem, bo sądziłem, że na squacie się mieszka po to, żeby właśnie do pracy nie chodzić, tylko brać heroinę. Mogliśmy więc spokojnie pozwiedzać sobie cały nasz nowy dom.

Budynek miał 4 piętra i piwnicę. Nie było w nim prawie żadnych mebli po poprzednim właścicielu, ale całe wyposażenie jak sedesy czy zlewy zostało. Został też gigantyczny stół w jadalni, który chyba musiał zostać tam zbudowany, bo nie było żadnej opcji, żeby przecisnąć się przez drzwi czy okno. W piwnicy był może i niewielki, ale jednak basen, w którym nie było jednak wody, więc został przerobiony na coś w rodzaju świetlicy. Było w nim dużo koców i poduszek do siedzenia, a nawet dwa fotele, które ktoś ogarnął ze śmietnika. Na ścianach dookoła basenu porozwieszano różne anarchistyczne banery, a centralną część jednej ściany zajmował materiał o wymiarach 2x2 metry z wizerunkiem jakiegoś azjatyckiego boga typu Budda. W piwnicy była też sauna i mały pokój ze stołem do bilardu, którego też nie było jak wynieść, tak jak stołu piętro wyżej.

Na parterze była kuchnia, salon z jadalnią, który miał ze 100 metrów, i pokój telewizyjny, co dało się poznać po tym, że w boazerii na ścianie było miejsce na telewizor. Squatowcy też mieli telewizor, tylko nie taki duży i stojący na podłodze. Nawet Xboxa mieli, więc

umówiliśmy się z Joaquinem na granie w Fifę wieczorem. Trzeba było się tylko wpisać na listę wiszącą na ścianie, bo podobno Fifa miała tu wielu entuzjastów i dochodziło do ciężkich awantur, kto może kiedy grać, więc w końcu przegłosowano, że będzie taka kartka kolejkowa na ścianie, bo inaczej całej komunie groził rozpad.

Na pierwszym piętrze były już pokoje mieszkalne, w tym największy, który musiał być kiedyś gabinetem, bo miał na stałe zamontowane dębowe półki na wysokość całych ścian, i taras z widokiem na ogródek. W tym pokoju mieszkał Profesorek, czyli gość, który chwilę wcześniej prowadził nasze przydługie powitanie. Joaquin go tak nazywał, bo pracował na uczelni i miał doktorat, co podobno często podkreślał. Joaquin pouczył nas natomiast, żebyśmy mu nie mówili, że on nam powiedział, że tak na niego mówią, bo on się o to strasznie wkurwia, i można go tak nazywać tylko za plecami. Na tym samym piętrze mieszkał też Rafał, czyli Rafał, który był z Polski i pracował, jeżdżąc na rikszy. Nie mieliśmy okazji poznać go rano, bo pracował do późnej nocy i potem spał do południa. W pokoju obok mieszkali też panna i typ ze Szkocji, którzy przyjechali do Londynu za lepszym życiem, ale początki mieli równie trudne co my i zanim trafili na squat, to ponad tydzień spali, jeżdżąc autobusami nocnymi od zajezdni do zajezdni.

Piętro wyżej mieszkało 5 kolejnych osób, 2 braci i 3 siostry, uchodźcy z Ugandy, a o których więcej powiem jeszcze później. Potem było piętro trzecie i zarazem ostatnie, czyli nasze. Na naszym piętrze, jak można się domyślić, mieszkać mieliśmy my. Poza nami był jeszcze Samuel, w skrócie Sam, który był Hiszpanem, a według relacji gitarzysty Joaquina do tego niegdyś był kobietą, ale potem zmienił płeć na męczyznę. Oprócz tego były też dwie panny ze Szwecji, Ebba i Ebba, zagorzałe obrończynie praw flory i fauny. Lata później, gdy poznaliśmy ze Stomilem twórczość warszawskiego rapera Rogala DDL, mieliśmy grubą rozkminę, że i jego drogi musiały się z tymi Szwedkami kiedyś przeciąć, na co wskazuje tytuł jego najpopularniejszego utworu, EBE EBE. Co więcej, ani jedna, ani druga Ebba nie jadły mięsa, bo szkoda im było zwierząt, więc mniej więcej połowa gotowanych przez nie potraw to była cukinia przyrządzana na tysiąc sposobów. Tak więc jeżeli ktoś z was zastanawiał się kiedyś, o co chodzi z tekstem Rogala o nabijaniu cukinii farszem, to niewykluczone, że właśnie znalazł odpowiedź.

Teraz przyszedł czas na historię, jak doszło do tego, że wszyscy ci ludzie zamieszkali w tej willi w jednej z najdroższych dzielnic w UK. Joaquin przedstawił nam trzy podstawowe fakty statystyczne:

W Londynie jest kilka tysięcy osób bezdomnych

Na których przypada ponad 20 000 niezamieszkaných domów

Więc coś tu jest kurwa nie halo.

Spośród tych kilkudziesięciu tysięcy wolnych domów przynajmniej kilkaset to właśnie takie zajebiste wille, które kupili bardzo bogaci Rosjanie, Ukraińcy, obywatele państw z Zatoki Perskiej, Chińczycy i przedstawiciele innych nacji, w których jak człowiek się dorobi, to musi wyprowadzać pieniądze z kraju. Pieniądze wyprowadzają dlatego, że w takiej na przykład Rosji jak jesteś bogaty, to w każdej chwili może sobie przyjść Putin i powiedzieć, że już nie jesteś i elo. Z tymi bogatymi państwami arabskimi i Chinami jest podobnie, wystarczy jakaś zmiana układu sił w rodzinie królewskiej czy komitecie centralnym partii i cała fortuna idzie się jebać. Lokują więc pieniądze w takich krajach, gdzie istnieją mimo wszystko jakieś rządy prawa i królowa Elżbieta ci nie przyjdzie i nie wymieni zamków w willi. Nakupili więc nieruchomości w UK i w wielu przypadkach nawet w nich nigdy nie byli, tylko sobie tak ulokowali kapitał. Oprócz tego w Wielkiej Brytanii od kilkudziesięciu lat jest podobnie jak w Polsce, w tym sensie, że poza większymi miastami typu Manchester, Bristol czy Londyn właśnie sytuacja ekonomiczno-życiowa jest raczej średnia. Jak się jest z Polski i się mieszka

w takim miasteczku jak moje, to zawsze pozostaje opcja, z której skorzystałem ja, czyli wyjazdu do UK. Natomiast jak się mieszka w UK, to niespecjalnie już jest gdzie wyjechać, więc wyjeżdża się z prowincji do Londynu.

Gdy te dwa czynniki się łączą, to efekt jest taki, że ceny wynajmu czy kupna mieszkań w takim choćby Londynie rosną tak, że połowę pensji trzeba wydawać na czynsz, a jak stracisz pracę i szybko nie znajdziesz nowej, to zaraz jesteś na ulicy. W końcu kilka osób się wkurwiło i doszło do wniosku, że tak być nie powinno, więc namierzyli tę posiadłość, w której my byliśmy. Ogarnęli, że tygodniami nikt z niej nie wychodzi ani do niej nie wchodzi, i w końcu zrobili z niej squat. Jej właściciel, czyli jakiś oligarcha, który był wiceprezesem firmy wydobywającej węgiel na Syberii, pewnie by się wkurwił, gdyby nie to, że mniej więcej w tym samym czasie, gdy powstał squat, on zaczął mieć większe problemy, bo podpadł komuś w rządzie Rosji i poszedł do pierdła. Sąsiedzi, którzy pokupowali podobne domy w okolicy, mieli o to squatowanie straszny ból dupy, bo nie po to płacili 10 milionów funtów za kwadrat, żeby teraz po ulicy im się kręciły indywidua takie jak my. Niespecjalnie mogli jednak coś zrobić, bo formalnie właścicielem domu była fundacja z Seszeli, która została ustanowiona przez spółkę z Luksemburga, której udziałowcem był na papierze prawnik tego oligarchy – który zresztą poszedł do więzienia razem z nim. Tak więc dopóki oni z więzienia nie wyjdą, to niespecjalnie jest komu zlecić eksmisję dzikich lokatorów takich jak my, a taki stan rzeczy jeszcze trochę się utrzyma, bo oligarcha dostał 12 lat, a ten jego prawnik 8.

Dom był więc w seszelsko-luksemburskim czyścicu prawnym i nikt nie mógł nas ruszyć. Z minusów natomiast, czyli innymi słowy plusów nieobecnych, to nie było wody, po którą chodziło się z baniakami do kościoła św. Piotra, który był po drugiej stronie skwerku przed domem. Załatwili to te siostry i bracia z Ugandy, bo oni byli mocno religijni i chodzili tam prawie codziennie na mszę, a proboszcz się cieszył, że podbijają frekwencję, bo podobno wcześniej to na wieczornej mszy w tygodniu bywało tak, że ze stałych bywalców to była tylko jakaś kobieta z ambasady Węgier. Po wodę nie mógł natomiast chodzić Profesorek, bo jak kiedyś poszedł z czterema baniakami 5 litrów, to w czasie jak one się napełniały, zdążył się pokłócić z księdzem o jakieś dogmaty wiary i dostał bana na parafii. Z plusów z kolei to z jakiegoś powodu na squacie był prąd, i to zarówno ujemny, jak i dodatni.

Jak Joaquin nam to wszystko opowiadał, a my rozpakowywaliśmy swoje rzeczy w naszym nowym pokoju, to usłyszeliśmy, że na dole domu ktoś zaczął się krzątać. Joaquin powiedział, że to pewnie Rafaello wstał i zeszedł na dół, żeby zapoznać się z rodakiem. Rodak miał koło 30 lat i był z Częstochowy, gdzie pracował niegdyś jako taksówkarz. Profesję odziedziczył po swoim ojcu, który był taksówkarzem jeszcze w PRL, kiedy to podobno dla taryf były złote czasy. W III RP czasy zrobiły się najpierw srebrne, a potem aluminiowe, więc Rafaello, gniewiony ratą leasingu za samochód, musiał w końcu zdecydować się na emigrację. Początkowo w Londynie też chciał jeździć na taryfie, ale okazało się, że tutaj to nie ma jak w Częstochowie, że jak pątnik ci wsiądzie do samochodu na dworcu i zamówi kurs na Jasną Górę, to można jechać albo Słowackiego, albo Waszyngtona. W Londynie, żeby dostać licencję taksówkarską, to trzeba mieć egzamin, na który trzeba wykuć na blachę kilkanaście tysięcy ulic, parków, skwerów, pomników i hoteli. Jak ktoś już ma taki łeb, żeby to wszystko spać, to mógłby pewnie równie dobrze się nauczyć na pamięć imion wszystkich neuronów w ludzkim mózgu i zostać neurochirurgiem, ale jak widać niektórzy nadal wolą taryfę. Moja teoria jest w ogóle taka, że między ludźmi wykonującymi zawody prestiżowe i wysoko płatne a tymi drugimi nie ma większych różnic umysłowych, bo typ co na przykład handluje samochodami z Niemiec musi wykonywać taką samą pracę umysłową co typ handlujący ropą czy diamentami, tylko przedmiot ich operacji intelektualnych jest inny, no ale to na zasadzie, że dodać dwie cebule i dwie cebule to tak

samo jak dodać dwa awokado i dwa awokado. Tak samo panna, co jest przedstawicielką handlową jakiejś firmy z kosmetykami, musi się umieć podogadywać ze wszystkimi Grażynkami prowadzącymi drogerie w miastach 10 000–19 999 mieszkańców i nagimnastykować się przy tym jak jakaś ambasadorka na placówce – tylko oczywiście w tych negocjacjach używa się innego słownictwa, a jako drobny prezent daje się kredki do oczu czy cień do powiek, a nie jakieś złote pióro wieczne. Kiedyś podzieliłem się tymi przemyśleniami z ojcem, to powiedział, że to są leninowskie teorie. Jego sprzeciw był o tyle dziwny, że on sam zawsze należał do grupy osób wykonujących zawody nisko płatne i nisko prestiżowe.

Wracając jednak do Rafałello, to nie mogąc znaleźć roboty na taksówce, miał się różnych prac dorywczych, aż w końcu znalazł stałe zatrudnienie na rikszy. Pytamy, co to jest ta riksza? A on tłumaczy, że riksza to jest chłopaki wolność. Że samemu sobie jest się i sterem, i żeglarzem – nie okrętem, no bo nim jest riksza. Pracę się zaczyna, kiedy chce, kończy, kiedy chce, a jeżeli chodzi o zarobki, to można wyciągnąć nawet 1000 funtów tygodniowo, jak się jeździ do strip clubów. Jak sobie to zacząłem wizualizować, to ułożyło mi się w taki obraz, że płynie się żaglówką po Tamizie z jakimiś ludźmi, a na maszcie tańczy goła baba i rzuca wam z góry pieniądze. Nigdy nie byłem w strip clubie, ale wydawało mi się, że tam jest dokładnie odwrotnie, że to wy jej rzucacie pieniądze z dołu. Dlatego prosimy, żeby nieco doprecyzował, i jeżeli można, to nieco mniej literacko. No to on wziął kartkę, rysuje i mówi PATRZCIE CHŁOPAKI.

Ogólnie to jest jak tuk-tuki w Azji, tylko nie są zasilane silnikiem spalinowym, tylko siłą mięśni imigranckich. Z przodu jest rower, na którym siedzi on. Z tyłu jest taka kanapa z daszkiem, na której siedzą pasażerowie. W środku natomiast jest rura, ale nie jak w strip clubie, tylko krótsza i pozioma, która łączy rower z kanapą, żeby się nie rozjechały. Pracę może wykonywać każdy, kto ma dwie nogi i przynajmniej jedną rękę do trzymania kierownicy, a polega ona na tym, żeby znaleźć pasażerów, a potem to już tylko kręcić nogami i nadawać kierunek kierownicą, aż się nie dotrze do miejsca, w którym pasażerowie chcą wysiąść. Wtedy się od nich bierze przynajmniej 10 funtów, bo pomiędzy rikszarzami jest umowa, że mniej nie można, żeby nie psuć rynku. Brzmi to dobrze, więc pytamy, czy na taką riksę to trzeba mieć jakieś uprawnienia, i się okazuje, że nie trzeba. W takim razie pytamy, czyby im się nie przydało dwóch młodych ludzi, pełnych zapału i pomysłów. Ku naszemu zdziwieniu nie odpowiedział UUUU WIECIE CHŁOPAKI, JAK BYŚCIE TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ POWIEDZIELI, TO AKURAT BYŁY WAKATY, ALE TERAŻ TO..., tylko że możemy po południu pójść z nim do firmy i pogadać, a jak będzie trzeba, to on się za nami wstawi u szefa. Dobry był chłopak z tego Rafałela, bez kitu. Umówiliśmy się, że da nam znać, jak będzie wychodził, a w tym czasie my pójdziemy się rozpakowywać.

Riksza

Z Rafałem poszliśmy z buta na Green Park Station, skąd pojechaliśmy szarą linią metra – inaczej nazywaną się Jubilee Line – na metro Southwark. Potem przeszliśmy jeszcze kawałek z buta, aż doszliśmy do miejsca, gdzie krzyżują się dwie linie kolejowe. Przez Londyn przechodzi ogólnie kilka linii kolejowych, których tory najczęściej nie idą pod ziemią, jak na przykład w Warszawie, lub na poziomie gruntu, jak jest to w moim mieście – prawdopodobnie żeby unikać skrzyżowań ulic z torami i co za tym idzie, takich sytuacji jak była u nas, jak facet się nie zatrzymał seicento przed przejazdem kolejowym. Tory idą mianowicie na wiaduktach, które zrobione są z cegły i wznoszą się mniej więcej na wysokość drugiego piętra. Pod wiaduktami natomiast są co jakiś czas takie wielkie wnęki, mające za sufit łuki wiaduktów, które dają schronienie warsztatom samochodowym,

parkingom, magazynom i innym biznesom wymagającym dużej ilości miejsca za nieduży pieniądź, kosztem jeżdżących po suficie pociągów. Z głównej ulicy zeszliśmy w zaułek, który wiódł nas wzdłuż wiaduktu, i minęliśmy kilka takich przybytków, aż z wnętrza kilkanaście metrów przed nami wyjechała nagle riksza. Zaułek był na tyle wąski, że już samej rikszy trudno było się w nim zmieścić, więc biorąc pod uwagę, że z naprzeciwka idzie nasza trójka, to rikszarz powinien się zatrzymać i poczekać, aż przejdziemy, albo przynajmniej zwolnić. Zamiast tego on jeszcze przyspieszył, po czym przechylił rikszę tak, że zaczęła jechać prosto na nas tylko na dwóch kołach – przednim, które było tylko jedno, oraz jednym z dwóch tylnych. Zahamował dopiero z metr przed nami, wyszczerzył zęby, których trochę brakowało, popatrzył na nas i powiedział HE HE. Rafał opierdolił go, żeby nie straszył nowych, a tamten odpowiedział tylko znowu HE HE i pojechał dalej. Nasz współlokator wytłumaczył nam, żeby tym typem się nie przejmować, bo on ogólnie to jest spoko, tylko pali w opór dużo cracku, od czego wypadają mu z buzi zęby, a wpadają do głowy takie głupie dowcipy jak ten. U nas w Polsce nie było cracku, tylko amfetamina, jakieś pierwsze dopalacze typu mefedron i zwykła kokaina. Dlatego tłumaczę, żeby nie było nieporozumień: crack to jest kokaina przerobiona na taką formę, żeby można ją było palić zamiast wciągać, bo wtedy mocniej klepie. Pali się go z fifek, ale nie takich jak hehehuane u nas, które są na końcu rozszerzone, tylko zupełnie prostych, jak rura, albo krótka słomka do picia, z tą różnicą, że szklana. Jeżeli ktoś się zastanawia, jak to możliwe, że ten crack nie wpada wtedy do gardła przy pierwszym zaciągnięciu się, to dzieje się tak dlatego, że do fifki włożona jest metalowa kratka, która chroni właśnie przed takim zjawiskiem. Łatwiej byłoby to wytłumaczyć, gdybyście wtedy tam ze mną stali pod wejściem do firmy rikszonej, bo sporo takich fifek leżało na chodniku, więc mógłbym się posłużyć przykładem. Z drugiej strony, gdybyście tam wtedy ze mną byli, to wszystko wiedzielibyście z pierwszej ręki, więc nie mielibyście żadnych powodów, żeby to teraz czytać, więc też niedobrze.

Rafałello wprowadził nas do środka. Na parterze stało kilkadziesiąt riks, przy których kręciło się kilku typów. Nad nimi górowała niezabudowana antresola o powierzchni małego mieszkania, która była czymś w rodzaju biura. Weszliśmy tam i naszym oczom ukazało się trochę wyszabrowanych mebli, niepasujących do siebie w żaden sposób, podobnie zresztą do tych na squacie. Jakies kanapy, fotele, ławka z parku i nawet taki bujany leżak ogrodowy. Zostaliśmy przedstawieni typowi o ksywie Ramzes, który był współwłaścicielem firmy, po czym Rafał opisał pokrótce naszą sytuację. Że chłopaki dopiero co z Polski, że mają chęć do pracy, że jesteśmy jego współlokatorami. Ramzes wskazał ręką ogrodową bujanekę i zaproponował, żebyśmy w takim razie sobie spoczęli i na spokojnie pogadamy o interesach. Wtedy z jednego z foteli podniósł się jakiś ciężko skacowany typek i zaczął głośno protestować, przestrzegając nas, żeby na leżance nie siadać, bo jest skażona. Wtedy wciąż jeszcze żywa była pamięć o sprawie Litwinienki, czyli tym rosyjskim szpiegu, co uciekł z kraju, i którego w Londynie otruto materiałami radioaktywnymi. Z tego powodu moją pierwszą myślą było, że i na tej leżance ogrodowej targnięto się na życie jakiegoś kolejnego rosyjskiego dysydenta. Jak wspominałem, przed przyjazdem moje wyobrażenia na temat Londynu ukształtowane były głównie przez filmy z Harrym Potterem i Jamesem Bondem, więc wyobrażenia działała mocno. Że zaraz wpadną służby jej królewskiej mości MI6 w żółtych kombinezonach ochronnych i maskach gazowych, teren odgrodzą, a nas poddadzą kwarantannie i przesłuchaniom, a potem będziemy musieli przysięgać na grób własnej matki, że nikomu nie powiemy o tym, co widzieliśmy. Przyczyna skażenia okazała się jednak bardziej prozaiczna, bo W CZORAJ W NOCY PO PRACY Z CHŁOPAKAMI POCHLALIŚMY I WYOBRAŻ SOBIE, ŻE MECHANIK TU NORMALNIE TAK JAK SIEDZIAŁ, TO ZASNAŁ, I SIĘ PRZEZ SEN ZESZCZAŁ! Ramzes nachylił się nad leżanką i powąchał, a potem ja,

Stomil i Rafał uczyniliśmy to samo. Decyzją jury określono, że rzeczywiście jest naszczane, na co zza leżących pod ścianą kartonów dobiegł nas głos dogorywającego tam – jak mogliśmy się domyślać – mechanika: MÓWIŁEM JUŻ KURWA, ŻE SORRY! CO, DO KOŃCA ŻYCIA MAM PRZEPRASZAĆ?!

Usiedliśmy więc na ławce z parku i zaczęliśmy zapoznawać się z ofertą. Płacimy 100 funtów za tydzień za wynajęcie rikszy i w tej cenie mamy jej przechowywanie oraz niezbędne naprawy – jak mechanik już dojdzie do siebie. Otrzymamy też gratis krótkie szkolenie, jak i gdzie należy riksą jeździć. Płaci się zasadniczo z góry, ale mając na uwadze naszą sytuację życiową, to Ramzes był w stanie zgodzić się, żebyśmy 50 funtów zapłacili teraz, a drugie 50 na koniec tygodnia. Na rikszy jeździ się wtedy, gdy się chce, a poza tą stową tygodniowo całe zarobki idą dla kierowcy, w żargonie zwanego RAJDEREM. Najniższa cena za jeden kurs wynosiła 10 funtów, więc teoretycznie wystarczyło złapać przez cały tydzień 10 klientów, żeby inwestycja się zwróciła, dlatego zgodziliśmy się na ofertę Ramzesa, daliśmy mu nasze dane z paszportów do spisania umowy wynajmu, a potem wysłuchaliśmy jego wykładu teoretycznego na temat budowy rikszy i trudów, jak i radości pracy riksarzarskiej. Oprócz naszej istniało jeszcze kilka konkurencyjnych firm riksarskich, które funkcjonowały trochę jak więzienia w Ameryce, to znaczy wszyscy z grubszą trzymali się ze swoimi nacjami. Tak więc były firmy polskie, były hinduskie, hiszpańsko-portugalskie czy czechosłowackie, w których pracowali ludzie pochodzący właśnie z tych krajów. Zdarzały się małe wyjątki i na przykład w firmie hinduskiej pracowało dwóch typów ze Śląska, którzy z naszej firmy zostali wyrzuceni, bo wszystkich wkurwiali. Na ich miejsce przyszło do nas z kolei dwóch Hindusów, którzy wszystkich tam wkurwiali. U nas natomiast starali się nie wkurwiać już nikogo, bo wiedzieli, że są wśród obcych i lepiej się nie wychylać. Aby zrekompensować sobie niemożność wkurwania swoich bezpośrednich współpracowników, zaczęli jednak wkurwiać za dwóch (czyli właściwie za czterech, bo dwóch ich było) kolegów z poprzedniej firmy, krzycząc do nich losowe głupoty, gdy spotykali ich podczas pracy jeżdżących gdzieś na mieście. Tamci Ślązacy od nas robili zresztą to samo i raz nawet my mieliśmy z nimi przygodę. Mianowicie podjechali do nas koło Covent Garden, bo rozpoznali nas po riksach. Patrząc na kolorystykę i budowę rikszy, dało się z dużym prawdopodobieństwem ustalić, przedstawiciel jakiej narodowości na niej jeździ: na przykład riksze hinduskie były niebiesko-żółto-pomarańczowe i miały fotele dla pasażerów z przodu, a nasze były całe czarne i miały fotele z tyłu. W każdym razie Ślązacy podjechali we dwóch i zaczęli do nas nawijać po polsku, że O SIEMANO CHŁOPAKI, JAKI TAM ZAROBIEK DZISIAJ. Na początku nie zajarzyliśmy, kto to jest, więc po koleżeńsku mówimy, że raczej chujowo – Stomil 35 funtów, a ja 20 z groszami. Oni wtedy beka, że oni to już wyciągnęli po ponad stówkę na głowę i za tyle, co my zarobiliśmy, to nawet nie damy rady opłacić czynszu i czeka nas bezdomność i deportacja do Polski, więc mogą nam zrobić przysługę i dać się przewieźć za 5 funtów. Po tym wkurwianiu ich rozpoznaliśmy, bo chłopaki od nas z firmy nam o nich coś wspominali, więc już wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia. Stomil więc im odpowiedział, żeby spierdalali wozic za 5 funtów węgiel z kopalni, co musiało ich dotknąć, bo jeden zszedł z rikszy i zapytał Stomila, czy ma jakiś problem do węgla. Stomil na to odpowiedział, że tak, że ma problem, że jest chujowy i że śmierdzi, i że truje. Drugi Ślązak na to zripostował w sposób mniej merytoryczny, bo pytając Stomila, czy mu wyjechać w ryj, krawacikowi jebanemu z Warszawy, co mu węgiel śmierdzi. Nie wiem, skąd on wymyślił tę Warszawę, może stąd, że jak były protesty górnicze, to odbywały się właśnie w Warszawie (w domyśle nieprzypadkowo) i tym samym w oczach tego typu każdy przeciwnik spalania węgla musiał być warszawiakiem. Pewnie by mu wyjechał, bo istnieje bardzo niewiele odpowiedzi na takie pytanie, które mogą zapewnić inny rezultat, gdyby nie podjechał akurat ten typ od nas z

firmy, co ciągle palił crack, i nie kazał im obydwu spierdalać do Indii. Nie mam pewności, czy w Indiach w ogóle mają węgiel, ale podobno tam jest prawie takie zanieczyszczenie powietrza jak w Polsce, więc może tak. Tamci Ślężacy też pewnie nie wiedzieli, ale bali się tego typu od cracku, więc spierdolili.

Wszyscy rajderzy, bez względu na swoją przynależność etniczną, robili z grubsza to samo. Najpierw należało stanąć sobie rikszą w jakimś uczęszczanym miejscu, jak London Eye (ten wielki diabelski młyn nad Tamizą), pod Big Benem, na Trafalgar Square, Piccadilly Circus, Covent Garden czy Shaftesbury Avenue, gdzie są wszystkie teatry i opery. Będąc już tam, można było przyjąć jedną z dwóch strategii pozyskiwania klienta: pasywną, czyli siedzieć na rikszy i czekać, aż ktoś podejdzie i powie, że chce się przejechać, lub aktywną, czyli siedzieć na rikszy i pytać ludzi, czy nie chcą się przejechać. Gdy już jakiś chętny się znalazł, to należało dowieźć go we wskazane miejsce. Zalecane było, aby w trakcie jazdy odbyć z klientem jakąś niezobowiązującą, acz ciekawą rozmowę, co zwiększało szanse na napiwek. Potem pozostawało już tylko odebrać zapłatę i wrócić do punktu wyjścia.

Wszyscy rajderzy, bez względu na swoją przynależność etniczną, mają też jednego arcywroga, którym są londyńscy taksówkarze. Jeżeli słyszeliście o nienawiści taryfiarzy do uberowców (których jeszcze wtedy nie było), to pomnożcie ją razy trzy:

Raz za brak egzaminu czy choćby prawa jazdy na riksę, w porównaniu do rygorystycznego egzaminu na licencję taksówkarską

Dwa za brak działalności gospodarczej wśród riksarzy, w porównaniu do rządowo regulowanego licznika podpiętego pod kasę fiskalną w taksówkach

Trzy za kwestie rasowo-etniczno-obywatelskie, bo spora część taryfiarzy w Londynie to biali Brytyjczycy, a nie mniejsza to potomkowie imigrantów z Indii czy Pakistanu (bo z Polski jeszcze wtedy nie przyjeżdżali, bo była komuna), którzy są pierwszym czy drugim pokoleniem obywateli UK w swoich rodzinach, z czego czerpią wielką dumę, jednak w konfliktach drogowych przeradza się ona nierzadko w ksenofobię.

Jedne z najgorszych obelg na tym tle, jakie słyszałem w UK, padały, gdy na przykład droga taksówki prowadzonej przez Anglika o korzeniach hinduskich została zajęta przez riksę Hindusa o korzeniach hinduskich. Ci pierwsi bardzo często kazali tym drugim wypierdalać do domu – w domyśle znajdującego się poza granicami Wielkiej Brytanii. Jeżeli natomiast za kierownicą taksówki siedział biały Brytyjczyk, pole do popisu było jeszcze większe, bo mógł dodać też kilka epitetów odnośnie koloru skóry. Przysięgam jednak, że raz byłem świadkiem sytuacji, gdy taksówkarz-o-obywatelstwie-brytyjskim-i-korzeniach-pakistańskich nawyzywał riksarza-o-obywatelstwie-pakistańskim-i-korzeniach-pakistańskich od ciapatych. Gdy riksarz zripostował, że ten, co go wyzywa, jest obiektywnie rzecz biorąc, patrząc po pigmencie skóry, jeszcze ciapatszy od niego, to taksiarz odpowiedział, że chuj z tego, bo ma brytyjski paszport, po czym wyciągnął ze schowka w samochodzie rzeczony paszport i zaczął nim machać przez okno na potwierdzenie swoich słów. Wtedy riksarz wyrwał mu ten paszport, rzucił do kałuży i uciekł.

Do kwestii stosunków etniczno-rasowych na Wyspach Brytyjskich wróć jeszcze później, by na razie wrócić na asfalt londyńskich ulic, po których właśnie odbywałem swoją pierwszą jazdę riksą. Jeździ się nią jak na rowerze, tylko łatwiej, bo ma trzy kółka, więc nie da się wywrócić. Trzeba tylko ciągle pamiętać, że za swoimi plecami ma się szerszą część pojazdu, czyli kanapę. Dlatego nawet jeżeli da się gdzieś pomiędzy samochodem a latarnią precyzyjnie przednie koło, czyli rowerem, to tyłem nadal można zahaczyć, co kilkukrotnie mi się zdarzyło. W ramach szkolenia najpierw pojechaliśmy ulicą The Cut prawie pod same

Waterloo Station, potem na północ przez takie rondo, na którego środku jest IMAX, czyli kino 3D, a potem mostem Waterloo przez Tamizę. A jak jechaliśmy przez most we trzech ze Stomilem i Ramzesem, to czułem się trochę, jakbyśmy byli gangiem harleyowców z USA, tylko złożonym z mniejszej ilości harleyów, a większej ilości Polaków. Za rzeką przejechaliśmy jeszcze dosłownie kawałek, aż znaleźliśmy się na Covent Garden, czyli takim skwerze, gdzie jest dużo restauracji, który Ramzes polecił nam na bazę wypadową. Tam się zatrzymaliśmy, a szef dał nam mapy centrum Londynu – takie jak rozdają za darmo w punktach informacji turystycznej – i kazał się z nimi zapoznać. W międzyczasie zaczął tłumaczyć, że owszem, na wożeniu ludzi pod Big Bena da się zarobić, natomiast najlepszy pieniądz to wożenie ludzi do różnego rodzaju lokali. Na przykład klient wsiada na riksę i mówi, żeby go zawieźć gdzieś na piwo, to jedzie się z nim wtedy do jednego z zaprzyjaźnionych pubów, kasuje 15 funtów za przejazd, a jeszcze potem się leci do manadżera i bierze 10 funtów za dostarczenie klienta, więc nagle już się robi 25 funtów za 10 minut roboty. Jeszcze lepszy biznes to strip cluby, bo tam ochroniarze odpalają za każdego klienta nawet 20 funtów, czyli na przykład jak się przywiezie trzech typów żądnych wrażeń, to już jest 6 dych z samej prowizji. A najlepsze to w ogóle są agencje towarzyskie, bo czasami można trafić na taki deal, że dostaje się $\frac{1}{4}$ tego, co klienci tam zostawiają. Rekordzista z naszej firmy w ten sposób zarobił 2000 funtów w jedną noc, bo najpierw zawiózł trzech typów do jednej agentury na dwie godziny, a potem jeszcze jakiegoś najebanego bogatego gościa do jednej z najdroższych agencji, gdzie tamten zapłacił za 10 godzin z góry i centralnie poszedł spać.

Tłumacząc to wszystko, Ramzes zakreślał nam na mapkach turystycznych lokale, do których pasażerów warto wozić, z pominięciem oczywiście strip clubów i burdeli, bo te na mapie nie były zaznaczone i dopiero musiał je dorysowywać. Wtedy podeszła do mnie para Anglików, facet z kobietą, na oko tak z 40 lat, i pytają, czy jestem wolny, bo oni właśnie wyszli z kolacji w restauracji tu obok i chcą jechać na musical „Król Lew”, który jest grany w Lyceum Theatre i był wtedy wielkim przebojem. Ja się pytając patrzę na Ramzesa, a on do mnie szepcze porozumiewawczo, że dobra okazja, bo to jest 300 metrów stąd, a jak typ jedzie z panną, to zawsze chce się pokazać i daje 20 funtów i mówi, że reszty nie trzeba. To mówię tym Anglikom, że jasne, proszę wsiadać. Sam wskoczyłem na rower i ruszam naprzód, ile fabryka dała, żeby klientom zaimponować. Przejechałem w kilka chwil kilkadziesiąt metrów i słyszę, że Ramzes coś tam jeszcze krzyczy z tyłu, ale założyłem, że to jakieś słowa wsparcia typu DAJESZ MŁODY, DAJESZ!

Gdybym wtedy miał możliwość taką, jak wy macie teraz, czyli aby się zatrzymać, przeprosić na chwilę pasażerów, wejść na Google Mapsy, sprawdzić, gdzie jestem ja, a gdzie jest Lyceum Theatre z Królem Lwem, Mufasą, Skazą, Timonem i Pumbą, to bym wiedział, że Ramzes krzyczał do mnie NIE W TĘ STRONĘ MŁODY, NIE W TĘ STRONĘ. Znajdowałem się jednak wtedy w niezręcznej sytuacji społecznej, jak i nie miałem takiego zaplecza technologicznego jak obecnie, bo Google Maps to wtedy dopiero wyszły w wersji beta i to na smartfony, których posiadaczami było wtedy tylko słynne najbogatsze 1% populacji świata. Dlatego też z zapalem wyjechałem na Bedford Street, a następnie na Strand, czyli dużą ulicę, na której mój entuzjazm został trochę przytłoczony natężeniem ruchu ulicznego. Wtedy zdałem sobie sprawę, że przejechałem już kilkaset metrów w losowo wybranym kierunku, a nie mam pojęcia, gdzie właściwie znajduje się ten teatr. Poczułem, jak z przerażenia krew odpływa mi z twarzy, czego na szczęście nie widzieli moi pasażerowie, bo byli za moimi plecami. W panice wymyśliłem, że może jakoś ich podpytam, gdzie trzeba jechać, ale na tyle dyskretnie, żeby nie zcaili, że nie wiem, gdzie jadę. Zagaduję więc przez ramię, że ten „Król Lew” to fantastyczna sprawa i czy już może w tym teatrze byli i widzieli.

Niestety oni mówią, że nie widzieli, bo w ogóle nie są nawet z Londynu, tylko z Newcastle, i do stolicy sobie przyjechali dlatego, że ten facet zaprosił kobietę na romantyczny weekend na rocznicę ślubu. Pomyślałem, że w tej sytuacji przynajmniej o tyle dobrze, że jak są nietutejsi, to nie mają pojęcia, że jedziemy źle. Postanowiłem więc nadrabiać gadką, co według porad Ramzesa miało być jednym z kluczy do sukcesu, i zagadywać ich, ile się tylko da, jednocześnie rozglądając się w poszukiwaniu teatru. Jadąc powoli ulicą Strand, kontynuuję więc temat „Króla Lwa”, który szczęśliwie w dzieciństwie był jedną z moich ulubionych bajek, więc fabularnie miałem go ogarniętego dobrze. Gorzej było z aspektem językowym, bo nie potrafiłem swoich rozważań nad motywacjami Skazy przełożyć zbyt dobrze na angielski, bo do tego jeszcze byłem zestresowany całą tą sytuacją, więc mówiłem głównie MOVIE VERY BEAUTIFUL, BUT POOR SIMBA, POOR SIMBA. Muszę w tym momencie dodać, że oprócz posiadania przeze mnie niskich tak zwanych umiejętności społecznych należę do osób niezbyt dobrze radzących sobie z wykonywaniem kilku czynności jednocześnie. Jak na przykład idę ulicą i zadzwoni mi telefon, to żeby pogadać, to muszę się zatrzymać i na czas rozmowy zaprzestać chodzenia, bo inaczej prawie zawsze się zaraz o coś wypierdolę. Mając już tę świadomość, wyobraźcie teraz sobie inbę odbywającą się w mojej głowie, gdy musiałem kręcić pedałami, kierować riksą, uważać na wieczorny, natężony ruch samochodowy na dużej ulicy londyńskiej, gadać o „Królu Lwie” w obcym języku i jeszcze kurwa szukać wzrokiem tego teatru. W tym kontekście powinniście zrozumieć, że gdy dojechalismy do Trafalgar Square, gdzie jest zajebiście wielkie rondo z czterema pasami w każdą stronę, to nie wystarczyło mi już mocy obliczeniowej, żeby ogarnąć, że skoro w UK obowiązuje ruch lewostronny, to ronda objeżdża się w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, a nie przeciwnym, jak w Polsce i reszcie cywilizowanego świata. Wypierdoliłem więc przez całe kurwa Trafalgar Square pod prąd, w akompaniamencie klaksonów dziesiątek samochodów, które akurat na rondzie się znajdowały, i najpotworniejszych obelg rzucanych we mnie przez kierowców autobusów i taksówek. Aby zagłuszyć ten kociokwik zdradzający mój brak profesjonalizmu, zacząłem jeszcze głośniej krzyczeć o tym „Królu Lwie” – wcześniej i tak musiałem krzyczeć, żeby było mnie z tyłu słychać, tylko ciszej. Życie na gwarным zazwyczaj Trafalgar Square na chwilę zamarło. To było jak rocznica Powstania Warszawskiego, jak co roku o 17:00 wszyscy w stolicy się zatrzymują na ulicy, a samochody trąbią. Z tą różnicą, że oczy wszystkich kierowców, jak i tysiacy turystów stojących przed mieszczącą się obok Galerią Narodową, zwrócone były na jadącego riksą pod prąd Polaka, krzyczącego POOR SIMBA! POOR SIMBA! – czego na obchodach Powstania Warszawskiego raczej się nie uświadczysz. Po uniknięciu kilkudziesięciu zderzeń czołowych udało mi się zjechać dopiero w ulicę Whitehall. Tam zrodziło się w mnie poczucie, że moi klienci mogą już coś podejrzewać, bo byli bladzi i zaczęli pytać, czy wszystko w porządku i czy jeszcze daleko, bo oni chcieliby już wysiąść. Odpowiedziałem tylko, że tylko kawałek, po czym przestałem już nawet mówić o Simbie, bo czułem zbyt duże zażenowanie, więc skupiłem się na tym, żeby jak najszybciej pedałowac. Po chwili dojechalismy pod parlament, co na chwilę przyciągnęło uwagę pasażerów i ta kobieta zaczęła krzyczeć, że O, BIG BEN!, i robić zdjęcia, więc odruchowo skrzyłem w stronę Big Bena, żeby na nim się skupili i jeszcze chwilę dłużej żyli w słodkiej niewiedzy co do kierunku naszej podróży. Miałem nadzieję, że jeszcze przed Tamizą uda mi się jakoś skrzyć tak, aby zacząć wracać mniej więcej w tym samym kierunku, z którego przyjechalismy, tylko inną ulicą. Niestety następny skręt był zastawiony przez autobus, a ja ani na chwilę nie mogłem się zatrzymać, bo mogłoby to zdradzić, że nie wiem, co robię, więc byłem zmuszony cisnąć ze 100% pewnością siebie prosto na most Westminster. Jak byliśmy na moście, to ta kobieta zapytała, czy na pewno dobrze jedziemy, bo im w

restauracji mówili, że to Lyceum Theatre z „Królem Lwem” to jest tuż obok, więc to trochę dziwne, że jedziemy już od 15 minut, a teraz w dodatku na drugą stronę rzeki. Na szczęście tym razem spostrzegawczy okazał się jej mąż, który zaczął krzyczeć O, LONDON EYE!, czyli ten diabelski młyn, który było widać po drugiej stronie Tamizy. Ja wtedy wymyśliłem, że o tę atrakcję też zahaczmy, żeby mogli sobie porobić zdjęcia, a ja zyskać kilka dodatkowych minut. Niestety pierwszy zjazd za mostem był dopiero w ulicę York Road, która jest już kawałek za London Eye, więc jako że pasażerowie nie mieli chwilowo na czym zawiesić oka, to znowu zaczęli zadawać niewygodne pytania, coś szeptać między sobą i atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Nagle kurwa jakimś cudem wyjeżdżamy na to rondo, przy którym był IMAX i przez które przejeżdżałem godzinę wcześniej z Ramzesem i Stomilem. Myślę, raz kozie śmierć: zatrzymuję się pod ty IMAX-em, zakładam najchłodniejszą twarz, jaką mam, odwracam się do nich i mówię TO TUTAJ XD. Oni byli całą tą przejażdżką zauważalnie podkurwieni, ale typ mówi dobra, ile się należy? To mówię, że 15 funtów, a on mi daje 20, ja mówię, że nie mam wydać, a on mówi, że no dobra, to już nie trzeba. Jak tylko weszli do środka, to ja spierdoliłem do bazy rikszonej najszybciej, jak się tylko dało, żeby nie zdążyli mnie dogonić, jak się ogarną co i jak. Z drugiej strony w IMAX-ie wtedy grali „Epokę Lodowcową” w 3D, więc jak dla mnie to też całkiem spoko, o ile nawet nie lepsze od „Króla Lwa”.

Jak dochodziłem do siebie w bazie, to jakieś pół godziny później pojawił się Stomil, który powrócił na tarczy, a raczej bez niej, w sensie na piechotę, bo chwilowo utracił swoją riksę. Według jego relacji 5 minut po tym, jak ja odjechałem z moimi pasażerami, do niego wsiadła trójka chińskich turystów, zamówiła kurs na Piccadilly Circus i zapłaciła 20 funtów z góry. Po chwili jazdy Stomil również ogarnął, że nie da rady zgadnąć, gdzie znajduje się cel jego podróży, więc powiedział Chińczykom, że jest sytuacja awaryjna i musi iść się wysrać, po czym zostawił ich samych w rikszy na chodniku i poleciał do McDonald'sa po drugiej stronie ulicy, gdzie niby defekował, a tak naprawdę patrzył przez okno, czy już się znudzili i sobie poszli. Oni jednak też kiedyś musieli być w sytuacji awaryjnej, bo pokornie czekali przez ponad pół godziny, aż w końcu wygrali wojnę na przeczekanie i poszedł sobie Stomil – do bazy rikszonej po wsparcie. Tym razem sprawdziliśmy trasę na mapie, ja usiadłem za kierownicą, a on na kanapie pasażera i pojechaliśmy odzyskać jego pojazd – tym razem przez Blackfriars Bridge, żeby nie przejeżdżać znowu koło tego IMAX-a, jak by akurat przypadkiem to małżeństwo z Newcastle wyszło z randki. Riksę Stomila odnaleźliśmy tam, gdzie ją zostawił, szczęśliwie bez Chińczyków i w stanie nienaruszonym.

Krąg Dialogu

Wracamy na squat, czyli do naszego nowego domu, umordowani psychicznie i fizycznie po tym pierwszym dniu roboty. Najchętniej to bym wziął gorącą kąpiel, ale nie było u nas takich luksusów. Podgrzewało się wodę w czajniku elektrycznym, mieszało z zimną, żeby nie poparzyła, i nalewało do takiego prysznica turystycznego, który był torbą podwieszaną pod sufit, a na dole miała kurek, który się odkręcało, i wtedy na głowę leciała woda.

Niestety nawet taki prysznic nie był mi pisany, bo jak tylko weszliśmy do domu, złapał nas ten Profesorek, który nam rano zorganizował przydługie powitanie. Tym razem zapowiadało się podobnie, bo powiedział, żebyśmy szli na dół na basen, bo tam będzie Krąg Dialogu, czyli takie spotkanie mieszkańców, na którym się omawia różne ważne sprawy i wszyscy już na nas czekają.

Rzeczywiście, w piwnicy na dnie osuszonego basenu siedziała większość naszych współlokatorów. Najpierw jeszcze raz oficjalnie się ze wszystkimi przywitaliśmy i powiedzieliśmy kilka słów o sobie, a oni o sobie. Potem zaczął się Dialog, dla którego Krąg

został uformowany, a to była już sprawa bardziej zbiurokratyzowana. Profesorek objął funkcję przewodniczącego posiedzenia, tylko inaczej się nazywało, bo to nie było posiedzenie, tylko DIALOG, a on nie był przewodniczącym, tylko FACYLITATOREM. Podnoszę rękę i chcę zapytać, jak długi planowany jest Dialog, bo my jesteśmy prosto po robocie i nawet turystycznego prysznica jeszcze nie zdążyłem wziąć, ale Profesorek mnie skarcił, że nie można podnosić ręki, bo hitlerowcy też podnosili i się źle kojarzy. Dlatego zgłaszać się trzeba w inny sposób. A jaki? To już każdy musi sobie sam wymyślić indywidualnie, można zagwizdać, można pstryknąć palcami, nie wiem kurwa, polizać łokieć, jak ktoś potrafi, żeby się tylko nie kojarzyło. W drodze wyjątku otrzymałem jednak odpowiedź, że posiedzenie, to znaczy Dialog, będzie trwał tak długo, jak trzeba. Aha, ok. Pierwsza podniesiona została kwestia zgłoszona przez samego Facylitatora, a mianowicie, że teraz już u nas na ludzi nie będzie się mówiło he/she i tak dalej, tylko będziemy używali ZAIMKÓW OSOBOWYCH NEUTRALNYCH PŁCIOWO, bo ten typ z Hiszpanii był kiedyś panną i jego to może obrażać. Mówić więc będzie można na przykład XE, zamiast HE, bo to podobno dużo zmienia. Ja się zmartwiłem, bo mój angielski i tak nie był jeszcze jakiś mega i miałem problemy nawet z he/she, a tutaj już wchodzi jakiś zaawansowany poziom. Stomil miał wyjebane, bo on i tak zawsze na wszystkich, w każdym kontekście językowym i sytuacji mówił YOU, natomiast główny zainteresowany, czyli Samuel, typ z Hiszpanii, mówi Profesorkowi, że on nie po to przeszedł całą kurwa skomplikowaną, drogą i bolesną procedurę zmiany płci, z dorobieniem kutasa włącznie, żeby teraz go jakoś dziwnie nazywali, bo on się czuje w pełni HE, a nie jakiś XE. Profesorek się spieszył i mówi do jednej z panien ze Szwecji, czyli Ebby, że ona chyba chce coś od siebie dodać w tym temacie. Ona mówi, że nie, że dlatego on tak sądzi? A on tłumaczy, że pocierała ręką nos, więc chyba się w ten sposób zgłaszała, że chce zabrać głos, a nie chciała podnosić ręki jak naziści. Ona jednak tłumaczy, że nie, że ona tylko sama sobie zgłaszała, że ją nos swędzi, i nie ma w kwestii zaimków osobowych neutralnych płciowo nic do dodania. Zresztą nikt nie miał, bo Samuel z Hiszpanii w gruncie rzeczy zamknął temat, bo trudno, żebyśmy my mu ustalali, jak się ma na niego mówić. Swoją drogą ten Samuel był bardzo słusznej postury, nie wiem, czy to przy tej terapii mu tak rozjechało mięśnie od testosteronu, czy jeszcze będąc kobietą, był takim bambrem, ale podejrzewam, że Profesorek też się trochę bał, żeby mu nie jebnął, więc uciął drażliwy temat.

Następną kwestię zgłosiło 5-osobowe rodzeństwo z Ugandy. Z nimi ciekawe było to, że dziewczyny nazywały się Grace, czyli łaska, Sweet, czyli słodka, i Faith, czyli wiara, a typki Lucky i King. Jak widzicie, zasady imiennictwa były dosyć proste, bo zwyczajnie nazywało się dziecko tak, jak się chciało, żeby ono miało w życiu. Jak na przykład chciałeś, żeby syn miał szczęście, to go nazywałeś LUCKY i sprawa załatwiona. Nie wiem natomiast, co robi się w sytuacji, jak taki Lucky czeka zimą na przystanku tramwajowym, poślizgnie się, noga mu wleci na tory i jakiś tramwaj mu po niej przejedzie i utnie, co jest jednak przypadkiem wbrew jego imieniu nieszczęśliwym, więc w takich okolicznościach imię trzeba zmienić na przykład na RICH i trzymać kciuki, że tym razem się uda. Jednak być może właśnie przewidując taki potencjalny problem, w Ugandzie nie ma ani śniegu, ani tramwajów, co nasi współlokatorzy nam opowiadali. Zamiast tramwajów są autobusy i motorowe taksówki, które nazywają się BODA-BODA. Zamiast śniegu jest natomiast deszcz, szczególnie w porze deszczowej.

W każdym razie jak już wspominałem, oni wszyscy byli gorliwie wierzący i codziennie chodzili do kościoła na skwerku przed squatem na mszę. Ich wniosek przedstawiony przed Kręgiem Dialogu dotyczył tego, że jednak chcieliby się też modlić w domu, a chwilowo mieli bana, bo ich pokój był dokładnie nad pokojem Profesorka. Ważne było to dlatego, że o ile na

przykład religijność u nas w Polsce polega na tym, że się mówi pod nosem ojczenaszktóryś jest w niebie i idzie się raczej w ilość odbytych modlitw, to w religijności ugandyjskiej Boga wielbi się w dużej mierze tańcem i śpiewem, czyli na przykład robi się tylko jedną modlitwę, ale 10-minutową z refrenem, bisowaniem i wybijaniem rytmu nogą o podłogę. Z tego powodu właśnie Profesorek im wprowadził zakaz na modlenie, bo mu skakali po suficie. Dlatego też, po rozważeniu argumentów wszystkich zainteresowanych stron, ci Ugandyjczycy zaproponowali, żeby się mogli modlić w piwnicy na basenie, bo tutaj nie będą nikomu przeszkadzać, bo nikt pod basenem nie mieszka. Może z wyjątkiem diabła w piekle, ale akurat w modlitwie chodzi o to, żeby jemu przeszkadzać. Chcieliby natomiast sobie tam powiesić jakiś święty obraz, żeby im się lepiej modliło. Profesorek na to mówi, że nie ma chuja, bo to jest lokal laicki i nie można innym narzucać swoich przekonań religijnych poprzez wieszanie tego typu symboli. Na to ja zauważam, że TAK, A TO NIBY CO? I pokazuję tego Buddę, co był na płachcie na ścianie koło basenu. To tak naprawdę nie był Budda, tylko jakiś inny azjatycki bóg, chyba hinduski, ale nikt do końca nie wiedział jaki – w każdym razie wydawał się chudszy od Buddy. Zdziwił się też ten Joaquin z Brazylii, który kiedyś grał ze Stomilem na gitarze w przejściu podziemnym, bo on mieszkał na tym squacie prawie od samego początku, a tego Buddy nigdy nie widział. Profesorek tłumaczy, że on go powiesił dosłownie kilka dni temu, nie jako symbol religijny, tylko symbol rdzennej ludności Azji, żeby ją uszanować za to, że była przez nas kolonizowana. Ja mówię, że przez nas to znaczy przez kogo, a on mówi, że przez białych ludzi, czyli mnie, Stomila, Rafałela, typa z Hiszpanii, parę ze Szkocji, panny ze Szwecji i jego. To ja mu mówię hola hola, biały człowiek białemu człowiekowi nierówny, my tu jesteśmy z Europy może i Środkowo, ale jednak Wschodniej i my żadnych ludzi w Azji ani Afryce, ani Ameryce nie kolonizowaliśmy, tylko nas kolonizowali. A on pyta TAK? A NIBY JAK?

Całe życie kurwa byłem przygotowywany na nadejście tego momentu. Jadę mu od razu z grubej rury, wszystkimi nieszczęściami dziejowymi, które spadły na Polskę. Po pierwsze, że kolonializm kulturowy na przykładzie tych dzieci z Wrześni, co protestowały przeciwko germanizacji. Po drugie niewolnictwo na Sybirze albo na robotach przymusowych u bauera, gdzie się jechało z łapanek ulicznych. Po trzecie fizyczna eksterminacja elit na przykładzie profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Katynia. Po czwarte kurwa segregacja rasowa, jak w czasie wojny na przodzie tramwaju i w parkach było NUR FÜR DEUTSCHE, czyli że tylko Niemcom wolno, to jak w USA w latach 60., jak też czarni nie mogli sobie jeździć autobusem, jak chcieli, i mieli osobne kible. No i nie zapominajmy o Auschwitz i pozostałych niemieckich nazistowskich obozach koncentracyjnych w okupowanej Polsce, gdzie mordowano i Żydów, i Polaków, i nawet Cyganów, o czym niestety mało kto pamięta. Taką tyradę pocisnąłem, że obie Szwedki się centralnie popłakały. Profesorek widać, że w opór zmieszany, że niby taki z niego doktor nauk, a nie zna podstawowych faktów historycznych. Chciał jeszcze jebany ratować twarz, to pyta, czy w takim razie była też kradzież dzieł kultury i sztuki, tak jak Brytyjczycy kradli z Egiptu mumie i inne zabytki z czasów faraonów. No i tym sposobem typ mi się podstawił na cios kończący. Już był w tym momencie trupem, tylko jeszcze tego nie wiedział. Wyjeżdżam mu, że jak Bursztynową Komnatę kiedyś zajebali, to do dzisiaj się nie znalazła. Jeszcze myślałem, żeby coś dorzucić o dobrach zagrabionych podczas potopu szwedzkiego, ale dałem sobie spokój, bo Szwedki już i tak płakały nad losem Polski.

Profesorek intelektualnie znokautowany duka YYYYYY EEEEE NOOOO YYYY NOOO TAK TAK, trener z sędzią cuca jego mózg mokrymi ręcznikami. W końcu, jak doszedł do siebie, to postanowiono, że w takim razie ja, Stomil i Rafałel będziemy od teraz uznawani za pokrzywdzonych dziejowo i w głosowaniach liczeni tak samo jak Ugandyjczycy i typ z

Brazylii. To było ważne, bo jak się okazało, w głosowaniu przemnożnik przelicznika twojego głosu zmieniał się dynamicznie, w zależności od twojego pochodzenia, cech osobistych i przedmiotu głosowania. Tym sposobem do głosowania nad obrazkiem z Buddą powstały dwa zespoły: okcydentalny, czyli UK, Szwecja i Hiszpania, oraz peryferyjny, czyli Polska, Uganda i Brazylia. Wyszło jednak tak, że w tym centralnym było mniej ludzi, bo tylko 6, a w naszym aż 9, więc Profesorek ogłosił, że nie może być tak, żeby większość mogła wszystko narzucić mniejszości, bo to jest dyktatura, więc głosy tej mniejszości liczone będą razy 1,75, żeby było sprawiedliwie. Natomiast nadal nie rozstrzygało to wyniku sprawy Buddy, bo i ci centralni, i peryferyjni mogli tak samo być za nim, jak przeciwko niemu. No to zaczynamy głosowanie, profesorek zarządza, żeby oddał głos KTO JEST ZA BRAKIEM NAPRAWY KOLONIALIZMU KULTUROWEGO POPRZECZ UMIESZCZANIE EUROPEJSKICH SYMBOLI RELIGIJNYCH KOSZTEM AZJATYCKICH. Kilka osób podnosi ręce, ale zaraz zostali skarceni, że to się źle kojarzy i mają gestami pokazać. Każdy pokazywał na swój sposób, co było dosyć chaotyczne, a potem pokazywali ci, którzy mieli zdanie odmienne. Na koniec Profesorek się pyta gościa ze Szkocji, czy on mrugał na TAK, czy na NIE, a on mówi, że niestety nie wie, jakie było pytanie, bo jest najarany. Profesorek uznał to za NIE, potem przemnożył i przeliczył głosy przez przemnożnik licznika i wyszło, że 18,3% głosujących było za wyrzuceniem Buddy i powieszeniem świętego obrazu Ugandyjczyków, 45,9% za zostawieniem Buddy i niewieszaniem świętego obrazu, a 33,5% za tym, żeby były obydwa obrazy, co jest o tyle dziwne, że nie przypominam sobie, żeby ta opcja w ogóle była poddana głosowaniu. Niemniej wszyscy byli już tak zmęczeni tym Dialogiem, że Ugandyjczycy zamiast się kłócić, to polecili szybko do kościoła na skwerku, żeby zdążyć na wieczorną mszę, a ja z poczuciem dziejowego triumfu poszedłem pod prysznic turystyczny. Kolejne dni upływały nam bardzo podobnie, czyli na graniu w Fifę na Xboksie porankami, chodzeniu do pracy na riksze na popołudnia, a mniej więcej co drugi wieczór odbywał się jakiś Krąg Dialogu, który, jeżeli nie było jakichś bieżących domowych spraw, to trwał znacznie krócej niż ten pierwszy, bo ograniczał się tylko do tego, kogo danego dnia potępiamy. Działo to tak, że Profesorek cały dzień nic nie robił, tylko łąził po domu, sączył browarki, mądrzył się do tych lokatorów, na których akurat trafił, albo czytał różne newsy na komputerze i dostawał o nie bólu dupy. Na przykład czytał, że jakiejś firmie naftowej się gdzieś w lesie amazońskim wylała ropa z rurociągu, to się oburzał, wpisywał to na listę i wieczorem głosowaliśmy, czy tę firmę potępiamy, czy nie. Zazwyczaj potępialiśmy, no bo co nam szkodzi, i po takim potępieniu wszyscy mogli zadowoleni iść do siebie. Natomiast dało się wyczuć, że Profesorek miał mi ciągle za złe wypunktowanie jego niewiedzy historycznej na naszym pierwszym Dialogu. Problematyczne było to o tyle, że o ile teoretycznie wszyscy na squacie byli równi, to on był trochę równiejszy, bo jako jedyny nie chodził nigdzie do roboty, tylko siedział i kminił coraz to nowe zasady, tematy naszych spotkań, sposoby głosowań i tak dalej, a nikt z nas nie miał tyle czasu, żeby z nim siedzieć i gasić te jego wszystkie pomysły, więc siłą rzeczy sporo z nich jakoś przechodziło, ale tak widocznie wyglądało to całe doktorowanie na uczelni. Problem wynikał więc z tego, że Profesorek od czasu do czasu rzucał w moją stronę różne gównokomentarze i czułem, że powoli zaczyna ogarniać, jak tutaj zakombinować z tymi Dialogami i głosowaniami tak, żeby mnie ze squatu wypierdolić. Z tego powodu, jak i z braku bieżącej wody, zaczęliśmy się ze Stomilem rozglądać za normalnym zakwaterowaniem i obejrzelśmy kilka pokoiów na wynajem w różnych częściach Londynu. Miało się to przydać szybciej, niż sądziliśmy.

Sejf

Pewnego dnia, po około 2 tygodniach mieszkania na squacie, wróciłem z pracy jako ostatni, bo trafiłem jeszcze kilka kursów jeden po drugim, podczas gdy Stomil nie miał tyle szczęścia i 2 godziny wcześniej zawinął do domu. Najpierw wiozłem starsze małżeństwo spod National Gallery na Euston Road, a potem dwie panny z tego Euston do pubu koło katedry St. Paul's. W tym pubie był jakiś melanz firmowy i jak dowiozłem te dziewczyny, to ich koledzy z pracy wsadzili mi na riksę jakiegoś swojego ziomka, który zdążył zezgonować, zanim w ogóle dzierłatki przyszły. Taksówka go nie chciała wziąć, bo się porzigoł, a na riksę to mniejszy problem niż w taxi, bo nie ma szyb i drzwi, więc na bieżąco się wietrzy. Ci jego koleżkowie poprosili, żebym go zawiózł na Piccadilly Circus, a oni w tym czasie tam dojadą taksówką (bo widać to tacy koledzy, że też nie chcieli z nim jechać), odbiorą go na miejscu i mi zapłacą 40 funtów. Wszystko się udało, typek przespał całą drogę na tylnej kanapie, a oni zgodnie z obietnicą tam czekali. Potem musiałem jeszcze zjechać stamtąd na bazę, co zajęło kolejne 20 minut, a potem jeszcze do domu z 2 przesiadkami nocnym autobusem. Byłem więc na naszym squacie koło trzeciej w nocy. Wbiłem jeszcze do kuchni zjeść jakieś resztki wegańskiego obiadu, które zazwyczaj zostawiały mi Ebba i Ebba. Jem, jem, jem i słyszę jakieś dziwne odgłosy z okolic podłogi, takie jednostajne SZURU-BURU-SZURU-BURU. Mam coś takiego z głową, że nie zaznam spokoju, dopóki nie odnajdę źródła takiego dźwięku i go nie zneutralizuję. Zacząłem więc lazić na kuckach po kuchni i szukać, co to może być. Dźwięk zaprowadził mnie do salonu, a potem jeszcze dalej, aż do schodów do piwnicy. Wtedy mnie olśniło, że rozwiązanie jest pewnie najbardziej oczywiste, żeby nie powiedzieć, że zwyczajnie banalne. Pewnie to te słynne myszy harcują, bo to właśnie takie rzeczy się zazwyczaj w piwnicach dzieją po nocach, szczególnie w takich posiadłościach jak nasza. W salonie był kominek, a przy kominku były pogrzebacze, pogrzebaczo-szczotki, pogrzebaczo-szczypce i inne akcesoria kominkowe, więc jeden pogrzebacz wziąłem ze sobą, bo nie miałem pewności, ile tych myszy jest – jak mało, to mogę po prostu postraszyć, ale jak dużo, to mogłyby mnie zjeść, bo był już taki precedens historyczny. Schodami na dół przemieszczałem się powolutku, na paluszkach, jak w jakimś horrorze, bo to SZURU-BURU robiło się coraz intensywniejsze. Stoję już na wejściu na basen i przez chwilę poczułem się dosyć niezręcznie, bo co ja mam do takich myszy powiedzieć, HALO? Wymyśliłem, że to jednak trzeba ostrzej, zapaliłem światło i w tym samym momencie groźnie uniosłem pogrzebacz i krzyknąłem NO CO JEST KURWA?! Z nadzieją, że myszy zrozumieją i uciekną. Zamiast tego stałem się świadkiem zjawiska niemal paranormalnego. Na ścianach dookoła basenu były porozwieszane różne banery i grafiki, dla przyozdobienia naszej świetlicy. Na przykład z jednej strony JEDZENIE ZAMIAST BOMB, kawałek dalej LEGALIZE IT i tak dalej. Natomiast na ścianie naprzeciwko wejścia, czyli dokładnie po drugiej stronie basenu niż byłem ja, wisiała taka kwadratowa tkanina 2x2 metry, na której był namalowany ten prawdopodobnie azjatycki bóg, o którego była awantura w temacie zakresu swobód i wolności religijnych. W każdym razie, gdy tylko włączyłem światło, ten malunek boga zaczął się gwałtownie unosić, potem szarpać na boki, a potem zerwał się ze ściany i spierdolił prosto do basenu, aż plasnęło o kafelki, bo w tej głębszej części było z półtora metra wysokości. Mnie ze strachu замуrowało na dobre kilka sekund, aż spod tego leżącego na dnie wyschniętego basenu płótna nie zaczęły dochodzić jęki wskazujące, że pod nim jest człowiek. Podchodzę bliżej, pogrzebacz ciągle w gotowości, jak by to jednak było stado myszy, a tam spod materiału wyłania się Profesorek, jęcząc i trzymając się za ramię, bo widocznie nim uderzył o ziemię. Od razu na mnie naskakuje, że co ja robię, że ludzi straszę po nocy i że on chyba rękę przeze mnie złamał. Ja go zaczynam przeproszać i tłumaczyć, że chciałem tylko myszy przepłoszyć, że nie wiedziałem, że to on, ale nagle patrzę, a on w tej obolałej ręce trzyma pilnik, a na głowę ma założoną taką latarkę-czołówkę.

W tym momencie sobie myślę, hola hola, to on tutaj po ciemku coś kombinuje z pilnikiem na basenie o trzeciej w nocy, a ja się mam tłumaczyć? On widocznie po mojej mimice skminił, że coś mi zaczęło nie pasować, bo nagle zmienił ton na znacznie bardziej koleżeński, przestał sobie masować tę rękę i mówi, że HEHE DOBRA NIC WIELKIEGO SIĘ NIE STAŁO, CHODŹMY SPAĆ, BO JUŻ PÓŹNO JEST, A TY PO CAŁYM DNIU PRACY PEWNIE. To się zrobiło już podejrzanym w opór, że jest taki miły. Rozglądam się po basenie i widzę, że coś jest nie tak ze ścianą, gdzie wcześniej wisiał ten niby Budda. Przyglądam się bliżej, a tam normalnie jeden kafelek, taki pół na pół metra, jest wyjebany ze ściany, a za nim centralnie kurwa najprawdziwszy sejf.

Nawet jak jeszcze byłem dzieckiem, to zawsze mi dobrze szły różne zagadki i łamigłówki z Kaczora Donalda, bo miałem taki zmysł detektywistyczny, więc w ułamku sekundy połączyłem ten pilnik w ręce, latarkę na głowie i sejf w ścianie w logicznie spójną całość. Jeżeli wy nie jesteście tacy bystry, to pokrótce powiem, że siedział jebany po nocy schowany za nie-Buddą i w ukryciu piłował, żeby okraść ten sejf, który jakoś musiał namierzyć. To do niego mówię OSZ TY KURWA! Niechcący powiedziałem po polsku, bo w oburzeniu się zapomniałem, ale z kontekstu chyba wszystko musiało być jasne, bo on zaczyna się gęsto tłumaczyć, że spokojnie, żebyśmy pogadali i on mi wszystko wytłumaczy. Mówię, no dobra, tylko żadnych sztuczek – bo wszyscy wielcy detektywi tak mówią. BO WIDZISZ, SYTUACJA JEST TAKA, ŻE JA NA TYM SQUACIE MIESZKAM TYMCZASOWO. ZRESZTĄ PEWNIE TAK JAK TY, BO UMÓWMY SIĘ, ŻE OBYDWAJ JESTEŚMY LUDŹMI, KTÓRZY ZASŁUGUJĄ NA WIĘCEJ, TYLKO CHWILOWO SIĘ ZNALEŻLI W TRUDNEJ SYTUACJI. TY JESTEŚ W TAKIEJ SYTUACJI, ŻE JESTEŚ Z POLSKI, A JA JESTEM W TAKIEJ SYTUACJI, ŻE MNIE ŻONA WYRZUCIŁA Z DOMU. TO NIE MOGŁEŚ SOBIE CZEGOŚ WYNAJAĆ, JAK CI SIĘ SQUAT NIE PODOBA? NO NIESPECJALNIE, BO MNIE NIE STAĆ, BO Z UCZELNI TEŻ MNIE CHWILOWO WYRZUCILI, W SENSIE ZAWIESILI, ZRESZTĄ Z TEGO SAMEGO POWODU, CO Z DOMU.

CZYLI JAKIEGO?

NO BO MNIE JEDNA STUDENTKA OSKARŻYŁA, ŻE JĄ WYMACAŁEM.

Myślę sobie, ohoho, to ładny zwrot fabuły tu nam następuje w tej całej historii Profesorka. Jako człowiek o udowodnionych predyspozycjach detektywistyczno-śledczych zaczynam drażnić temat.

A JEŻELI MOGĘ ZAPYTAĆ, TO ZA CO WYMACAŁEŚ?

JAK TO ZA CO?

NO Z PRZODU CZY Z TYŁU?

JESTEM CAŁKOWICIE NIEWINNY, A TE OSKARŻENIA SĄ FORMĄ REWANŻU ZA NIEZALICZENIE EGZAMINU, KTÓRE MAJĄ ZRUJNOWAĆ MOJĄ ŚWIETNIE ROZWIJAJĄCĄ SIĘ KARIERĘ AKADEMICKĄ. ALE TAK OGÓLNIE TO ZA DUPE. WIĘC SŁUCHAJ MŁODY, JEŻELI MOGĘ SIĘ TAK DO CIEBIE ZWRACAĆ, PROPONUJĘ NASTĘPUJĄCE ROZWIĄZANIE TEJ SYTUACJI. TACY LUDZIE JAK MY, MUSZĄ SOBIE POMAGAĆ...

W głowie sobie mówię, żeby nas tak do siebie nie porównywał, bo ja w swoim życiu nikogo za dupę nie trzymałem, nawet za czyjąś zgodą – nawet tej dziewczyny, co z nią byłem dwa razy w gimnazjum i liceum – a co dopiero przy jej braku. No ale czekam, aż padnie intratna propozycja korupcyjna, bo to było kwestią czasu.

BO WIDZISZ, JAK MOŻESZ SIĘ DOMYŚLAĆ, JA ROZPACZLIWIE POTRZEBUJĘ PIENIĘDZY NA ADWOKATÓW, BO INACZEJ ŻONA MNIE PUŚCI Z TORBAMI I BĘDĘ MUSIAŁ NA TYM PIERDOLNIKU Z TYMI DEBILAMI MIESZKAĆ DO KOŃCA ŻYCIA. NO ALE SZCZĘŚCIE SIĘ DO MNIE UŚMIECHNĘŁO I JAK KIEDYŚ TU SAM SIEDZIAŁEM, PIŁEM BROWARY I MEDYTOWAŁEM, TO NAGLE PŁYTKA SIĘ ZE ŚCIANY ODKLEIŁA I JEBŁA O ZIEMIĘ, A TAM POD NIĄ TEN SEJF. NO KURWA ZNAK OD LOSU.

No nie da się ukryć.

WIĘC WZIAŁEM TO SZYBKO ZASŁONIŁEM TYM MALUNKIEM Z BUDDO, KUPIŁEM SPRZĘTU BUDOWLANEGO I OD 2 TYGODNI PO NOCY PIŁUJĘ. MOJA PROPOZYCJA JEST TAKA, ŻE TY SIEDZISZ CICHOO, DZISIAJ W NOCY PIŁUJEMY JUŻ DO KOŃCA, BO TE ZAWIASY ZARAZ PUSZCZĄ, I OTWIERAMY. WIESZ CZŁOWIEKU, CO MOŻE W TAKIM SEJFIE ROSYJSKIEGO OLIGARCHY BYĆ? SZTABY ZŁOTA, BIŻUTERIA, DROGOCENNE OBRAZY, A MOŻE NAWET TE SŁYNNE JAJKA FABERGÉ OD RODZINY CARSKIEJ Z SANKT PETERSBURGA.

Mi się aż oczy zaświeciły, bo kiedyś widziałem program w telewizji o tych jajkach i podobno jedno jest warte 10 milionów dolarów, a co dopiero jak by cała wytłoczka ich była. W takim razie dobra, wchodzę w to. A on, że zajebicie, że w takim razie ze wszystkiego, co w środku znajdziemy, to dla mnie będzie 5%. Ja mówię, co kurwa? 50% chyba chciałeś powiedzieć. A on, że nie, że nie chciał, że on tu od 2 tygodni po nocach piłuje, a ja sobie przyszedłem już praktycznie na gotowe. Dla mnie te 5% to było, jakby ktoś mi w mordę napluł, jakbym z jajka Fabergé dostał tylko zabawkę-niespodziankę, i to też jakąś chujową. Przystępujemy więc do gorączkowych negocjacji szeptem, które trwały z 15 minut. Po tym czasie moja oferta stanęła na 45%, a jego na 8,5%. Patrząc na tę rozbieżność, stawało się jasne, że zbyt szybko się nie dogadamy. A nagle Profesorek mówi, że on w takim razie się poddaje, bo jestem dla niego zbyt twardym negocjatorem i on mi oddaje swój pilnik do piłowania sejfu i uznaje mój triumf i podzielimy się tak, jak ja zdecyduję, że będzie sprawiedliwie. No to ja mówię NO, biorę ten pilnik, a on w tym momencie zaczyna drzeć mordę na cały dom POMOCY, POMOCY, WSZYSCY DO PIWNICY SZYBKOO POMOCY, POMOCY. Ja w szoku, mówię do niego ty, na dekiel ci jebło? Przecież teraz wszyscy tu przylecą i zobaczą, że sejf chciałeś okraść w tajemnicy. A on mówi, że to ja chciałem okraść, a on mnie złapał na gorącym uczynku i ostrzegł wspólnotę, która z pewnością za ten szlachetny i uczciwy czyn przegłosuje, żeby nagrodzić go większym udziałem w łupach. Popatrzyłem po sobie i faktycznie, stoję nad ranem w piwnicy niedaleko sejfu z pilnikiem w jednej ręce, a pogrzebaczem w drugiej. Więc mu mówię, że ja jednak wcale nie chce tego jego pilnika, żeby go sobie zabrał, i mu go wciskam z powrotem do ręki. On się go oczywiście wypiera, ręce zacisnął w pięści i schował za siebie. To go zachodzę od tyłu, żeby mieć dojdzie do tych rąk, a on zaczyna uciekać po basenie, więc ja biegiem za nim, żeby mu to przymusem oddać. A tu nagle patrzę, a nad basenem już stoją wszyscy nasi współlokatorzy, w dodatku uzbrojeni w co kto miał, bo myśleli, że jest napad na squat, bo podobno zanim my się wprowadziliśmy, to już raz ich naziole zaatakowali, bo oni nie lubią takich ludzi jak my, czyli Ugandyjczyków, Szkotów, Polaków i doktorantów.

Zaraz wszyscy zeszli do basenu, uformowany został Krąg Dialogu, który jak zwykle rozpoczął Profesorek, mówiąc, że poszedł do kuchni sobie kanapkę zrobić, usłyszał hałasy z piwnicy, zszedł na basen, a tu nie dosyć, że ja rabuję ukryty sejf, o którym nikt z nas nie wiedział, to jeszcze po złości zbeczczyłem Buddę, bo nie mogłem się pogodzić, że przegrałem kiedyś demokratyczne głosowanie na jego temat. Ja opowiadam, że to wszystko jest nieprawda i było dokładnie odwrotnie, a w dodatku, czy kolektyw wie, że Profesorek jest oskarżony o zmacanie studentki po dupie i tylko dlatego tu mieszka. A jeszcze w dodatku

mówił, że nasz squat to jest PIERDOLNIK, a mieszkańcy to są DEBILE. Jedna Szwedka pyta, czy to prawda z tym macaniem, a Profesorek kłamie, że oczywista nieprawda, że ja to teraz na poczekaniu wymyśliłem, żeby zasłonić motywowane chciwością obrabowanie sejfu w tajemnicy przed kolektywem i w dodatku zrujnować jego świetnie rozwijającą się karierę aktywisty-squattera.

Słowo przeciwko słowu, zaraz doszło do głosowania, każdy głos policzony przez przemnożnik, potem podzielony przez dzielnik i, jak możecie się domyślić, wyszło tak, że 64,3% osób było za opcją przeciwko temu, żeby pozostałe 45,7% było za tym, żebym ja mógł nadal pozostawać członkiem kolektywu. Po policzeniu głosów i ogłoszeniu wyniku przez Profesorka zapadło z 30 sekund ciszy, bo każdy musiał przekminić, co to oznacza. Stomil, dobry kolega, jak w końcu zrozumiał, to położył się na środku Kręgu Dialogu jak Reytan na obrazie i powiedział, że jeżeli ja mam wypierdalać, to on też. W tej sytuacji przeprowadzono kolejne głosowanie, w którym 72,1% uprawnionych zdecydowało, że on też.

Po tych wszystkich awanturach i głosowaniach zrobiła się już prawie 7 rano, więc po prostu poszliśmy na górę spakować swoje rzeczy i elo. Na koniec właściwie wszyscy z wyjątkiem Profesorka nam mówili, że szkoda, że się musimy wyprowadzić. Nam też było szkoda, bo już trochę się z nimi zaziomowaliśmy. Na szczęście przynajmniej z Rafałem mieliśmy jeszcze widywać się w pracy na riksach. Swoją drogą kilka dni później to właśnie on powiedział nam, że jak w końcu kolektywnie i komisyjnie otworzyli sejf, to okazało się, że w środku były klapki, okulary pływackie i czepek – czego zresztą można było się spodziewać. Stanęliśmy na ulicy pod squatem, już drugi – a w przypadku Stomila nawet trzeci – raz pozbawieni dachu nad głową. Tym razem nasza sytuacja była jednak zdecydowanie mniej dramatyczna, a my bardzo dumni ze swojej zapobiegawczości w kwestii kwaterunku, objawiającej się tym, że na taką okoliczność mieliśmy przygotowane kilka zapasowych mieszkań. Najpierw zadzwoniliśmy do najfajniejszego z tych, które oglądaliśmy i które mieściło się na Camden Town. Okazało się niestety, że pokój został już wynajęty. W kolejnym mieszkaniu nikt nie odbierał, więc Stomil zaproponował, żebyśmy zadzwonili do takiego jednego, które on oglądał sam, a jak będzie wolne, to pojedziemy teraz razem, i jeżeli mi też się spodoba, to wynajmiemy. Dzwonimy, faktycznie jest wolne, właściciel mówi, że możemy przyjeżdżać nawet teraz, bo on jest tam na miejscu, bo jest dzień wolny sobota – jak się miało później okazać, w inne dni tygodnia również miał wolne.

Poszliśmy więc tam, gdzie wszystko się zaczęło, czyli na Victoria Station, skąd pojechaliśmy niebieską linią metra na stację Highbury&Islington, gdzie przesiadaliśmy się w OVERGROUND. Overground to, jak sama nazwa wskazuje, taki underground, czyli metro, tylko jeżdżące nad ziemią zamiast pod nią. Po prostu pociąg, którym dotarliśmy do stacji Hackney Central.

Nowy flat

Z Hackney Central do naszego przyszłego domu musieliśmy przejść jeszcze 10 minut z buta. To też był budynek councilowy, tylko trochę nowszy – zakładam, że z jakichś lat 80. – i dwupiętrowy, więc większy od tego, w którym mieszkał mój kuzyn Krystianek z patologiem Romanem i – hipotetycznie – angielskim małżeństwem z małym dzieckiem. Otworzył nam landlord, który przedstawił się jako John Lin. Brytyjczycy mają zamiłowanie do dumnie brzmiących słów, a LANDLORD jest jednym z nich. Gdy pierwszy raz je usłyszałem, to wyobrażałem sobie arystokratę w tweedowej marynarce, objeżdżającego konno swoje włości, na plecach dzierżąc dubeltówkę, na wypadek gdyby natrafił po drodze na stado bażantów bądź chłopskie dzieci kradnące ziemniaki z jego pola. W rzeczywistości landlord

to każdy, kto zbiera czynsz, nawet jeżeli zbiera go w domu councilowym na Hackney i jest ubrany w dresy, a w dodatku jebie od niego zielskiem na pół ulicy. Pokazał nam dostępny pokój, który był dosyć mały. Na londyńskim rynku nieruchomości dostępne są dwa typy pokoi: double room, czyli pokój dla par, oraz single room, czyli pokój dla singli. Według tłumaczenia Johna oferowany przez niego pokój to innowacyjna hybryda, czyli double single room, co objawiało się tym, że było w nim tylko jedno pojedyncze łóżko, ale na podłodze obok było wystarczająco dużo miejsca, żeby położyć dmuchany materac, który był wliczony w cenę wynajmu, tylko mieliśmy go sobie ściągnąć ze strychu. Co prawda wtedy nie dało się otworzyć szafy, ale materac zawsze można na chwilę przesunąć, czynsz wynosił tylko 140 funtów tygodniowo na dwóch, a pokój był po remoncie, podobnie jak cały dom. John Lin też wydawał się spoko, więc zdecydowaliśmy się podpisać umowę. Podczas gdy wbijał do niej nasze dane z paszportów, z gadki dowiedzieliśmy się, że jest pół-Chińczykiem, pół-Arabem i pochodzi z rodziny o bardzo długich korzeniach kupieckich, sięgających jeszcze czasów Jedwabnego Szlaku, w połowie którego jego przodkowie prawdopodobnie się spotkali. Ze względu na zakodowane w genach zdolności handlowe pracował do niedawna w City, czyli dzielnicy biznesowej, w firmie, która handlowała na ogromną skalę żywnością – ale nie tak jak na bazarze, tylko że kupujesz jakieś obligacje zboża, co leży w magazynach w Brazylii, czy ryżu, co leży w magazynach w Wietnamie, i potem czekasz, aż zdrożeją, i sprzedajesz, ale koniec końców nigdy tego jedzenia nie widzisz na oczy. No a potem przyszedł kryzys i go wyjebali, jednak z sowitą odprawą, a ulgą dla niego było też to, że w tamtej pracy dużo się stresował, bo pracodawca miał prawo robić niezapowiedziane testy na narkotyki, a John Lin bardzo lubił palić blanty. Oprócz tego był dobry w liczeniu, więc pół roku temu wykminił sobie, że wynajmie od kogoś cały dom, zamieszka w nim w jednym pokoju, a pozostałe podnajmie współlokatorom i tym sposobem nie dosyć, że będzie mieszkał za darmo, to jeszcze będzie nawet trochę do przodu. John Lin powiedział nam też, że oprócz niego jest jeszcze 3 innych współlokatorów: typki z Ghany, Tajwanu i Polski. No i spoko.

Po podpisaniu umowy John Lin poszedł do siebie, ja zacząłem dmuchać materac, a Stomil, nieobciążony tym obowiązkiem, poszedł do sklepu po browary potrzebne do ochrzczenia nowego miejsca. Nie miałem pompki, więc dmuchałem materac ustami, przez co pomiędzy nabieraniem przeze mnie kolejnych transzy powietrza połowa wdmuchana do materaca uciekała. Dlatego też wzniesienie leża zajęło mi z 20 minut, a w dodatku musiałem robić przerwy, bo mi się kręciło w głowie. Jak skończyłem pompować, to akurat Stomil wrócili z siatą polskich piw, bo była promocja, że 6 żubrów za 5 funtów, to wzięliśmy łącznie 18, na wypadek jak by była ograniczona czasowo.

Usiedliśmy w salonie sami, bo ogólnie naszych współlokatorów z jakiegoś powodu nie było w domu lub byli pochowani po pokojach, i odpaliliśmy piwo, komentując, że kanapy i fotele to całkiem wygodne, takie niby skórzane. Jeszcze nie zdążyliśmy dobrze spać, a tu nam się do pokoju wkleja jakiś typ, również z siatą browarów, i mówi SIEMANO CHŁOPAKI, SŁYSZĘ, ŻE PO POLSKU NAWIJACIE. Ewidentnie nie był to Tajwańczyk ani Ghańczyk, więc nie było innej opcji, tylko ten nasz czwarty współlokator, co też jest z Polski. To my też do niego SIEMA SIEMA, ja Malcolm, ja Stomil, ja Paweł.

Siada razem z nami, odpala żubra, bo widać też tę promocję obczaił, i zaczyna opowiadać, że kurwa, dzisiaj u niego w robocie to typ miał wypadek samochodem, a szef to coś tam, a ogólnie to tam każdy każdego u niego w tej pracy podpierał i na pensji przycinają – taka gadka szmatka. Pyta, skąd jesteśmy, my mówimy, a on, że z Dąbrowy, że już czwarty rok w UK siedzi, bo go znajomy ściągnął. Typ był w sumie w porządku, rozmowa się kleiła, z pół godziny gadamy i nawet się już zaziomowaliśmy, aż on nagle mówi
NO DOBRA CHŁOPACY, POŚMIALIM SIĘ, POŻARTOWALIM, A GDZIE DZIERLATKI?

NIE MA ŻADNYCH DZIERLATEK, JESTEŚMY TYLKO MY.

Gość się tak nieco przygasił, patrzy się po nas w milczeniu i mówi, że w tej sytuacji to on chyba nie będzie ruchał. To my pytamy kogo, a on mówi, że nas. No to my też mówimy, że wolelibyśmy nie, szczególnie że tak właściwie, to tak za dobrze to my się nie znamy.

TO CO WY TU KURWA ROBICIE?

MIESZKAMY.

JAK MIESZKACIE? W BURDELU?

Więc mu tłumaczymy, że tu jest normalne wielorodzinne i wieloetniczne gospodarstwo domowe na wynajem, a nie salon uciech. To go tak zszokowało, że wyszedł na ulicę, żeby numer domu sprawdzić, i wraca i mówi, że on przysięga, że jak tu ostatni raz był kilka miesięcy temu, to był normalnie burdel, więc co się niby stało, wyparował kurwa?

Czuliśmy, że odpowiedź na to pytanie będzie znał nasz landlord, więc komisyjnie we trzech do niego poszliśmy. Okazało się, że zarówno my, jak i Paweł z Dąbrowy mieliśmy rację – pół roku wcześniej był burdel, ale teraz już nie ma, ponieważ się wyprowadził ze względu na skargi sąsiadów. John Lin wytłumaczył nam, że gdy wynajął cały ten dom, to nawet sam o tym nie wiedział, tylko okazało się dopiero po którymś z takich spóźnionych klientów jak Paweł. Przysięgł też, że wszystkie sprzęty w domu, w tym łóżka, są nowe, co mnie akurat nie obchodziło, bo spałem na dmuchanym.

Co ciekawe, ten były burdel był polsko-pakistański, więc klienci wywodzili się głównie z tych dwóch nacji. Taki stan rzeczy spowodował na nas jeszcze trochę niedogodności, szczególnie w postaci najebanych i niedoinformowanych typów napierdalających nam o 4 w nocy w okna z krzykiem FATIMAAAAA, FATIMAAAA, LET ME IN, I LOVE YOU!!!

Tymczasem jak ten Pawełek usłyszał, że burdelu nie ma, to przysiadł na kanapie, oczy mu zaszyły łzami i głos zaczął się łamać. Stomil do niego mówi, że Pawełek, mordeczka, co jest wariacie, co się stało – bo już się zdążyli tak zakolegować przy tych żubrach. A Paweł mu tłumaczy, że nic tam, że smutno kurwa po prostu, że on co prawda ostatnio nie miał czasu, ale jak jeszcze burdel był, to zawsze można było przyjść, usiąść, pogadać. Że już nawet nie o to ruchanie chodziło, tylko było fajnie, wesoło, z dziewczynami szło pożartować, na ochronie był taki Rafał z Białegostoku, to z nim coś dało radę wypić. No taka rodzinna atmosfera, żeby się przez chwilę poczuć jak w domu. Bo tak to co? Cały dzień tylko dostawczakiem po Londynie z paczkami dla ludzi, THANK YOU powiedzą i jedzie się dalej. Czwarty rok już. A jak on jest z Dąbrowy, to od niego z rocznika z technikum to przynajmniej połowa ludzi się rozjechała po świecie: do Anglii, Irlandii, Niemiec, do Szwecji. Raz w roku ludzie zjadą do domu na święta. Matka jego, rozumiecie, poszła u siebie w domu kultury na kurs komputerowy i ją nauczylili Skype'a, to czasami do siebie dzwonią. Ale o czym mają rozmawiać, jak ona to wychodzi tylko do sklepu albo do kościoła, a on cały dzień w robocie. Zresztą jak matka dzwoni, to narzeka, że jej samej ciężko i żeby wracał z tej Anglii, bo po nocach nie śpi, bo się boi, że jak zaśnie, to już się nie obudzi i ją koty zjedzą, bo nawet nikt nie zauważy, że umarła. On się ją stara pocieszać, że hehe mama, jeszcze chwilę tu w Londynie posiedzę, elegancko się zarobię, a potem do Polski wrócę, to dom pobuduję obok ciebie, żebyś blisko miała, to i zaraz się jakaś dziewczyna znajdzie i jeszcze będziesz na moim weselu tańczyła.

Natomiast Pawełek tak tylko mówi matce, ale sam w głębi duszy wie, że to się nie stanie. Ponad połowa pensji idzie na rent, znaczy czynsz. Za to, co zostanie, trzeba i zjeść, i się ubrać, i gdzieś wyjść czasami na miasto, i ten pieniądz się zbytnio człowieka nie trzyma, no nie ukrywajmy. W pierwsze 2 lata odłożył 7 tysięcy funtów, to wszedł kurwa w interes z takim kurwa Kamiliem jebanym i tyle te pieniądze widział. Potem kolejne dwa lata to tak: 1500 funtów matce wysłał, żeby sobie kupiła nowy piec na ekogroszek, potem jeszcze 800 jej

wysłał na operację zaćmy, bo tak to by 3 lata czekała. Poza tym tutaj do was, w sensie do nas, zaczął częściej chodzić na dziewczyny, a w pracy miał stłuczkę i pracodawca mu ściągnął z wypłaty. No to koniec końców ma zaoszczędzone 4000 funtów. To co kurwa? Wróci na Dąbrowę, matce położy elewację na dom, sobie kupi samochód, jakieś ciuchy i już pieniędzy nie ma, i znowu do Anglii. A nawet jak by więcej miał, 40 000, czy i 60 000, to co? Dom by pobudował i by w nim sam siedział do końca życia? Panny wszystkie już albo mają rodziny, albo powyjeżdżane po świecie, a on się zbliża do czterdziestki, to gdzie on będzie latał po dyskotekach i szukał małolat.

I opowiadając to, rozkleił się już zupełnie i mówi, kurwa chłopaki, ja rozumiem, że burdelu już nie ma, ale bądźcie ludźmi. Mam 20 funtów, dajcie mi się za to chociaż przytulić. To my mówimy, że proste, Pawełek, mordeczka, chodź tu do nas, niech cię uściskamy, byku. Trzeba się kurwa trzymać i się nie dawać, jeszcze wyjdiesz na prostą, zobaczysz. A, jak na święta zajedziesz na Dąbrowę, to mamie się od nas ukłoń!

Paweł otarł łzy, zostawił 20 funtów na stole, zbił z nami jeszcze piątkę i poszedł, zostawiając nas w melancholijnej ciszy, którą przerwała dopiero refleksja Stomila.

DOBRY CHŁOPAK Z TEGO PAWŁA, BEZ KITU, SZKODA GOŚCIA. JAK BY DRUGIE 20 FUNTÓW DOŁOŻYŁ, TO CHYBA BYM GO WZIAŁ NA GÓRĘ DO POKOJU.

Współlokatorzy

Jeszcze tego samego wieczora, kończąc kupione na promocji żubry, poznaliśmy naszych pozostałych współlokatorów.

Po Johnie Linie był Kuba z Polski, który miał 30 lat i pracował co drugi dzień w fast foodzie, co się nazywa Subway. Tylko co drugi dzień dlatego, że nie brał więcej godzin, bo nie potrzebował więcej pieniędzy, gdyż nic nie oszczędzał ani przesadnie nie wydawał, tylko przez cały pozostały czas siedział w pokoju i oglądał filmy albo czatował w internetach. Można było go spotkać 3 razy dziennie, jak schodził do kuchni po jedzenie, które zabierał do pokoju. Ewentualnie pod kiblem. Nie wiem, jaki był cel jego egzystencji, ale nikomu nie przeszkadzał, więc nikt też nie przeszkadzał jemu.

Następny był Mike z Tajwanu, który wcale nie nazywał się Mike, tylko jakoś inaczej, ale dla uproszczenia mówiło się Mike. Miał tak z 18 lat i podobnie jak Kuba z Polski przez 95% czasu siedział w pokoju, a wychodził z domu tylko po zakupy i kilka razy w tygodniu do jakiejś szkoły językowej, bo właśnie nauka języka była głównym celem jego pobytu w UK, na który zesłali go jego starzy Tajwańczycy. Ciekawe było to, że zawsze nosił taki sam T-shirt, tylko w różnych kolorach. Jeszcze ciekawsze, że na T-shircie było napisane STOP BULLYING, czyli STOP GNĘBIENIU (w domyśle takiemu gnębieniu w szkole). Tak więc jednego dnia miał czerwoną koszulkę z żółtym bullyingiem, drugiego zieloną koszulkę z żółtym itd. Wnioskowałem, że albo musiał być w opór gnębiony w szkole, że aż tyle koszulek antygnębiennych mu przydzielono, albo brał udział w jakiejś kampanii społecznej i im na koniec takie koszulki zostały i sobie wziął, ile dało radę. Patrząc na jego postać jako na całość, skłaniałem się raczej ku temu, że nie był nigdy organizatorem kampanii społecznych. Natomiast jako osoba, która sama była w szkole gnębiona, to nigdy bym takiej koszulki nie założył, bo w moim przekonaniu może ona mieć efekt odwrotny od zamierzonego i posłużyć gnębicielem do łatwiej identyfikacji tych, których można gnębić. Nie wiem, jak w tej szkole językowej, ale u nas w domu żadnych łobuzów nie było, więc zgodnie z postulatami T-shirtu Mike siedział sobie niegnębiony u siebie w pokoju i głównie grał na kompie.

Naszym ostatnim współlokatorem był już Steven z Ghany, którego historia (poznana przez nas na przestrzeni kilku tygodni) jest dosyć smutna, a składała się na nią miłość, namiętność, grzech oraz – jak w przypadku nas wszystkich – emigracja.

Steven miał 21 lat i mieszkał w Ghanie w niedużym mieście, którego nazwy nie jestem w stanie powtórzyć, bo o ile on to mówił, to jednak z takim nietypowym akcentem, że trudno było go zrozumieć. Grał w tym mieście w jakimś lokalnym klubie piłkarskim i jego największym marzeniem było, żeby zostać zawodowym piłkarzem gdzieś w Europie i poznać Zinedine Zidane'a. Właściwie było to jego drugie największe marzenie, bo pierwszym było, żeby pójść kiedyś do nieba, bo był zajebiście religijny. Na jego cały dobytek w UK składały się: Biblia, gazeta „The Sun” sprzed 2 miesięcy, jedna koszulka i spodenki „normalne”, takie po domu, jedna koszulka i spodenki odświętne, piłkarskie, z napisem „10 ZIDANE”, laczki „po domu” oraz naprawdę zajebiste korki piłkarskie Nike, takie ocojebnie srebrne. Nie miał natomiast piłki do nogi, co było jedną z głównych przyczyn jego nieszczęścia.

Steven oglądał kiedyś w Ghanie jakiś ważny mecz z ziomkami w telewizji, ale nagle była przerwa w dostawie prądu, co się podobno często tam zdarza, więc telewizor im przestał działać. Wybitnie ciekawi dalszego przebiegu rozgrywki polecili do najdroższego hotelu w okolicy, gdzie mieszkali sami turyści z zagranicy, bo tam był agregat paliwowy i prąd był zawsze, a w barze puszczały mecze, bo, jak wiadomo, Europejczycy też lubią sobie pooglądać. Stanęli sobie w kącie sali, żeby nikomu nie przeszkadzać, i oglądali, bo nie było ich stać, żeby sobie zamówić po browarze i normalnie usiąść przy stoliku, bo to w przeliczeniu tak jakby u nas w Polsce piwo kosztowało 150 złotych.

W tym barze wyczaiła go Brytyjka Katy, która była tam na wakacjach z koleżankami. Muszę przyznać, że nic dziwnego, że go wyczaiła, bo typ był wysoki, przystojny i zajebiście wysportowany – sześciopak itd.; jak czasami chodził po naszym domu bez koszulki, to sobie myślałem, że jakbym tak wyglądał, to moje życie zupełnie inaczej by się potoczyło. Katy zaprosiła go do stolika, postawiła mu kilka drinów, a Steven się cieszył, bo nie dosyć, że się napił za równowartość swojej miesięcznej wypłaty, to jeszcze nie musi stać w kącie, żeby ten mecz zobaczyć. Katy natomiast cieszyła się, że siedzi z nią taki typ, bo o ile nie wiem, jakie są standardy w Ghanie, to według standardów polsko-brytyjskich ona w kwestii aparycji miała szansę na tymczasowy awans do trzeciej ligi, jak położyła mocny makijaż, podczas gdy Steven grał w ekstraklasie.

Potem wzięła go do pokoju na ruchanie, które przekształciło się w tygodniowy romans, w czasie którego Steven w ciągu dnia oglądał sobie mecze w eleganckim barze hotelowym o niemal nieograniczonych zasobach energii elektrycznej, a wieczorem pukał Katy i wszyscy byli szczęśliwi. Katy to w ogóle była tak szczęśliwa, że po tym tygodniu stwierdziła, że ona Stevena zabiera do Londynu, żeby ją tam pyrał dalej, bo nie będzie przecież co tydzień do niego dojeżdżać do Ghany. Steven oczywiście też się zająrał, bo znacznie przybliżało go to geograficznie do poznania Zidane'a i zostania tutaj piłkarzem.

Pierwszym problemem po przyjeździe do UK było, że przeprowadzka z małej miejscowości w Ghanie do metropolii, jaką jest Londyn, była takim szokiem kulturowym, że Steven się bał sam wychodzić z domu – szczególnie że okazało się, że angielski w jego części Ghany jest tak różny od angielskiego w Londynie, że prawie z nikim nie mógł się dogadać. To samo zjawisko widywałem zresztą u naszych Zbyszków, którzy poza siedzeniem w domu z 10 Polakami i chodzeniem do zakładu, gdzie też byli sami Polacy, to tylko zapierdalali do polskiego sklepu, i to też było widać, że po drodze na ulicy się nie czuli zbyt pewnie – chyba że to już był któryś kurs po browary danego dnia. Steven miał w porównaniu do Zbyszków jeszcze o tyle gorzej, że Katy mu ogarnęła tylko wizę turystyczną, więc nawet nie mógł podjąć legalnej pracy. Siedział więc całymi dniami u Katy w mieszkaniu i czekał, aż ona wróci z pracy, żeby mógł spełnić swój konkubencki obowiązek.

Sytuacja ta trwała kilka miesięcy, aż w Stevenie, który, jak wspominałem, był gorliwie wierzący, zaczęło narastać poczucie, że on już nie chce żyć w grzechu i powinien zalegalizować swój związek z Katy przed Bogiem i ludźmi. Kulminacyjnym momentem było, jak w któryś weekend Katy poszła z koleżankami na driny, a jak wróciła po spożyciu do domu, to zażądała od Stevena, żeby z nią współżył. On odparł, że już nie zamierza cudzołożyć i się jej oświadcza, i będą się pyrali ile wlezie, ale dopiero po ślubie. Katy go wyśmiała, bo ślub w jej przekonaniu to ona może brać z jakimś typem po Oxfordzie albo Cambridge, a takiemu Stevenowi to ona może się co najwyżej nadziać i to też w zaciszu domowym, bo na wyjście ze znajomymi do restauracji to ona go nie weźmie, bo wstyd w towarzystwie. Steven twardo obstawał przy ślubie, więc Katy – szczególnie że była wypita – wypierdoliła go z mieszkania prosto na ulicę.

W efekcie chłopak tułał się z 3 dni po londyńskich parkach, aż go spotkały jakieś typy z pomocy społecznej, sprawdziły mu paszport i ustaliły, że wypełniając jego wniosek wizowy, Katy formalnie zadeklarowała, że on będzie mieszkał u niej, po czym go do niej odwieźli i ją opierdolił, że jak będzie robiła takie rzeczy, to ją oskarżą o przekręty imigracyjne. Dla Stevena te 3 dni były taką traumą, że potem jeszcze bardziej zamknął się w sobie, w sensie w domu, i już w ogóle na ulicę nie wychodził.

Po tych zajściach atmosfera w mieszkaniu była napięta, więc Katy wynajęła Stevenowi pokój w naszym biedadomku, żeby przypadkiem go jacyś jej znajomi nie zobaczyli, jak do niej wpadną na humus i prosecco, bo, jak wspominałem, wstydziła się, że Steven nie jest w stanie z nimi pogadać o najnowszych sztukach, co wystawiają na Shaftesbury Avenue. Przychodziła do nas tylko raz w tygodniu i przynosiła mu trochę jedzenia, ale też tak nie za dużo, że pod koniec tygodnia to chłopak żarł suchy chleb tostowy, ewentualnie to, czym my go poczęstowaliśmy. Wizyta Katy zawsze kończyła się grubą inbą, bo domagała się od Stevena seksu, on mówił, że po ślubie, ona zaczynała się drzeć, że przed ślubem, a on wtedy się zaczynał modlić na cały głos, żeby odpędzić od siebie grzech i kusicielkę. Katy się wtedy darła, że jest pojebany i żeby się do zakonu zapisał, i wychodziła, trzaskając drzwiami, i był spokój na kolejny tydzień.

W tym czasie Steven cały czas marzył o karierze piłkarskiej, ale nie miał piłki, żeby ćwiczyć, a przez wcześniejsze traumy bał się pójść do najbliższego parku na boisko i zapytać tam chłopaków, czy się może przyłączyć. Ogólnie Steven prawie nie pił, ale kilka razy, jak się przy nas załapał na jakiegoś żubrzyka, to potem się zamykał w swoim pokoju, który miał okno na ogródek, przez które widzieliśmy, jak wychodziliśmy na szluga, jak przebierał się w swój odświętny strój Zidane'a. Skakał wtedy po pokoju, kiwając się „na sucho” z jakimś wyimaginowanym przeciwnikiem i udając przy tym jakiegoś komentatora sportowego, komentującego, jak oto Steven ZIDANE z Ghany, po przejściu 3 obrońców, strzela decydującego gola w finale mistrzostw świata.

HACKNEY

Jak może zauważyliście, nasi współlokatorzy byli raczej typami domatorów i tylko ja i Stomil codziennie (lub prawie codziennie) wychodziliśmy na zewnątrz do roboty. John Lin jarał niesamowite ilości skuna i czytał książki, Kuba co drugi dzień szedł na 6 godzin do Subwaya, Mike grał na kompie, a Steven czyścił swoje oczkojebne korki najka.

Po pierwszych kilku dniach mieszkania na Hackney zaczęliśmy podejrzewać, że być może jest to celowo obrana strategia przetrwania, bo jak się okazało, u nas na dzielnicy strach było kurwa wyjść z domu – przynajmniej na początku. Żeby posłużyć się przykładem, to z 2 lata przed naszym zamieszkaniem na Hackney brytyjska telewizja wyprodukowała program SECRET MILLIONAIRE, który polegał na tym, że różnych milionerów w przebraniach pracowników pomocy społecznej czy jakichś fundacji wysyłało się do najgorszych kurwa

dzielnic w całej Wielkiej Brytanii, gdzie mieli poznać problemy trapiące lokalną społeczność, zaprzysiąc się z nią, a następnie za pomocą swojego milionerstwa odmienić jej los. Symboliczne jest, że jako lokację pierwszego odcinka pierwszego sezonu, a tym samym najchujowszą dzielnię w całym Zjednoczonym Królestwie, wybrano właśnie Hackney. Znać pewnie to przykre uczucie, że odkąd Polska jest w UE, to stawia się wobec nas takie wymagania jak wobec świata Zachodu, czyli porównuje z państwami typu kurwa Niemcy, Francja czy Dania i tym samym jesteśmy zawsze najbiedniejsi. Wcześniej byliśmy sobie po prostu krajem postkomunistycznym, więc mogliśmy się porównywać do Albanii, Białorusi, Armenii czy Kazachstanu i wtedy było fajnie. Co prawda takie porównania nie motywują do pięcia się w górę, bo byliśmy już na samej górze i wyżej się nie dało, ale jednak zapewniają dobre samopoczucie. Potem sytuacja się odwróciła i prawie wszystkie rankingi, w których byliśmy wysoko, to były te mało pozytywne.

NAJWYŻSZE ZANIECZYSZCZENIE POWIETRZA:

1. POLSKA, 2. BUŁGARIA, 3. RUMUNIA

NAJNIŻSZE ZASIŁKI DLA BEZROBOTNYCH:

1. LITWA, 2. POLSKA, 3. ŁOTWA

NAJDŁUŻSZE KOLEJKI DO LEKARZA:

1. RUMUNIA, 2. SŁOWACJA, 3. POLSKA

Pozostają jeszcze rankingi, w których dla jednych im lepiej, tym gorzej, a dla drugich im lepiej, tym lepiej. Przykładem z czasów obecnych, o których wówczas nikomu się jeszcze nie śniło, jest choćby ranking, ilu uchodźców przyjęła Polska w stosunku do liczby mieszkańców, gdzie zajmujemy miejsce pierwsze lub ostatnie, zależnie, jak się kto na tę kwestię zapatruje, ale do tego problemu jeszcze za chwilę wrócimy.

Mówię o tym wszystkim tylko dlatego, że z Hackney było bardzo podobnie jak z Polską, tylko w Londynie, i tak oto w różnych klasyfikacjach dzielnic publikowanych w gazetach Hackney wypadało następująco:

DZIELNICE, GDZIE NAJŁATWIEJ DOSTAĆ PLOMBĘ:

1. CROYDON, 2. HACKNEY, 3. HAMMERSMITH

DZIELNICE, GDZIE NAJŁATWIEJ DOSTAĆ KOŚC:

1. HACKNEY, 2. LAMBETH, 3. CROYDON

DZIELNICE, GDZIE NAJŁATWIEJ ZOSTAĆ OBRABOWANYM:

1. NEWHAM, 2. EALING, 3. HACKNEY

Jak potem w 2011 były zamieszki w Londynie, to zaczęło się na Tottenham, następnego dnia już były inby na Brixton, a kolejnego już na Hackney – niby ex aequo z kilkoma innymi rewirami, ale nadal na podium. Gdybym wtedy znał te dane, to pewnie tego pierwszego dnia, jak koło 1 w nocy skończyło się kupione przez Stomila 18 żubrów, nie zgłosiłbym się na ochotnika, że pójdę po więcej. Bo i John Lin wypił z 4, Steven 2, a nawet Mike z Tajwanu i ten Kuba z Polski dziabnęli po jednym. Stomil mi wytłumaczył, w którą stronę jest sklep, i polazłem.

Przeszedłem może z 200 metrów, zgodnie z instrukcją najpierw w trzecią ulicę w prawo, potem w drugą w lewo, wychodzę zza winkla i ledwo wyhamowałem, żeby nie wlecieć w ekipę 10 typa, którzy tuż za tym winklem przebywali, skuteczniejąc STANIE KOŁO SAMOCHODÓW, czyli – jak wynika z moich późniejszych obserwacji – jeden z najpopularniejszych sposobów spędzania wolnego czasu na Hackney.

Wydygałem się, bo w naszym kraju jak o 1 w nocy na nieznanej dzielnicy wpadniesz na 10 typów, to zazwyczaj jest marnie. W dodatku ci, których akurat wtedy spotkałem, byli wszyscy czarni, a ja pochodzę z kraju homogenicznego rasowo, etnicznie i religijnie (od jakiegoś czasu), więc nie wiedziałem, czego się spodziewać. Jak by u nas w Polsce wszystkie czarne

typki zebrały się w nocy na jednym skrzyżowaniu, to pewnie jeszcze z czterech by brakowało, żeby ich było razem dziesięciu. Dlatego też moje wyobrażenia na temat tego, co za chwilę się wydarzy, ukształtowane były po pierwsze doświadczeniami spotykania takich ekip, tylko w Polsce, a po drugie grą w GTA San Andreas, która była moim jedynym oknem na czarną kulturę. Oczywiście w UK już spotkałem trochę ludzi innych ras i wyznań, ale prawie samych turystów z rikszy, bo na naszej poprzedniej, bananowej dzielnicy wszyscy nasi sąsiedzi albo mieszkali w jakichś rajach podatkowych, albo siedzieli w więzieniach, albo patrzyli z okien i się wkurwiali, że żyjemy, a ze współlokatorami jakoś nigdy nie mieliśmy czasu się lepiej zintegrować przez pracę i te ciągle zebrania, z których człowiek wychodził głupszy, niż wchodził.

No ale dobra, stoję przed tymi 10 typami, błądy strach mnie obleciał (co jeszcze podkreślało różnice rasowe) i myślę, czy zrobić w tył zwrot i spierdalać. Niestety dosłownie wszyscy z nich byli w posiadaniu jakichś środków transportu – poczynając od tego samochodu, koło którego stali, a kończąc na hulajnodze – więc by mnie dogonili. Na tym właśnie polegało całe zjawisko STANIA KOŁO SAMOCHODÓW, że kilku typków podjeżdżało gdzieś samochodem, zazwyczaj golfem albo civikiem, po tak zwanym tuningu wizualnym, a ich mniej zamożne ziomki przyjeżdżały, czym kto miał: skuterami, rowerami, hulajnogami, a jak ktoś już nawet hulajnogi nie miał, to brał z koleżką wózek spod Tesco za funta i jeden drugiego w nim pchał. Potem te wózki leżały pozostawione po ulicach, bo typów było przecież stać na nowy. Jak już się tak wszyscy zebrali, to z fury puszczało się muzykę, ci od skuterków próbowali palić gumę, ci od rowerów jeździć na tylnym kole, a ci od wózków na zakupy sobie w nich siedzieli i tak oto życie płynęło na rejonie.

W każdym razie wtedy w nocy doszedłem do wniosku, że spierdolić nie dam rady, a oni wszyscy stoją i się na mnie lapią. Jak już niegdyś wspominałem, jestem nieśmiały społecznie, więc już nawet bardziej od strachu zacząłem odczuwać zażenowanie z powodu wywołania przeze mnie tak niezręcznej ciszy. I w końcu mówię I AM SORRY, I AM FROM POLAND, bo nic lepszego nie wymyśliłem, a oni wydali z siebie tylko pomruk zrozumienia i rozstąpili się na dwie strony chodnika, tworząc dla mnie przejście jak przez biblijne Morze Czarne.

Jak wracałem z 12 promocyjnymi żubrami, to nawet przez chwilę myślałem, żeby może iść inną drogą, ale w końcu doszedłem do wniosku, że tam mógłbym z kolei wpaść na inną ekipę i musiałbym wszystko tłumaczyć od początku.

To zdarzenie było znamienne dla całej sytuacji na Hackney. Owszem, co drugi dzień w gazetach na pierwszej stronie pisali, że jakiś typek dostał u nas na dzielnicy nożem, ale z moich obserwacji wynikało, że rzadko dostawał za darmo. Nie znam oczywiście każdego, kto dostał, ale z tego, co widziałem, ciężko było tu jednak dostać wpierdol za nic. Natomiast jako mieszkańca Europy Środkowo-Wschodniej najbardziej zaskakiwał mnie brak tradycji przypierdalania się do ludzi ZA PATRZENIE SIĘ. Pójdiesz w Polsce do sklepu nocnego, pod nim stoi trzech chamów najebanych i zaraz wyłapiesz w cymbał za sam fakt, że koło nich przechodziłeś. Na Hackney te kosy to sprzedawali za aktywną przynależność do zwaśnionej ekipy albo jakieś porachunki narkotykowe, bo, jak wspominałem, narkotyków było od chuja. Nie spotkałem się natomiast nigdy z akcją, żeby coś się stało jakiejś zupełnie przypadkowej osobie, co sobie szła ulicą. Nigdy też nie spotkałem się z opcją, żeby ktoś się do mnie przypierdolił, że jestem biały, jak mijalem 10 czy później to i 15 czarnych typów, więc to też z ich strony miło. Zresztą to samo muszę powiedzieć o ekipach białych typów, w tym tych z Polski. Nierzadko zdarzało się, że pod sklepem czy gdzieś przy ławeczce stało kilku rodaków, których rodactwo dało się rozpoznać po przywiezionej z Polski odzieży tak zwanych marek sportowo-ulicznych, które występują tylko w Polsce – bo, co ciekawe,

odzieży patriotycznej jeszcze w tamtych czasach zbytnio nie było, chyba że taka prawdziwa: w muzeach. No i stało na przykład trzech takich chamów, po których ryjach było widać, że jak by to był sklep w Polsce na osiedlu, to na 100% by się do mnie przypierdolili, a jak byliśmy w UK, to się z jakiegoś powodu nie przypierdalali. Najprostsze wytłumaczenie tego faktu to to, że w UK tradycyjnie mieszkają gentlemani i nawet jak największy SIWY z osiedla KALIFORNIA – bo tak zazwyczaj nieformalnie nazywają się najbardziej patologiczne osiedla i najwięksi patologowie na nich mieszkający – przekroczy granicę Wielkiej Brytanii, to na niego to gentlemanstwo jakoś dziejowo sływa. Natomiast moja prywatna teoria jest taka, że to przez brak zakazu picia browarów na ulicy i mniejsze ściganie za palenie skuna. Jak u nas taki patolog stoi pod sklepem i wali piwa pół dnia, a w dodatku ma jeszcze gram jarania w kieszeni, to cały czas jest zestresowany, że policja podjedzie i będzie miał za piwerko czy za palonko kłopoty. Musi ciągle obcinać, rozkminiać i tym podobne, co pewnie jest obciążające, i w końcu po całym dniu stania jego psychika już nie wyrabia i musi komuś zapierdolić. W UK tymczasem w parkach można pić zupełnie na legalu, na ulicy, jeżeli nie robisz bydlą, to w najgorszym wypadku ci każą wyrzucić do śmieci, a za samo jaranie blantów jest mandat, a nie kryminał.

Wracając jednak do kwestii rasowych, to obecnie w całej Europie trwa gorąca dyskusja na temat tego, czy tak zwana polityka multikulturowości, w skrócie MULTIKULTI, odniosła sukces, czy też poniosła porażkę. W tym kontekście i na podstawie moich doświadczeń na tej dzielnicy uważam, że sukces. Aczkolwiek muszę zaznaczyć, że moje oczekiwania wobec tej polityki ograniczały się do tego, żeby nie dostać kosa na ulicy, więc jak ktoś ma jakieś wyższe aspiracje, to musi rozsądzić we własnym sercu.

Skoro przy tej kwestii jesteśmy, to warto powiedzieć trochę o strukturze etniczno-rasowej Hackney, więc cytując dane ze spisu ludności:

Biali Brytyjczycy – 36%

Inni biali, czyli Polacy, Rumuni, Irlandczycy etc. – 18%

Azjaci, co w UK znaczy od Bliskiego Wschodu po Chiny – 10%

Czarni – 23%, z czego 11% o korzeniach afrykańskich, 8% karaibskich, a pozostali innych.

No a reszta to już nie takie ważne. Ważne natomiast, żeby pamiętać, że żadna dzielnica nie jest idealnie wymieszana pod względem społeczno-ekonomicznym. Tak też Hackney składało się z następujących części:

Stamford Hill i Stoke Newington – część dla klasy średniej, dlatego raczej tam nie bywałem, hehe

Upper Clapton – według niektórych największa patologia, według mnie taka sama jak poniżej

Lower Clapton/Hackney Central/Homerton/Hackney Marshes – w sumie jedno i to samo, tu mieszkaliśmy my, patologia mocna

Shoreditch – część dla bananowców z kawiarniami z kawą po 8 funtów i tym podobnymi. W dodatku graniczyła z City, czyli dzielnicą bankową, więc namnożyło się tam młodych i dynamicznych start-upów IT, co w ciągu kilku lat zajeździło ceny nieruchomości i czynszu, co po angielsku się nazywa GENTRIFICATION. Przez Shoreditch prowadziła moja trasa z domu do bazy riksowej.

Ci, co mieszkali na Shoreditch, to nigdy nie mówili, że mieszkają na Hackney, tylko że konkretnie na Shoreditch. To tak, jakby typ z Krakowa zapytał typa z Warszawy, skąd jest, a ten odpowiedział, nie że z Warszawy, tylko z Żoliborza, żeby było ekskluzywniej. Ci z Shoreditch nie chcieli się przyznawać, skąd są, bo w świadomości publicznej Hackney kojarzyło się tylko z ciężką patologią.

Gdy byłem w UK, to było lato, w mediach znane jako sezon ogórkowy – chociaż nie wiem nawet, czy w UK rosną ogórki. Na pewno rośnie kapusta, ale do tego jeszcze dojdziemy. Ze względu na ten sezon ogórkowy media ogłosiły wtedy stan wojenny, roboczo nazwany LONDON KNIFE CRISIS, i codziennie w połowie gazet na pierwszej stronie były stałe rubryki opisujące, jakie to dantejskie sceny mają miejsce w Londynie, i w tych opowieściach zazwyczaj w którymś miejscu przewijała się nazwa HACKNEY. Politycy i policja oczywiście codziennie udzielali wywiadów, jakiej to polityki ZERO TOLERANCJI nie będą u nas w związku z tym wprowadzać, chociaż statystycznie rzecz biorąc, to poza Londynem też sporo się działo i niejedno można by napisać. Jednak w medialnym ekosystemie prawa natury są takie, że jak John się potnie nożami ze szwagrem Jamesem, bo po 1,5 litra łyśki się pokłócili, czy lepszy jest Manchester, czy Liverpool, to nie jest to aż tak medialnie nośne, jak nożami o 5 gram koksu potną się Mbulu z Jamajki i Gediminas z Litwy, bo to zaraz jest i temat mniejszości, i narkotyków, i gettoizacji, i trudna młodzież, czyli rzeczy stosunkowo nowe. No a Johnowie z Jamesami cięli się nożami o piłkę nożną już od dawna, więc w prasie się to trochę oklepało.

Czy wiecie na przykład, że każdego roku w UK 80 000 osób pada ofiarą, z czego 5000 zostaje trwale i drastycznie okaleczonych, wyłapania w pubie szklanką na ryj? Zjawisko to jest tak rozpowszechnione, że posiada nawet swoją nazwę GLASSING. Polega konkretnie na tym, że 2 osoby się kłócą przy barze, pijąc piwo, i nagle jedna drugiej wypierdala w twarz kuflem, który trzyma w ręce. Kufel pęka na kawałki, które wbijają się i w ofiarę, i w oprawcę, natomiast ten drugi ma oczywiście lepiej, bo w najgorszym wypadku ma przecięte jakieś ścięgna w palcu, podczas gdy ofiara traci często wzrok i ma hardkorowe blizny na całej twarzy do końca życia – i nie mam tu na myśli znamienitego przedstawiciela diaspory polskiej w UK Popka.

Odpowiadając sobie samemu na pytanie, to nie wiedzieliście o tym, bo o takich rzeczach się nie mówi, więc ludzie muszą się ich dowiadywać z moralnie wątpliwych publikacji, takich jak ta.

Skoro już powiedziałem co nieco o przemocy u nas na dzielnicy, to wypada powiedzieć jeszcze dwa słowa o narkotykach, bo były również dosyć ważne.

Jak wspominałem, w porównaniu do Europy (Środkowo) Wschodniej na ulicy na Hackney było relatywnie trudno wyłapać wpierdola za niewinność. W porównaniu do naszego regionu było za to bardzo łatwo kupić narkotyki. U mnie w mieście rodzinnym tylko raz była opcja, że jak szedłem z chłopakami przez park, to podszedł do nas jakiś typ i zapytał, czy nie chcemy kupić trochę TRAWKI, co było dziwne. Po pierwsze dlatego, że go nie znaliśmy, a u nas wszyscy się znali, po drugie, że powiedział TRAWKI. Trawkę to się paliło na klawych prywatkach w Czechosłowacji, a u nas się normalnie jarało skuna. Olaliśmy tego typu i poszliśmy dalej, a kilka sekund później przyleciał patrol bagiet, które musiał wydzwonić jakiś wcześniejszy spacerowicz, wbrew swojej woli nagabywany na trawkę. Z tego była potem wielka afera, bo ten typ od trawki okazał się policjantem z miejscowości obok, który bardzo potrzebował kilku dodatkowych punktów w statystykach, więc przyjechał do nas z nadzieją, że jakiś dzieciak mu odpowie, że już trawkę ma, on mu wtedy wyciągnie odznakę i go wywiezie do siebie na rejon, bo u nas przecież by go na komisariat nie mógł zaprowadzić. Zanim to wszystko zdążył wytłumaczyć, to nasi policjanci zdążyli mu już tam na miejscu w parku wpierdolić, żeby się przyznał, gdzie schował albo wyrzucił, bo w kieszeniach nic nie miał, a u nas policja tak się właśnie obchodziła z entuzjastami marihuany. On ich potem chciał pozwać za pobicie policjanta, ale koniec końców ich komendanci się jakoś pomiędzy sobą dogadali, tak jak burmistrzowie o kamień, bo nie mogło być przecież tak, żeby pierwszy

zarejestrowany w Polsce przypadek pobicia policjanta przez policjantów miał miejsce u nas w powiecie.

Tak więc na Hackney było zupełnie odwrotnie niż u nas w Europie Środkowo -Wschodniej, bo skuna co chwila ktoś sprzedawał na ulicy, co można uznać zarówno za sukces, jak i porażkę polityki multikulturowości, zależnie od swoich przekonań względem skuna – podobnie zresztą jak z uchodźcami. Jeżeli chodziło o jaranie, to rzeczywiście nim najczęściej handlowali czarni. Polacy sprzedawali fetę i piguły, a tak zwani biali Brytyjczycy tak zwane MOLLY, czyli MDMA, czyli piguły, tylko w kryształach, oraz koks. Chociaż koksem handlowali też czarni. Rumunii i inni przybysze z naszej części świata (co ciekawe z wyjątkiem samych Polaków) sprzedawali natomiast różne leki na receptę. Tylko bez recepty, bo jak ktoś chciał z receptą, to mógł sobie pójść normalnie kurwa do apteki. Po dzielnicy krążyły nawet legendy o CYGAŃSKIEJ VIAGRZE, dającej podobno nadludzkie moce, ale ja bałbym się jej spróbować, nawet pomimo zaistniałego u mnie w trakcie podróży autostopem do UK znacznego wzrostu sympatii i zaufania do Cyganów.

Muszę natomiast zaznaczyć, że to handlowanie narkotykami, w żargonie zwane HUSTLOWANIEM, wcale nie jest takim świetnym biznesem, jak pokazują w filmach, gdzie każdy diler mieszka w willi na słonecznej Florydzie i tylko raz na jakiś czas jedzie nocą na spotkanie w jakimś porcie, przy kontenerach wypełnionych kokainą. Po pierwsze, jak trafnie zauważył autor piosenki EVERY DAY I'M HUSTLIN', hustlować trzeba codziennie – świątek, piątek czy niedziela. W dodatku hustluje się cały boży dzień, od rana do późnej nocy. Jak jesteś takim hustlerem, to stoisz gdzieś przy skwerku, deszcz zacina, przychodzi jakiś seba i mówi, że chce zielska za 20 funtów. Dajesz mu, a on ci za to daje 17 funtów. To mówisz, no kurwa jeszcze 3 funty, a on ci mówi, że morda mordeczka najdroższa, jak by tylko miał, to by dał, ale niestety nie ma. Ty mówisz, że nie ma takiej opcji, a on mówi, że za dwa dni będzie miał, to przyjdzie i da, przecież cię nie robi w wała na 3 funty. Że przecież nie od dziś się znacie. No to ty mu mówisz, dobra, ale spierdalaj już, bo przypał robisz. Bo rzeczywiście robi, bo przecież w każdym momencie może przyjechać policja, bo o ile za samo posiadanie odrobiny hehehuany nie ma w UK takiego przypału jak u nas, to za handel przypał jest już normalnie. Oczywiście na takim skwerku nie ma też żadnego zaplecza socjalno-sanitarnego, więc jak na przykład chce się za potrzebą, to trzeba szybko lecieć w jakieś krzaki i ze stresem patrzeć, czy inny hustler ci w tym czasie nie zajął miejsca, albo prosić jakiegoś przechodnia, żeby ci trzymał miejscówkę. Trzecią opcją byłoby chyba, żeby mieć pieluchomajtki, ale jak by inni hustlerzy się o tym dowiedzieli, to bardzo prawdopodobne, że miałbyś ciśnięte na dzielnicy.

Ja nie miałem większych doświadczeń z narkotykami, poza tym, że w liceum czasami paliłem blanty, jak ktoś poczęstował. W czasie mieszkania na Hackney zdarzało mi się trochę częściej, z uwagi na Johna Lina, który palił ilości niesamowite i ciągle namawiał wszystkich współlokatorów. U mnie w szkole w Polsce to największy jaracz palił około grama dziennie. Dla porównania John jarał kurwa ponad 50 gramów tygodniowo, czyli ponad 7 na dobę. Raz w tygodniu przychodził do nas taki niby hehe koleżka Carlos, który rzekomo był z Wenezueli, i przynosił 2 uncje, czyli niecałe 60 gramów, a John mu za to płacił koło 400 funtów. John kilkoma gietami zawsze częstował za darmo różnych znajomych, ale według moich obliczeń pięćdziesiątkę sam przepalał tydzień w tydzień. Jak rano schodziło się do kuchni na śniadanie, to on już do kawy palił blanta z grama. Co więcej, to palenie było znacznie mocniejsze niż w Polsce, więc gdybym ja spalił takiego grama na raz, to by mnie pewnie odwozilo pogotowie jako pierwszą w historii ofiarę przedawkowania marihuany, a on po tym normalnie szedł sobie biegać.

Skoro już mówimy o przemocy i narkotykach, to warto na koniec jeszcze powiedzieć o normalnych ludziach, bo stanowili jednak większość mieszkańców naszej dzielnicy, więc nie chciałbym uczynić im przykrości, pisząc, że żyła tam sama patologia. Większość z tych ludzi co rano wstawała i zapierdalała gdzieś do ciężkiej, nisko płatnej pracy. Nie będę tego jednak opisywał, bo jak ktoś chce zobaczyć, jak coś takiego wygląda, to nie musi czytać książek, tylko może wyjść z domu, pójść do takiej pracy samemu i jeszcze mu za to – niewiele, ale jednak – zapłacić. Podobnie było ze mną i Stomilem, cisnęliśmy na riksach, ile wlezie, i zarobek jak na nasze polskie standardy był całkiem przyzwoity. Natomiast koszty życia w Londynie były nieprzyzwoite, nawet gdy mieszkano się w double single room, który niby był stosunkowo tani, ale jednak droższy od squatu. Kilkaset funtów, przyszczędzone przez nas, gdy mieszkaliśmy na squacie, zaczęło topnieć, a my w miarę tych roztopów powoli rozglądaliśmy się za lepiej płatną pracą. Niestety ofert takowej, skierowanych dla nisko wykwalifikowanych pracowników fizycznych z Europy (Środkowo) Wschodniej, nie było zbyt wiele, więc powoli zaczęła dojrzewać w nas myśl, żeby może zamiast lepiej płatnej pracy zacząć szukać gorzej płatnego miejsca do życia.

No-go go-go

Pewnego dnia stałem z riksą w okolicach St. Paul's Cathedral i żarłem hamburgera, kiedy podbił do mnie schludnie ubrany Anglik w średnim wieku i zapytał, czy mam ognia. Jak miałem, to odpalił szluga, stanął sobie obok i zaczął zagadywać o pracę – że chyba ciężko musi być jechać, jak więcej klientów wsiądzie, czy deszcz przeszkadza, czy się da zarobić itp. Sądziłem, że może to jakiś kolejny wyrzucony z pracy bankier, co się teraz musi przekwalifikować, więc miałem okazję przyjąć wygodną pozycję mentora i tłumaczyć mu jak MŁODEMU, tak jak mi na parkingu w Niemczech tłumaczyli tirowcy od Zbyszka, że
NIBY IDZIE WYŻYĆ, ALE TO NIE TO, CO KIEDYŚ
KIEDYŚ RIKSZARZ TO BYŁ PAN
BYŁY NAUKOWE BADANIA ROBIONE I WYSZŁO, ŻE RIKSZARZ TO
NAJNIEBEZPIECZNIEJSZY ZAWÓD ŚWIATA. NO MOŻE DRUGI, PO SAPERZE.

Typek jednak zaczął dosyć ewidentnie sprowadzać temat rozmowy do tego, czy się jeździ do takich hehe lokali, a przez hehe lokale rozumiemy tutaj strip cluby i burdele. No to myślę sobie, że pewnie jakiś erotoman. Aż hamburgera przełknąłem, żeby mi w gardle nie stanął, jak typ się obnaży. Jednak Robin, bo, jak się zaraz okazało, tak miał na imię, zamiast do obnażania przeszedł do tłumaczenia wprost, że on ma klub go-go na Tower Hamlets i chciałby ze mną i moimi ziomkami-riksarzami wejść we współpracę. Że ten jego klub jest fantastyczny, od 18 do 20 promocja na drinki, zajebiste tancerki z Brazylii, Tajlandii, ze Słowacji, a nawet z egzotycznej Szkocji, i w ogóle jest wszystko, o czym sobie można zamarzyć. Tylko klientów za dużo nie ma, bo jest trochę daleko od centrum, więc on teraz, aby zmienić ten stan rzeczy, jest gotowy nam odpalać po 50 funtów za każdą dostawę klientów – w porównaniu do 10–20 funtów, które dawali na Soho.

Jak usłyszałem 50 funtów, to już zacząłem kmینیć, jak moich pasażerów z centrum przekonywać, żeby się dali zabrać na Tower Hamlets, które bądź co bądź od miejsca mojego najczęstszego postoju, czyli Covent Garden, było rowerem z 20 minut. Nawet jak by z 2 razy w tygodniu trafił mi się taki dodatkowy kurs za 50 funtów, to by to znacząco odmieniło coraz gorszą sytuację finansową moją i Stomila. Opracowałem więc trzy plany: Jak klient wsiądzie najebany i powie, że chce do strip klubu, a potem od razu zaśnie (co się podobno czasami zdarzało), to go domyślnie wiozę do klubu do Robina, a potem sobie jakoś wróci. Najwyżej chwilę poczeka, a od 5 rano już normalnie jeździ metro.

Jak będzie klient Azjata, to mówię, że będzie w gratisie wycieczka przez Shoreditch, czyli tę dzielnicę po drodze, która jest VERY HIPSTER. Prawie wszyscy azjatyccy turyści, przynajmniej ci młodszy, co przyjeżdżali do Londynu, chcieli wszystko VERY HIPSTER i wystarczyło im rzucić w losowym momencie tym sformułowaniem, żeby na nic nie narzekali, tylko się cieszyli.

No i po trzecie to prawie zawsze się ludzi woziło trochę w kółko, bo turysta, jak wiadomo, nie wie zbyt wiele, co i jak w tym mieście, ale jak by wsiadł na Covent Garden i pojechał na przykład na Trafalgar Square najkrótszą drogą 200 metrów w 2 minuty, a ja bym mu za to krzyknął 20 funtów, to mógłby się burzyć. Dlatego jeździło się trochę naokoło, żeby przejazd potrwał tak przynajmniej z 10–15 minut i klient wiedział, za co płaci, a ja się uczciwie na te 2 dychy napracowałem. Dlatego wymyśliłem, że do Robina będę jeździł tak jakby naokoło, tylko w linii prostej, i w dodatku będzie to bardziej etyczne, bo faktycznie pokonamy spory dystans i turysta sobie zobaczy kawałek świata, a w końcu o to w turystyce chodzi.

Na dobry początek współpracy powiedziałem Robinowi, że go podrzucę spod St. Paul's do tego jego klubu, żeby sobie przy okazji obczaić trasę. Tower Hamlets to dzielnica pomiędzy City, czyli dzielnicą bankierów, a Hackney, czyli moją, tj. dzielnicą ludzi innych niż bankierzy. Obecnie mówi się, że Hamlets to jedna z tych słynnych islamskich stref szariatu typu NO-GO ZONE, w sensie, że ZONE, bo strefa, a NO-GO, bo tam się niby normalni ludzie boją wchodzić – nawet policja – bo tam jest Państwo Islamskie i niemuzułmanom się ucina głowy. Jeżeli faktycznie tak jest, to musi ona być strefą szariatu z największą ilością sklepów spożywczo-monopolowych typu OPEN 24/7 na świecie. Mój sceptycyzm podsycił też fakt, że w końcu Robin miał klub GO-GO w tej strefie NO-GO, co stoi w sprzeczności zarówno z prawem szariatu, jak i semantyką. Ewentualnie mogłoby to być go-go z bardzo małą ilością nagości, że widać tylko oczy, a jak weźmiesz taniec prywatny za 100 funtów, to może też zobaczysz kawałek czoła, ale jak dojechaliśmy na miejsce, to okazało się, że normalnie są cycki, dupa i wszystko.

Byłem jednak na Tower Hamlets raz świadkiem prohibicji alkoholowej i przemocy wobec kobiet. Było to tak, że stałem w sklepie, a przede mną przyżulona biała Brytyjka koło trzydziestki chciała, żeby sprzedawca, biały Brytyjczyk koło czterdziestki, jej dał browarów na zeszyt. On powiedział, że nie ma mowy, bo już tydzień temu miała spłacić dług za poprzedni tydzień i nie spłaciła. Wtedy ona zaczęła mu grozić śrubokrętem – jak wspominałem, wtedy był w Londynie wielki przypał za noszenie noża, więc niektórzy jako substytut zaczęli zamiast tego nosić śrubokręty. Ta adaptacja wzbudzała we mnie zastanowienie, czy jak z kolei zdelegalizują noszenie po ulicy śrubokrętów, to ludzie przestawiają się na jeszcze inne narzędzia i koniec końców będzie tak, że podczas dziesiony będzie się słyszało DAWAJ KURWO TELEFON ALBO CIĘ DOKRĘCĘ KLUCZEM NASADOWYM. Wracając jednak do sytuacji w sklepie i nieszanowania kobiet, to na sprzedawcy ten śrubokręt nie zrobił żadnego wrażenia, więc za te groźby po prostu zajebał jej przez ladę z liścia, a ona się obraziła i sobie poszła. Można to oczywiście podsumować nagłówkiem prasowym, że NA MUZUŁMAŃSKIEJ DZIELNICY LONDYNU BIAŁA KOBIETA ZOSTAŁA POBITA ZA PICIE PIWA.

W czasie gdy wam o tym opowiadałem, to zdążyliśmy dojechać już do klubu Robina. Zostałem przedstawiony kilku barmanom i tancerkom, którzy akurat stali na zewnątrz na szlugu, oraz 2 ochroniarzom, Marcusowi i Piotrkowi, którzy mieli mi wydawać pieniądze, jak przywożę klientów. Z Marcusem i Piotrkim było w ogóle tak, że Marcus był rasowo czarny, a Piotrek był rasowo biały – jak to większość Piotrków. Robin wymyślił więc, że Marcusa ubiorą w biały garnitur, a Piotrka w czarny, i będą jak yin i yang: w sensie biel garnituru i czarny łeb, w charakterze tej kropczki z yin i yang, a obok czerni garnituru i biały łeb.

Pomysł Robina był o tyle mylący, że w starożytnej kulturze wschodu yin i yang to dwie zupełnie odmienne siły, podczas gdy Marcus i Piotrek obydwoj reprezentowali siłę tę samą, fizyczną, i jak przyszło co do czego, to tak samo równo napierdalali niegrzecznych gości. Ochroniarze pokazali mi kanciapę pracowniczą, w której mogłem sobie poczekać, jeżeli klient sobie zażyczy, żebym go po zabawie odwiózł tam, skąd go przywiozłem – oczywiście za dodatkową opłatą. To wszystko sprawiło, że poczułem się poniekąd częścią zespołu, a dodatkowo byłem zmotywowany obietnicą 50 funtów za każdą przywiezioną partię klientów. Patrząc na to z perspektywy czasu, wydaje mi się jednak, że najbardziej spodobało mi się to, że zostałem w końcu chociaż trochę uszanowany poprzez ludzkie traktowanie i przydzielenie mi służbowego krzesła w kanciapie pracowniczej, bo przez kilka wcześniejszych tygodni szanowany się czułem raczej mało. Nie chodzi o to, żeby ktoś za mną krzyczał, że Polaki wypierdalać do Polski, bo tak raczej nie było. Bardziej o świadomość, że we wspomniałym mieście Londyn bankierzy robią swoją bankowość, artyści wystawy w galerii Tate Modern, synowie rosyjskich oligarchów jeżdżą lamborghini, a stara arystokracja angielska sobie siedzi w swoich pałacach i przez okno patrzy na to wszystko z wyższością – w przenośni i dosłownie, bo pewnie siedzą w wieżach tych pałaców, bo z definicji wieże buduje się po to, żeby było wyżej. Ja natomiast byłem na samym dole tej drabiny, która nie miała pierwszych 10 szczebli, bo możliwości awansu społecznego miałem raczej nikłe. Żeby uświadomić wam stojące przede mną perspektywy, to przytoczę legendę krążącą wśród riksarzy: podobno do jednego typu na riksę wsiadł jakiś zajebiście bogaty Chińczyk, co właśnie wyszedł z opery, i tak mu się ta jazda spodobała, że tego riksarza zatrudnił na stałe w swojej zajebiście wielkiej posiadłości w Ascot, żeby go tam woził. Ta historia była przedstawiana jako absolutny szczyt wygrzywu i o ile tamten słynny riksarz pewnie zarabiał nawet dobry hajs, to mimo wszystko nadal był żywym melexem na łasce i niełasce zajebiście bogatego Chińczyka. W dodatku nie wiadomo, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę i czy ta posiadłość w Ascot rzeczywiście istnieje, więc być może był to tylko szczyt kolektywnej wyobraźni, marzeń i aspiracji riksarzy londyńskich, co też sporo mówi o sytuacji życiowej ludzi uprawiających ten zawód. Przyznam, że to wszystko budziło we mnie frustrację, i z czasem, jak na przykład miało mnie na ulicy lamborghini jakiegoś syna rosyjskiego oligarchy, to zaczynałem myśleć, że dobrze by było w nim chociaż szybko wypierdolić. Tak dla zasady, żeby on też nie miał. Jak kilka lat później, będąc już w Polsce, oglądałem w telewizji te słynne zamieszki w Londynie, to poniekąd rozumiałem, co kierowało typami biorącymi w nich udział, jednak moim zdaniem oni o tyle zjebali sprawę, że jak mieli okazję funkcjonować przez chwilę w realiach chaosu i bezprawia, to poszli wypierdalać telewizory z centrów handlowych i browary z osiedlowych sklepów, które zresztą prowadzili ich własni starzy. Ja na ich miejscu wziąłbym spreja i poleciał pod pałac jakiegoś arystokraty brytyjskiego i wymalował kutasa na ścianie jego wieży, co symbolicznie zburzyłoby istniejący w Wielkiej Brytanii od wieków porządek społeczny.

Może wydać wam się to podejściem nieco chujowym, jednak na swoją obronę powiem, że prawdopodobnie nie jest to po prostu jakaś zjebana cecha mojej osobowości, tylko zjawisko obserwowane w szerszej perspektywie historycznej. Czytałem kiedyś, że jak pod koniec drugiej wojny żołnierze Armii Czerwonej doszli po kilku latach zapierdalania z buta przez mróz, błoto, spalone wsie i z karabinami NKWD-zistów przy plecach do Niemiec, to nie mogli się nadziwić, po co ci w ogóle zaczynali wojnę. W tamtych czasach nawet większość domów w Polsce nie miała kibla, a zamiast podłogi było klepisko, a co dopiero jakaś chata we wsi pod Krasnojarskiem, skąd taki czerwonoarmista przyszedł na piechotę. I nagle doszedł do Niemiec, czy jak kto woli Ziemi Odzyskanych, a tam domy z cegły, w nich porcelana, zegary i nawet takie luksusy jak kibel ze spluczką, to musiał mieć srogie grzyby, dlaczego temu

Niemcowi w ogóle chciało się z tego domu wychodzić, a co dopiero zamarznąć na śmierć gdzieś pod Stalingradem walcząc o 1000-letnią Rzeszę, która w dodatku w rzeczywistości przetrwała o jakieś 988 lat krócej, niż gwarantował producent. Żeby mieć pewność, dlaczego chciało im się wychodzić z domu, to trzeba by zapytać tych, co głosowali na Hitlera, natomiast moja teoria jest taka, że podobnie jak w przypadku mojego starego, w tamtym okresie również moim, a w okresie przyszłym również tych typów, co kręcili później zamieszki w Londynie, wynikało to z subiektywnego poczucia braku należytego uszanowania.

Natomiast zaoferowanie mi mojego własnego krzesła służbowego na zapleczu klubu no-go/go-go znacząco obniżyło mój radykalizm społeczny, a przy tym jeszcze pogoda zrobiła się chujowa, więc zamiast rysować kutasy na murach postanowiłem już zjechać na bazę i opowiedzieć chłopakom, że wożenie ludzi do klubu Robina na Tower Hamlets to dobry biznes.

Palec

Kilka dni upłynęło mi na wożeniu ludzi spod parlamentu pod London Eye. W końcu trafił się wieczorową porą na Soho klient, który szukał mocniejszych doznań estetycznych niż te, które mógł zapewnić wystawiany w Lyceum Theatre musical „Król Lew”, więc zamówił kurs „na dziewczyny”. To była oczywiście idealna szansa, żeby facet zwiedził sobie kawałek Londynu, a ja przytulił 50 funtów od klubu no-go go-go Robina.

Dobra, typ wsiada na riksę, lecimy. Zaraz zagaduje, skąd jestem, z Polski, on z Czech, więc już nie gadaliśmy po angielsku, tylko polsko-czesku. Właściwie to on gadał, bo rozpoczął bardzo żywiołową opowieść o tym, że on bywał w strip klubach i w Brazylii, i w Tajlandii, i nawet w egzotycznej Szkocji, ale najpiękniejsze dziewczyny na świecie to są na Słowacji. Z tego powodu było mu przykro, że Czechosłowacja się rozpadła, bo do tego momentu te najpiękniejsze dziewczyny były jego rodaczkami. Ja mu na to powiedziałem, że ma wspaniały gust, a my akurat jedziemy do klubu no-go go-go, gdzie jest tyle Słowaczek, że ciężko się przecisnąć do baru. W myślach zastanawiałem się natomiast, po co się fatygował aż do Londynu, skoro mógł sobie z Czech pojechać na Słowację PKS-em, ewentualnie taksówką czy nawet riksą, bo to nieduży kraj i wszędzie jest blisko. Ale widocznie prawdą jest powiedzenie, że jak szlachta się bawi, to na koszty nie patrzy, a Czech sprawiał wrażenie typa, który ma hajsu w opór.

Dojechaliśmy pod klub, wprowadzam gościa do środka, żeby przy okazji odebrać swoją zapłatę, a on mówi, że dobrze mu się ze mną jechało i jak na niego poczekam z 2–3 godzinki, aż się pobawi, żeby go potem odwieźć do hotelu, to mi odpali dodatkowo 100 funtów. No to mówię, że oczywiście, jak najbardziej poczekam, w dodatku nie musiałbym teraz wracać do centrum na pusto. Do tego wpierdolowy yin i yang, czyli chłopaki z bramki, dali mi 50 funtów za przywiezienie typka do nich zamiast do konkurencji, więc już byłem elegancko zarobiony. Szczególnie że 30 funtów Czech zapłacił mi już za podróż w jedną stronę, to w kieszeni miałem już 80, a w perspektywie jeszcze 100, więc byłoby na czynsz na ponad dwa tygodnie.

Poszedłem sobie na bogato posiedzieć na moim służbowym krzeselku w kanciapie, w której Piotrek opowiadał jednej barmance z Tajlandii, jaka to w Polsce była patologia na imprezach, które ochraniał przed emigracją. Że tutaj to spokój i cisza, a tam to musiał się co tydzień bić z 10 chamami naraz, z których każdy był O TAKI. Ta Tajka robiła wielkie oczy i mówiła, że Piotrek musi być bardzo silny, a Piotrek z kolei mrużył oczy i mówił, że no, trochę się trenowało. Na tych opowieściach minęło nam tak z godzinę, przychodzi Marcus i mówi, że Czech się upił tequilą, pannom za majtki wsadza po 20 funtów, zamówił szampana, a

teraz jedną Słowaczkę wziął na prywatny taniec za stół. No centralnie klient miesiąca, a mi została przybita piona za to, że go przywiozłem.

Nagle z sali słychać jakieś krzyki, tłuczone szkło, ogólnie banderoza. Marcus z Piotrkim polecili na awanturę, a ja siedziałem w kanciapie z tą barmanką, bo pomóc bym im zbyt nie pomógł, a wpierdol pewnie przy okazji bym od kogoś dostał. Po kilku minutach do naszego pokoju wjeżdża cała ekipa:

Najpierw jedna ze słowackich tancerek, goła, trzyma się za dupę i krzyczy ZWYROLIK, co, jak się domyśliłem, po czeskosłowacku znaczy ZBOCZENIEC

Potem wjeżdżają ręce tego Czecha ode mnie z rikszy, które w dalszej ich części trzymane są przez Marcusa i Piotrką, którzy są cali oblani szampanem, bo Czech ich próbował przyskać z butelki w obronie własnej

Na samym końcu wjeżdża pozostała część Czecha, krzycząca FASZYSTI! KOMUNISTI!, co, jak się domyśliłem, w Czechach i Słowacji oznacza odpowiednio faszystów i komunistów.

Czecha rzucili na krzesło, dostał od chłopaków kilka razy w mordę na uspokojenie, zaraz przyleciał właściciel Robin i zaczyna się dochodzenie, co wydarzyło się podczas prywatnego tańca – a wydarzyły się rzeczy mrozące krew w żyłach.

Słowaczka tak sobie znała angielski, a z nerwów jeszcze trochę zapomniała, więc krzyczała bardziej po słowacku, że coś tam coś tam W ZADKU, Robin pyta WHAT? A ona krzyczy ON DAL PERST DO MOJHO ZADKU! i przed zebraną obsługą złowrogo gestykuje palcem, wizualizując krzywdę, która ją spotkała. Było więc tak, że podczas prywatnego tańca Słowaczka kręciła Czechowi gołą dupą przed twarzą, a on się rozochocił tak, że nie mógł się powstrzymać, i wsadził tam palec. Piotrek pierwszy skumał, co zaszło, przetłumaczył na angielski, a Marcus wtedy Czecha z miejsca znowu w mordę, bo się rozsierdził, bo jemu się ta Słowaczka podobała i za nią łąził. Robin natomiast kręci głową wkurwiony, bo taki palec w dupie to jest atak na obsługę, a w dodatku za takie rzeczy to można stracić licencję na lokal, bo jak jest tylko patrzenie i ewentualnie dotykanie z zewnątrz na tańcu prywatnym, to to podchodzi pod strip club, a jak jest dotykanie wewnątrz, to już podchodzi pod burdel – a taki interes w naszej strefie szariatu już mógłby nie przejść.

Zaczynają się dywagacje, jaka kara powinna delikwenta spotkać. Marcus proponuje, żeby mu złamać palec, co symbolicznie nawiązywałoby do popełnionej zbrodni – wiecie, jak w starożytności na przykład ktoś coś skłamał na kogoś innego, to ucinali mu język, żeby już nie kłamał, więc analogicznie feralnego palca należy złamać, żeby w niczyjej dupie już nie powstał. Robin zauważył, że po pierwsze to są barbarzyńskie metody, a po drugie palec dopiero co był w dupie, więc kto podejmie się teraz obcowania z nim, bo na pewno nie on.

Na to Piotrek krzyczy:

WIEM! MY MU WSADZIMY PALEC W DUPE!

CO?

CO KURWA?

CO?

A NIC, NIC, TAK MI SIĘ TYLKO GŁOŚNO POMYŚLAŁO.

Samo nagłośnienie myśli wystarczyło jednak, żeby Czech się przestraszył i zaczął kajać, że on pijany był, pół litra wódki sam wcześniej wypił, że jemu się ta tancerka tak bardzo spodobała, bo są Słowaczki najpiękniejsze, że on ma dwójkę dzieci i dlatego potrzebuje wszystkich palców sprawnych, jak na przykład niesie zakupy z samochodu do domu. Koniec końców zaproponował, że da tancerce dodatkowo swoje ostatnie 100 funtów i go nie ma. Robin zapytał Słowaczkę, czy spoko, ona powiedziała, że spoko, więc Czech się wysypał z hajsu i już znika w drzwiach. Zrozumiałem wtedy, dlaczego Czechosłowacja się rozpadła, ale również dlaczego udało się ten rozpad przeprowadzić w pokojowy sposób. Nie

zrozumiałem jednak, co będzie z moją zapłatą, więc krzyczę za typem HALO HALO, A CO ZE MNA, a on mi mówi, że to wszystko moja wina, bo go tu przywiozłem i jeszcze dookoła jechałem (NIEPRAWDA) i ja jeszcze zobaczę, bo on się zna z czeską mafią w UK i oni mnie namierzają. Następnie pierdolnął drzwiami i poszedł.

Ja beka, bo największym znanym mi bandytą czeskim był Rumcajs, ale Robin, Marcus i Piotrek zaczęli kręcić głowami, że sprawa jest poważna, oni z doświadczenia wiedzą, że z czeską mafią się nie zadziera i ich zdaniem powinienem na jakiś czas wyjechać z miasta. Wyrazy ich twarzy mówiły, że nie żartują, więc obczaiłem tylko na monitoringu, czy Czech już sobie poszedł spod lokalu, a potem wsiadłem na riksę i poschizowany pojechałem na bazę, po drodze rozglądając się, czy za rogiem nie czyhają na mnie przedstawiciele czeskiej przestępczości zorganizowanej.

Na bazie spotkałem Stomila, który miał mordę obitą konkret – gorzej niż ten typ od palca w dupie. Okazało się, że jak wielu z nas zapomniał na chwilę, że w angielskim ruchu drogowym lewo to jest prawo, a prawo to lewo, i wyjechał na czołowe z jakimś taksówkarzem i mu porysował zderzak. Jak opisywałem, taksówki od dawna były cięte na riksarzy, że im zabierają pracę, więc ta rysa przełała czarę goryczy, taryfiarz wyskoczył z fury i zaczął Stomila szarpać. W okolicy było jeszcze dwóch taksówkarzy, którzy jak to zobaczyli, to pomyśleli, że to Stomil szarpie ich kolegę po fachu, więc skończyło się tak, że wpierdolili mu we trzech. Jak to zazwyczaj w takich sytuacjach bywa, na koniec dodali, żeby nie pokazywał się u nich na rewirze, czyli Soho, Covent Garden czy Westminster, więc tam, gdzie jest 90% roboty riksowej.

Nasze przejścia z tej nocy, połączone z przewlekłymi problemami finansowymi, skumulowały się już w tak ciężką lipę, że nie musieliśmy nawet ze sobą rozmawiać, żeby jeden drugiego zrozumiał, że z riksami koniec. Szczególnie że nie mieliśmy nawet hajsu, żeby w poniedziałek zapłacić Ramzesowi za wynajem rikszy na kolejny tydzień, bo staliśmy przed wyborem, że albo czynsz za riksę, albo czynsz za mieszkanie. Poszliśmy do niego, bo akurat był na bazie, i artykułujemy, jaka jest sytuacja. On wszystko zrozumiał, jak dobry starszy brat, podziękował za współpracę i powiedział, żeby się nie przejmować, tylko próbować dalej w innej branży. A jak on zaczynał w UK, to zanim założył biznes riksowy, to go z pięć raz wyjebali z pracy i raz był nawet przez tydzień bezdomny. Oddaliśmy mu riksze i wszystkie związane z nimi gadżety, typu klucze rowerowe, kłódki itp. A potem normalnie, metrem na chatę, z przystankiem po drodze po 12 żubrów w promocji.

Carlos

Następnego dnia była sobota. Od rana wzięliśmy laptopa i zaczęliśmy ostro przeglądać ogłoszenia o pracę. Na początku próbowaliśmy jeszcze szukać w Londynie, na różnej maści polskich portalach. Nie szukaliśmy pracy w jednym konkretnym zawodzie, tylko ogólnie jako POMOCNIK – może być murarza, hydraulika, byleby nie trzeba było zbyt dużo umieć.

Połowa ogłoszeń nie odbierała, druga połowa była nieaktualna, a trzecia połowa, w sensie te kilka, które były aktualne, oczekiwały na przykład od pomocnika tynkarza posiadania własnego samochodu i maszyny do natryskowego kładzenia tynków.

Sporo było też ogłoszeń, w których obiecywali zajebistą pracę, ale trzeba było im najpierw przesłać przelewem 100 funtów ZA KOSZTY MANIPULACYJNE I SZKOLENIE, a tak głupi nie byliśmy.

W międzyczasie przez salon przewinął się Kuba, którego podpytaliśmy o pracę w Subwayu, ale powiedział, że NO KURDE WIECIE CHŁOPAKI, JAK BYŚCIE TYDZIEŃ TEMU ZAPYTALI, TO AKURAT SZUKALI DO PRACY, ALE TERAZ TO... Potem przyszedł Mike z Tajwanu i zobaczył, że się trapimy, więc zaproponował, żebyśmy przyszli do niego do szkoły

językowej, do której chodził raz w tygodniu. Kminimy, kurwa, jak to my, niewykwalifikowani imigranci zarobkowi z Europy Środkowej, a nawet Środkowo-Wschodniej, mamy uczyć angielskiego, ale potem pomyśleliśmy, że jeżeli wszyscy uczniowie tej szkoły są Tajwańczykami, to może po prostu nie skminiać, co i jak. Powiemy, że jesteśmy ze Szkocji czy tam Irlandii Północnej i dlatego dziwny akcent, i będziemy sobie ich uczyli, czego nam się tam zachce, i nikt nie ogarnie, skoro oni po angielsku nie mówią tak samo jak my. Zdażyliśmy się już zajarać tym pomysłem, ale wtedy Mike doprecyzował, żebyśmy chodzili z nim do tej szkoły się uczyć, a nie przekazywać wiedzę innym. Pytamy go, kurwa człowieku, jak to nas niby urządza, skoro my chcemy pieniądze zarabiać, a nie jeszcze płacić? To mówi, że nie wie, że tylko chciał pomóc. Dziwny był ten Mike, bez kitu.

No to dzwoniemy dalej po ogłoszeniach z neta, tym razem już poza Londynem, bardziej w głąb kraju. Trochę późno już było i w dodatku sobota, więc prawie nikt nie odbierał, aż w końcu jakimś cudem dobiliśmy się do ogłoszenia pod zachęcającym tytułem DO PRACY W ROLNICTWIE BEZ KWALIFIKACJI. Odbiera jakaś Polka, my mówimy, że jesteśmy ludźmi szukającymi pracy, ona mówi, że dobrze się składa, bo u nich praca szuka człowieka. Szuka go konkretnie do pracy na farmie kapusty. Wynagrodzenie, że tak powiem, uzależnione od wyników. Na miejscu dostępne zakwaterowanie i wyżywienie w atrakcyjnej cenie oraz bezpłatne szkolenie. Praca jest od zaraz, miejscowość taka i taka, centralna Anglia. Powiedzieliśmy, że my się jeszcze zastanowimy, a potem zgodnie z obietnicą siedzieliśmy i się zastanawialiśmy.

Potem przyszedł Steven, ale żeby z nim założyć zawodową drużynę piłki nożnej, to potrzebowalibyśmy jeszcze 8 typa i piłkę. Zaraz przyszła ta niedoszła żona Stevena, ale tym razem jakoś wyjątkowo obyło się bez awantury, tylko zostawiła mu jedzenie i poszła. Zostawiła 2 pełne reklamówki żarcia, w tym z jakiegoś powodu wyjątkowo dużo parówek, a Steven zaproponował, że może byśmy chcieli z nim te parówki zjeść z grilla – bo mieliśmy w ogródku grilla. Steven to była taka morda, że rzadko coś miał, ale jak już miał, to zawsze się z bliznim podzielił. Myślę, że wynikało to w dużej mierze z jego religijności, która, jak zresztą wspominałem, była cechą wszystkich Afrykańczyków, których w UK poznałem. Mówi się, że w Polsce mamy kościół toruński i kościół łagiewnicki, a moim zdaniem z korzyścią dla Kościoła w ogóle byłoby, gdyby zrobili jeszcze kościół murzyński. Mogłaby to jednak być zbyt duża konkurencja dla kościołów już istniejących, bo na przykład jak u nas w mieście była msza dla młodzieży na 9:00 rano, to największą rozrywką było, że taki młody ksiądz Tomek grał na gitarze, a jak by do nas wjechał cały chór gospel jak w tych czarnych kościołach w Ameryce, toby ksiądz Tomek wypadł w tym porównaniu dosyć kurwa blado – nie tylko ze względu na pigment skóry.

Steven dał parówek, to żeby nie było, że Polacy gorsi, to my skoczyliśmy po żubrzyki. Zaraz przyszedł John Lin i już żubra łapie z lodówki i mówi, że hehe chłopaki, widzę, że grilla rozpalacie, to może ja ze swojej strony zaoferuję dla uczczenia dzisiejszego wieczoru jakieś janie, tylko musimy poczekać, bo dopiero za chwilę przyjdzie moja dostawa – czyli Carlos z Wenezueli.

No i fajnie, usiedliśmy na ogródku, a jak się parówki upiekły, to Steven zawołał jeszcze Kubę i Mike'a, którzy zamulali w swoich pokojach, żeby chłopaki też podjedli. Za chwilę przyszedł Carlos, ale on z nami nie siedział, tylko postął chwilę z Johnem Linem w kuchni, gdzie dobili interesu, i sobie poszedł. Ten Carlos nigdy zbyt długo nie siedział, a po Johnie też było widać, że on wcale nie nalegał, bo chyba się go trochę bał, bo jednak byle leszcz nie ma tydzień w tydzień 60 gramów i nie nosi ich w tylnej kieszeni spodni, bo ma tak wyжебane na policję. W dodatku miał wygolone żyłką fragmenty jednej brwi, w sensie takie małe łyse

paski z góry na dół, co podobno było znakiem przynależności jakiegoś gangu u nas z dzielnicy, tylko nie wiem którego.

Potem jeszcze z godzinę siedzieliśmy na ogródku przy jointach i browarach, aż w pewnym momencie Stomil poszedł do kibla, a jak wrócił, to mówi, że nie ma jego karty OYSTER, która leżała w kuchni na stole. Karta OYSTER to jest w Londynie po prostu karta miejska na komunikację publiczną, która od kart miejskich we wszystkich innych miastach różni się tym, że jest zajebiście droga, bo kosztuje około 150 funtów, czyli ponad 700 złotych za miesiąc, zależnie jeszcze, na które strefy miasta się kupi. John Lin się pyta Stomila, czy jest pewien, że zostawiał ją na stole w kuchni, bo przecież kilka browarków poszło, to człowiekowi ma prawo się pomylić. To było pytanie retoryczne, bo wszyscy mieli na myśli to samo, czyli że pewnie Carlos z Wenezueli wziął i zajebał, bo on się wszystkim od zawsze wydawał śliski, a nikogo innego w domu nie było, bo my siedzieliśmy na ogródku. Przeszukaliśmy razem cały dom, karty nie ma, więc John Lin do niego dzwoni

SIEMASZ HEHE, SŁUCHAJ, GŁUPIA SPRAWA, NIE WZIAŁEŚ MOŻE PRZYPADKIEM OD NAS Z MIESZKANIA ZE STOŁU KARTY OYSTER? A NIE, NIE, TAK PO PROSTU PYTAM, BO WIESZ, TUTAJ KOLEDZE SIĘ GDZIEŚ ZGUBIŁA, A PRZECIEŻ TE KARTY WSZYSTKIE TAKIE SAME, TO CZŁOWIEKOWI MA PRAWO SIĘ POMYLIĆ I MOŻNA WZIAĆ NIECHCĄCY NIE SWOJĄ. CO? ALE NIE, NIE, STARY, TAK TYLKO PYTAM...

I wtedy Carlos się rozłączył, a John posmutniał i mówi, że Carlos właśnie tu idzie, żeby nam pomóc szukać. Widocznie daleko nie miał, bo maksymalnie z 5 minut później wbił do nas do kuchni i pyta, komu ta Oyster karta zginęła, to Stomil mówi, że jemu, a Carlos pyta, czy on w takim razie uważa, że on ją zajebał. Stomil tłumaczy, że on nic nie uważa, tylko karta była, a teraz nie ma, a oprócz niego nikogo obcego u nas w domu nie było. Carlos na to zaczyna do niego gadać takim braterskim, niemal mentorskim tonem, że on jest z Ameryki Południowej, że tam są wszyscy bardzo wierzący i on też jest bardzo wierzący i by nigdy nic nikomu nie ukradł. I nagle ściąga koszulkę, a był w samym T-shircie, bo była ciepła noc, i zaczyna nam pokazywać swoją klatkę, przez której całą wielkość ma wytatuowanego Jezusa na krzyżu. Podchodzi do Stomila bliżej i już znacznie mniej przyjemnie zaczyna mu mówić, żeby on patrzył uważnie na tego Jezusa, bo ktoś, kto sobie takiego Jezusa wydziarał, musi być bardzo wierzący, więc chyba by nic nie ukradł, co, ty kurwo jebana? Do mnie taka forma religijności przemawiała znacznie mniej niż polegająca na dzieleniu się parówkami religijność Stevena, szczególnie że dookoła tego krzyża Carlos miał wydziarane jeszcze znacznie więcej rzeczy i nawet bez pogłębionej znajomości języka hiszpańskiego dało się wywnioskować, że są to raczej motywy więzienne niż religijne.

John Lin chciał trochę załagodzić sytuację i próbował wejść pomiędzy Carlosa a Stomila, ale wtedy nagle Carlos wyciąga z kieszeni kurwa nóż sprężynowy i zaczyna nim przed nami wywijać, celując nim to w Johna, to w Stomila, a to w swoją klatkę piersiową i zaczyna już krzyczeć, czy wygląda nam na jakiegoś bandytę, skoro ma wytatuowanego takiego wielkiego Jezusa. Kompletnie mu już odpiardoliło i byłem pewien, że zaraz tę kosę albo Stomilowi, albo sobie wbije pod żebra, ale w tym momencie stał się cud. Mike, który siedział z boku i się nie odzywał, zerwał się w ciągu ułamka sekundy z krzesła ogrodowego i krzycząc STOP BULLYING, zapierdolił temu Carlosowi bokiem dłoni prosto w gardło, jak kurwa na filmach karate. Carlos aż wypuścił ten nóż, złapał się za szyję i zaczął się dusić, a wtedy Mike jeszcze mu poprawił, wkładając z całej siły kciuk w oko. Nie wiem kurwa, na jakichś kursach obrony przed gnębieniem w szkole musieli go nauczyć tej krav magi czy co to tam było. Zaryzykowałbym nawet teorię, że te jego wszystkie różnokolorowe koszulki STOP BULLYING to były jak pasy w karate, że każdy kolejny kolor to kolejny poziom

wtajemniczenia, i dlatego miał ich tak dużo, bo był wielkim mistrzem powstrzymywania gnębienia.

W każdym razie po tym palcu w oko to Carlos padł na plecy na trawę na ogródku i pewnie byłby jak jakiś ranny łoś, gdyby nie to, że coś mu się stało z gardłem, więc powiedziałbym raczej, że rzeził. Zanim Mike zadał finałowy cios swojego combosa, który prawdopodobnie byłby śmiertelny, to zdążyliśmy go od Carlosa odciągnąć. John przerażony pyta, kurwa człowieku, czy ty wiesz, coś ty narobił? Wpierdoliłeś typowi, który ma za sobą najgorszych chamów na dzielnicy, którzy ludziom łamią ręce za 10 gramów zieliska. Wtedy wtrącił się Stomil, że jak by nie Mike, to przecież ten pojebus by nas wszystkich za moment tym nożem pochłastał, więc mu zawdzięczamy życie. Tak więc zdania były podzielone, ale nie było czasu na debatowanie nad tym, bo trzeba było szybko wykminić, co robimy z tym Carlosem, który się na ziemi związał z bólu, ale powoli dochodził do siebie. Mike schował gdzieś jego nóż, a John Lin starał się mu pomóc wstać z ziemi, przepraszając go jednocześnie, że KOLEŻCE ODJEBAŁO, NO STARY MÓWIĘ CI, NIE WIEM, CO MU ODJEBAŁO. No bo co kurwa, mieliśmy jak w filmach go tam zajebać i zakopać w ogródku? Carlos ledwo stał na nogach, ale jakoś zaczął się wlec w kierunku drzwi, odgrając się po drodze, jak to nie mamy przejebane. Zabawne było to, że mówił wtedy bardzo podobnie do Dartha Vadera, a mniej zabawne było to, że obiecywał, że przyjdzie z chłopakami i nas kurwa zajebie. Jak tylko wyszedł z naszego domu, to John Lin mówi, że kurwa chłopaki, kto jak kto, ale on nie żartuje. Mogą nas serio zajebać, a w najlepszym wypadku połamać. To ja pytam, NAS, czyli kogo? A on mówi, że Mike'a, Stomila, jego i mnie, bo jestem kolegą Stomila. Steven i Kuba się nie mieli czego bać, bo nawet ich nie było przy tej całej akcji, bo już poszli spać, ale my musimy centralnie zawijać się i wypierdalać w podskokach. Na to ja protestuję, że nie no, kurwa ludzie, dopiero co wczoraj nas miała dojeżdżać mafia czechosłowacka i mafia taksówkarska, że za konflikty na rikszy mamy się nie pokazywać w centrum, więc pierdolę codziennie słuchać takich grózb. Ale John przekonuje, że to nie jest jakaś taka gównomafia, która cię dojeżdża dopiero wtedy, jak ty przyjdiesz do niej, tylko mamy pewnie koło pół godziny, zanim Carlos dowlecze się na melinę do jakichś swoich ziomków i oni nas dojadą z dostawą do domu.

Na to pada pytanie, co w takim razie robimy, a John mówi, że my przynajmniej na kilka tygodni musimy zniknąć z dzielnicy, nie ma innej opcji, a Mike to najlepiej jak by spierdalał z powrotem na Tajwan, bo jemu to na pewno nie zapomną, ale żeby na razie to uciekał z nami gdziekolwiek. No dobra, a gdziekolwiek to znaczy gdzie? Dla Johna Lina to znaczy na przykład do Sheffield, czyli z 200 kilometrów na północ od Londynu, bo on tam ma jakiegoś kuzyna. Mike mówi, że w takim razie jedzie z nim, a stamtąd albo na Tajwan, albo będzie kontynuował naukę angielskiego w Sheffield. Stomil natomiast do mnie mówi TY, A TA FARMA KAPUSTY TO GDZIE JEST. To sprawdzamy zajebicie szybko w Internecie, bo miałem zanotowaną tę miejscowość, co podała kilka godzin wcześniej kobieta przez telefon. Okazuje się, że może nie idealnie po drodze do Sheffield, ale też jakoś daleko nie trzeba nadkładać, może z godzinę więcej jazdy będzie. To John Lin mówi, że dobra, może nas tam zawieźć, tylko musimy cały dobytek spakować do jego starego renault clio w czasie poniżej 10 minut.

Farma kapusty

Około 2 w nocy, czyli po jakichś 2 godzinach jazdy, John Lin zatrzymał samochód, obudził mnie i Stomila, i powiedział, że dojechaliśmy. Wyszliśmy z samochodu, pożegnaliśmy się z nim i Mikiem „STOP BULLYING” z Tajwanu i wzięliśmy cały swój dobytek z bagażnika, po czym chłopaki odjechali w dalszą drogę do Sheffield. My natomiast dopiero wtedy mieliśmy

okazję, żeby się rozejrzeć. Oględziny wykazały, że po naszej lewej stronie jest pole kapusty, po prawej stronie jest pole kapusty, za nami również jest pole kapusty, natomiast przed nami jest zajębiście wielka fabryka kapusty, która oczywiście teraz była zamknięta, bo była 2 w nocy, a o takich porach kapusty się nie produkuje. Pochodziliśmy trochę koło wejścia, a potem z braku lepszego pomysłu napompowaliśmy zabrany przezornie z Hackney materac dmuchany i poszliśmy na nim spać pod samymi drzwiami, żeby przypadkiem nie przegapić, jak ktoś będzie wchodził do fabryki.

Jakoś o 7 rano drzwi z drugiej strony, to znaczy od strony fabryki, zaczęła pchać jakaś panna, uderzając nimi o nasz materac i tym samym nas budząc. Jak by tego popychania było mało, to jeszcze dla pewności zaczęła przez uchylone drzwi krzyczeć MAY I HELP YOU?! To my mówimy, że owszem, może pomóc, bo my wprawdzie nie wyglądamy, ale przyjechaliśmy w sprawie pracy i śpimy tu w nawiązaniu do rozmowy telefonicznej z dnia poprzedniego. Recepcjonistka, która po chwili okazała się Polką, mówi już po ludzku AAAA, TO WY Z POLSKI, TAK? Wtedy się wszystko wyjaśniło, bo to z nią gadaliśmy przez telefon dzień wcześniej. Potwierdziła, że praca rzeczywiście jest i ogólnie nie ma lipy, wszystko jak w ogłoszeniu. Ja jej wtedy przerywam, że najmocniej przepraszam, ale ciekawość mnie zżera, jak ona weszła do budynku, nie budząc nas, skoro spaliśmy, blokując drzwi. Ona w śmiech i mówi, że ona tu w środku mieszka, podobnie jak większość pracowników. Natomiast nie zapytała nas, dlaczego przyjechaliśmy w środku nocy i spaliśmy na dmuchanym materacu pod drzwiami, bo na tej farmie już nie takie rzeczy widziała. Potem kazała przeciągnąć nasz dobytek spod drzwi wejściowych za recepcję, a nas zaprowadziła do biura, gdzie dostaliśmy umowy do podpisania. Oczywiście podpisaliśmy, bo nasz majątek wynosił po kilkadziesiąt funtów, więc gdybyśmy nie podpisali, to za tę kwotę nie dalibyśmy pewnie rady nawet wrócić do Londynu, o Polsce nie wspominając. Nasza determinacja była tak duża, że najpierw podpisaliśmy umowy po litewsku, które dał nam typek z biura, bo nie chcieliśmy denerwować przyszłego pracodawcy zbędnymi dociekaniem, a dopiero jak gość sprawdzał nasze podpisy na umowach, to skminił błąd i dał nam po polsku. Po formalnościach zawołali jakiegoś pana Wojtkę, który miał około 60 lat i był doświadczonym pracownikiem, a który to miał nam pokazać co i jak. Pan Wojtek wiedział wszystko nie tylko o farmie, ale o życiu w ogóle, ale na razie skupmy się jednak na kapuście. Poniżej przedstawiam wszystko, czego w tej kwestii dowiedziałem się od niego, jak i nauczyłem się sam na późniejszych etapach mojej kapuścianej kariery.

Farma kapusty składała się z:

Pola kapusty, które rzekomo miało 1000 akrów, czyli jakieś 400 hektarów, ale nie mogę tego potwierdzić, bo nigdy nie doszedłem do końca.

Szeregu blaszanych hal przemysłowych, w których kapustę się segregowało, myło, pakowało i wykonywało wszystkie inne zabiegi pielęgnacyjne, które kapusta musi przejść przed wyjazdem do supermarketu.

Obiektów biurowych, w których pracowali wszyscy ci, którzy nie pracowali w polu ani w halach. Najpowszechniej używanym określeniem na tę grupę zawodową było TE KURWY CO NIC NIE ROBIA, TYLKO W BIURZE DUPEŁ GRZEJĄ.

Obiektu rekreacyjnego, który przypominał salę gimnastyczną z mojej podstawówki. Jeżeli nie byliście w mojej podstawówce, to możecie śmiało wyobrazić sobie swoją. W środku stało dużo stołów z krzesłami, kanapy, telewizor, ping pong i tym podobne. Był nawet kosz do koszykówki, ale żeby pograć, to trzeba by poodsuwać te wszystkie stoły, krzesła i ping pongi. Nie mieliśmy zresztą piłki, więc czym byśmy grali, przecież nie kapustą.

OSIEDLE.

Osiedle to oficjalna, eufemistyczna nazwa, bo ze względu na zabudowę bardziej odpowiednim określeniem byłby OBÓZ. Natomiast wiadomo, że jak się mówi OBÓZ, to pierwsze skojarzenie zazwyczaj nie jest, że HARCERSKI, tylko inny, dlatego tak się oficjalnie nie mówiło. Można by też ewentualnie mówić KEMPING, ale to z kolei może się kojarzyć zbyt turystyczno-rekreacyjnie i demotywować do pracy. W każdym razie wszystkie te określenia wynikały z tego, że był to wielki plac zastawiony domkami kempingowymi. Większość z nich to były tak zwane domki holenderskie, które nie mają kół, tylko są wielkości kontenera transportowego, przywozi je tir i dźwigiem stawia w jednym miejscu na dłuższy czas. Takich domków było około 30–40, ustawionych w 3 rzędach. Przez każdy rząd szła udeptana droga, która z jednej strony kończyła się halami przemysłowymi i biurem, a z drugiej salą gimnastyczną, zwaną również świetlicą. W każdym z takich holendrów mieszkało 5–8 osób, zależnie od tego, jaki kto miał układ – wiadomo, że im lepszy, to mniej osób, ale do kwestii układów jeszcze wrócę. Za kwaterunek płacono się od osoby tygodniowo 40 funtów czynszu + 10 funtów zaliczki na prąd, wodę i gaz.

Oprócz tych domków na placu stało jeszcze kilkanaście przyczep mniejszych, jednak posiadających koła, a w niektórych przypadkach to nawet kamperów, czyli przyczep stałe połączonych z samochodami. W nich mieszkała farmowa elita, różni brygadziści, supervisorzy, a czasami nawet te kurwy, co nic nie robią, tylko w biurze dupę grzeją. Kilka z tych przyczep/kamperów było też zajętych przez szeregowych pracowników, dla których jednak praca sezonowa nie była sezonowa, bo trwała cały rok. Kapusty oczywiście nie zbiera się w UK zimą, więc wtedy wsiadali oni w swoje mobilne domy i jechali do Hiszpanii na zbiory truskawki, które odbywają się w datach dokładnie przeciwnych do zbiorów kapusty. Żyli oni więc w pewnym sensie w rytmie natury, tylko w różnych strefach klimatycznych. Jak natomiast może wiecie, dzieje gatunku ludzkiego można podzielić na okres wędrowno-zbieracki oraz okres rolniczo-osiadły. Ci ludzie od kamperów byli w tym sensie historycznym ewenementem, bo żyli wciąż w obydwu okresach naraz i to w XXI wieku. Jeżeli więc kiedyś w Hiszpanii wybuchnie wulkan, gdy oni akurat tam będą na truskawkach, i zasypie ich żywcem popiół jak pod Etną, to za kilkaset lat archeolodzy będą mieli ciężką rozkminę, jak to wszystko było możliwe.

Hierarchia społeczna panująca na farmie była uwidoczniła w kwestii zakwaterowania. Najniżej byli ci, którzy mieszkali w holendrach po 8 osób. Najczęściej były to takie osoby jak my, dla których był to pierwszy sezon na tej farmie. Ewentualnie ludzie bardziej doświadczeni, którym jednak w poprzednich latach nie udało się wypracować żadnego układu. W barakach mniej zaludnionych mieszkali ci, którzy na farmie byli już któryś raz, jak i biedniejsza część farmowych prominentów – młodszy supervisorzy czy niektóre typki z magazynu. Aby wytłumaczyć, czym był UKŁAD, posłużę się przykładem gości z magazynu właśnie.

Jak pracowałeś na magazynie i ładowałeś wózkami widłowym skrzynki z kapustą do tira, to znałeś się z tirowcami. Jak jakiemuś tirowcowi pakowałeś zawsze naczepę bez zbędnego czekania, to on oszczędzał czas i pieniądze, byliście ziomkami i wisiał ci przysługę. Wtedy dogadywałeś się z nim, żeby z jakiegoś centrum logistycznego zabrał od czasu do czasu paczkę, którą zostawiał tam szwagier twojego kolegi z farmy, Mariana, który to szwagier do tego samego centrum logistycznego jeździł regularnie bussem z Polski, Bułgarii, Litwy czy skąd tam byłeś. W tej paczce był na przykład telewizor czy jakieś rzeczy osobiste, czy flaszki, czy jedzenie, czy szlugi. Załóżmy na potrzeby tego przykładu, że szlugi.

Otrzymawszy od tirowca szlugi, niosłeś je do zastępcy administratora OSIEDLA, żeby je sprzedał mieszkańcom powyżej ceny polskiej, a poniżej ceny angielskiej, żeby się wszystkim opłacało. Nie mogłeś ich sprzedawać sam, bo administracja pilnowała swojego terenu i by

cię dojechali. Natomiast jako że sprzedawałeś je z nimi, to byliście ziomkami i mieliście UKŁAD. Dostawałeś więc swoją dolę za papierosy, a do tego twój układowy partner wsadzał cię do baraku, w którym mieszkały oprócz ciebie tylko 4 osoby, a nie 7. To jest przykład UKŁADU biznesowego.

Innym typem UKŁADU był układ koleżeńsko-alkoholowy, sprowadzający się do tego, kto z kim pije przy sobocie. Tutaj chyba zbyt dużo nie muszę tłumaczyć – jak mieszkałeś z młodszym supervisorem w domku i co weekend sobie przy wódzie śliniliście mordy, że MORDO, TY TO DLA MNIE JESTEŚ NAJLEPSZA MORDA, to potem dostawałeś łatwiejsze prace i byłeś ogólnie mniej ciśnięty. Przy wódzie snuto również tysiące planów o tym, kto z kim założy w Polsce najbardziej dochodowy interes za przywiezione z farmy pieniądze. Skoro już poruszyłem temat wody, to możecie sobie wyobrazić, jak to jest, jak w sobotni wieczór po wypłacie w domku holenderskim o powierzchni 40 metrów kwadratowych siada 8 typa. Przede wszystkim warto zwrócić uwagę, że z geometrycznego punktu widzenia mają na osobę do dyspozycji przestrzeń życiową o powierzchni 5 metrów kwadratowych na osobę średnio, co jest powierzchnią tylko o 1 metr większą od minimalnej zalecanej przez Europejski Komitet Przeciwdziałania Torturom na 1 skazanego w zakładzie karnym. W dodatku tych 8 typów jest z dala od rodzin i społeczności lokalnych, pilnujących przestrzegania norm społecznych, których te typy trzymały się wcześniej w kraju. Kolejną kwestią było, że różnym nieprzyjemnym zjawiskom sprzyjały lokalne warunki estetyczne i oferta kulturalno-oświatowa: najbardziej wzniosłą rzeczą był rozciągający się przed domkami widok bezkresu pola kapusty, a właściwie jego 400 hektarów, a drugą najbardziej wzniosłą rzeczą były ex aequo wszystkie stoły do ping ponga. Jak ktoś sobie chciał pójść do kina czy teatru, to teoretycznie mógł iść z buta przez pola do najbliższego miasta, które oddalone było o 3 mile, czyli jakieś 5 kilometrów. Mówię teoretycznie, bo w tym mieście nie było ani kina, ani teatru. Praktycznie było za to coś jak nasz dom kultury, czyli COMMUNITY CENTER, ale zamknięte z powodu kryzysu, więc centrum społeczno-kulturalnym tego miasteczka stał się parking czegoś w rodzaju minicentrum handlowego, przy którym mieściło się Tesco, McDonald's i urząd pracy (po angielsku JOB CENTRE PLUS). Istotne jest to dlatego, że jest naukowo udowodnione, że ludzie przebywający w otoczeniu chujowym zachowują się gorzej niż w otoczeniu przyzwoitym. Dowiedziałem się tego, jak i innych rzeczy opisanych powyżej, już po powrocie do Polski, na studiach, gdy starałem się znaleźć jakieś wytłumaczenie tego wszystkiego, czego byłem świadkiem. Ważne jest to dlatego, że nie chcę stworzyć fałszywego obrazu, że na takiej emigracji jest tylko woda, bicie się po mordzie i szeroko pojęta patologia. W tym, co tutaj opisuję, znajdziecie jej pewnie więcej niż w swoim codziennym życiu, ale nie dlatego, że osoby, które spotkałem, były gorsze od tych z waszego otoczenia, tylko po prostu znajdowały się w innej sytuacji życiowej. Drugą przyczyną i problemem moim, jak i całego współczesnego świata ze szczególnym uwzględnieniem mediów, jest to, że o normalnych rzeczach się nie pisze i nie mówi, bo nikt o nich nie chce słuchać, bo jak ktoś chce normalnych rzeczy, to może sobie wyjść na zwykłą ulicę przed swoim domem i popatrzeć oczami, a nie kupować gazety czy książki. To prowadzi nas do trzeciego typu UKŁADU.

UKŁAD KOLEŻEŃSKO-BEZALKOHOLOWY. Normalny ludzki układ biorący się stąd, że ktoś kogoś po prostu lubi, jest z tego samego kraju, regionu czy miasta, zauważył w drugim człowieku jakąś dobrą cechę, mają wspólne hobby czy cokolwiek. Był typek koło trzydziestki, który w Polsce zostawił żonę w ciąży, i codziennie po pracy, nawet w sobotę, jak wiele osób chlało, do niej dzwonił na skajpie po 3 godziny. Za to jedna supervisorka go tak polubiła, że mu załatwiła pracę na magazynie, bo stwierdziła, że takich przyzwoitych mężczyzn trzeba promować, bo jak ona była w ciąży i jej chłopak się o tym dowiedział, to wziął i spierdolił –

według poszlak odnalezionych w mediach społecznościowych – aż na Islandię. Dlatego ona co wakacje siedziała po 4 miesiące w UK, żeby zarobić na bycie samotną matką przez resztę roku, a w tym czasie jej dziecko siedziało z babcią w Polsce i tęskniło za nią, a ona za nim. Innym przykładem była panna z Bułgarii, której stary był zawodowym strażakiem, więc dobrze znała się na pożarnictwie, czym zaimponowała typowi z Łotwy, który kiedyś też był strażakiem, a obecnie na farmie zajmował się bezpieczeństwem. Dlatego załatwił jej, żeby z hali przenieść ją do niego na BHP, żeby z nim chodziła i sprawdzała, czy wyjścia ewakuacyjne są udrożnione i inne takie strażackie rzeczy.

To z kolei prowadzi nas do czwartego typu UKŁADU, czyli dupodajstwa, bo o to właśnie ta panna z Bułgarii była powszechnie podejrzewana. Dostę często, gdy kogoś spotkało coś dobrego, jak podwyżka czy awans, to zaraz pojawiał się szereg domysłów tłumaczących to zjawisko przyczynami pozamerytorycznymi. Jedną z nich zazwyczaj miało być danie dupy przez awansowanego lub awansowaną osobie, która jego czy ją awansowała. W rzucaniu takich oskarżeń zawsze przodowały wkurwione mamuśki w wieku średnim łamane przez starszym, które pewnie chętnie by dały dupy i bez żadnych korzyści z tego wynikających, ale nie miały komu. Najbardziej były oczywiście cięte na młode panny, których uroda jeszcze nie przeminęła, a które awansował starszy typ, a najlepiej (w sensie najgorzej), jak jeszcze był innej narodowości niż ta panna. Wtedy można było z czystym sercem stać na szlugu w kilka takich harpii-Grażynek i jak młoda przechodziła, to się ją obcinało nienawistnym wzrokiem, a potem między sobą mówiło WTEDY RUMUNOWI DUPY DAŁA, A TERA WIELKA PANI.

Piątym i ostatnim typem UKŁADU był układ językowy, ale w znaczeniu lingwistycznym.

Mianowicie jeżeli mówiło się dobrze po angielsku, to była szansa, że człowiek zapozna się i zakoleguje z kimś z wyższego kierownictwa, które stanowili praktycznie sami Anglicy. Na przykład stałeś pod firmą, podszedł jakiś menadżer i pytał, czy masz ognia, ty mówiłeś, że masz, on odpalał szluga, zamieniliście z 3 zdania, a twoi współpracownicy patrzyli, że stoisz i się z nim ziomujesz. Potem coś do ciebie zagadywał na parking, ludzie z pracy znowu to widzieli i potem już było wiadomo, że jak by ktoś ci uczynił krzywdę, to pewnie pójdziesz do tego Anglika się poskarżyć, bo on już dojrzał w tobie człowieka. Ci, którzy po angielsku nie mówili, czyli tak z ¾ pracowników, nie mieli tej szansy i mogli poskarżyć się co najwyżej średniemu kierownictwu, składającemu się z przedstawicieli narodów Europy tak zwanej, Środkowo-Wschodniej. To znaczy w pewnym sensie mówili oni po angielsku, ale było to angielski-środkowo-wschodnio-europejski, w którym to Litwin może dogadać się ze Słowakiem, ale z Anglikiem już nie.

Na farmie bariera pomiędzy Anglikami a imigrantami była chyba nawet wyraźniejsza niż w Londynie. Nikt z miejscowych nie mieszkał na stałe na terenie farmy, tylko dojeżdżali do pracy z miasteczka. Po godzinach cały zakład pracy był więc pod kontrolą różnej maści supervisorów, czy innymi słowy kapuścianej arystokracji, z Europy Wschodniej (Środkowo). Również w czasie pracy zwykły pracownik miał kontakt prawie tylko z nimi, a Anglicy starali się nie ingerować w nasze sprawy, wychodząc z założenia, że mamy swoją kulturę i obyczaje i lepiej się w to nie mieszać. W sumie przez miesiąc pobytu na farmie tylko raz widziałem sytuację, w której wyższy przełożony zareagował na niesprawiedliwość, a było to, jak polski supervisor pokłócił się z polskim pracownikiem, że ten drugi ma iść gdzieś, gdzie nie chciał iść, i się opierał, więc ten pierwszy dla zachęty kopnął go w dupę, na co przyglądający się temu Anglik powiedział OI! CALM DOWN!

A skoro już doszliśmy do rozmów o Anglikach, Litwinach, Rumunach, Polakach i kopaniach w dupę, to warto, żebym opowiedział o strukturze etnicznej naszej farmy. Łącznie pracowało na niej około 400 osób, z czego około 50 to byli Anglicy, głównie zajmujący posady TYCH KUREW, CO NIC NIE ROBIA, TYLKO W BIURZE... – no wiecie. Okazjonalnie Anglicy

pracowali też na jakichś wyższych stanowiskach na magazynie czy jako zewnętrzni specjaliści przyjeżdżali na halę, jak trzeba było zrobić na przykład przegląd i podbić gwarancję maszyny do mycia kapusty. Kolejne 20–40 osób to byli ludzie z Europy Zachodnio-Południowej, czyli Portugalii i Hiszpanii, gdzie wtedy kryzys przypierdolił tak, że było bezrobocie 30%, więc gdzieś tam zrobiło się tak nieprzyjemnie jak w umęczonej przez dwudziestowieczne systemy totalitarne (jak i wcześniejsze zapóźnienie dziejowe) Europie Wschodnio-Południowej i Środkowo-Wschodniej, która to reprezentowana była przez pozostałych 300 pracowników farmy.

Właściwie wszyscy Portugalczycy i Hiszpanie byli na farmie dopiero pierwszy sezon, więc nie obejmowali żadnych wyższych stanowisk. Trzymali się sami ze sobą, nikomu specjalnie nie wchodzili w drogę i wkurwiali się tylko wtedy, jak ktoś ich mylił z Rumunami i Bułgarami. Zajmowali kilka domków z boku osiedla, a ich rewir wyróżniał się tym, że dużo czasu spędzali na świeżym powietrzu przed domkami, gdzie gotowali, pili wino i prowadzili jakieś ożywione dyskusje. Dało się po tym poznać, że pochodzą z ciepłych krajów, w których warunki pogodowe sprzyjają przebywaniu na zewnątrz, co starali się zaszczerpieć również w mniej przyjaznej pod tym względem Wielkiej Brytanii. Z ciepłych krajów oczywiście pochodzą też choćby Rumunii, tylko tam był komunizm, więc nie ma zbyt silnej tradycji siedzenia i gadania, bo zawsze ktoś mógł cię podsłuchać i podpierdolić na Securitate, czyli ich odpowiednik Służby Bezpieczeństwa, a wtedy pozostaje już tylko samo siedzenie.

Spośród 300 przedstawicieli naszego regionu około 200 to byli Polacy, kolejne 50 Rumuni plus Bułgarzy, a pozostałe 50 to miks Litwinów, Łotyszy, Słowaków i trochę Ukraińców. Do tego dosłownie kilku Czechów i Węgrów. Podziały etniczne nie były może tak silne jak na riksach, bo w pracy często robiło się w ekipach mieszanych, natomiast czas wolny ludzie spędzali raczej z tymi, z którymi byli w stanie swobodnie porozmawiać – co jednak oznaczało na przykład, że Słowacy i Ukraińcy sporo czasu spędzali z Polakami. Problemy językowe zdarzały się powszechnie, bo nie wiem, czy na przykład wiecie, ale KURWA po polsku znaczy zupełnie coś innego niż po rumuńsku CURVA, czyli zakręt. O ile natomiast nie zdarzyło się, żeby jakiś Polak powiedział przy Rumunie KURWA, a ten przez pomyłkę skręcił, to zdarzyło się kilka razy, że Rumun powiedział CURVA, a Polak przez pomyłkę pobił go po ryju.

Opowiadając wam to wszystko, wybiegłem nieco w przyszłość, bo większości z tych rzeczy dowiedziałem się dopiero po pewnym czasie pracy na farmie, a jak na razie byliśmy dopiero co oprowadzani po okolicy przez pana Wojtkę i właśnie wchodziliśmy NA HALĘ, czyli do fabryki kapusty. Na początku hali stoi „surowa” kapusta, która przyjechała z pola. Następnie była sekcja zwana potocznie RZEŻNIĄ, gdzie kilka osób cięło główki kapusty nożami na średnie kawałki, żeby zmieściły się do maszyny. W niej kapusta szatkowana była na małe kawałki i płynęła tunelem z wodą dalej, przy okazji się myjąc. Dopływała sobie w ten sposób do SUSZARNI, czyli urządzenia wyglądającego trochę jak wielka pralka, do której z jednej strony pocięta kapusta wpadała mokra, w środku wirowała w metalowym bębnie, a potem wypadała na taśmociąg z drugiej strony już sucha. Jak podeszliśmy do tej maszyny, to pilnujący jej Polak przestrzegł nas, żebyśmy tylko nie wkładali łba do środka, żeby zajrzeć, bo jak jednego Słowaka kiedyś wciągnęło, to teraz jest, jak na ironię, warzywem.

Powiedziałem, że co nieco na ten temat wiem, bo u mnie w mieście jest farma agrestu, a ludzie to nie mają wyobraźni – żeby podkreślić, że ja mam i do takiej pracy bym się nadawał. Miało to być przygotowaniem gruntu pod moją propozycję, żebyśmy ja i Stomil mogli stać z tym typem i we 3 patrzeć, czy do maszyny nikogo nie wciąga, bo wydawało się to pracą przyjemną i mało wymagającą, przynajmniej dopóki nie trzeba wyciągać kogoś wciągniętego. Protektor maszyny powiedział jednak, że nasze kwalifikacje wynikające z

pochodzenia z Europejskiej Stolicy Agrestu nie mogą być na ziemi brytyjskiej uznane, bo agrest to owoc, a kapusta bądź co bądź warzywo.

W tej sytuacji poszliśmy z panem Wojtkiem jeszcze na magazyn, który wyglądał tak, jak możecie sobie wyobrażać, czyli pnące się pod sam sufit półki wypełnione kapustą, tiry, które po kapustę przyjechały, oraz wózki widłowe wożące kapustę między jednymi a drugimi. Praca na magazynie, jak w ogóle praca na hali – żeby nie wspomnieć o biurze, w którym kurwy dupy grzeją – była uznawana za o tyle prestiżową, że nie było się w niej wystawionym na czynniki atmosferyczne. Z tego powodu oczywiście trudniej było się do niej dostać i oprócz UKŁADU trzeba było mieć też uznany w UK kurs na wózki widłowe, którego my nie mieliśmy, dlatego pozostawało nam tylko pole.

Czym jest pole, nie muszę chyba zbyt obszernie tłumaczyć, bo z definicji jest to ziemia, na której coś rośnie – w tym przypadku kapusta. Co ciekawe, wbrew moim wcześniejszym wyobrażeniom kapusty nie sadi się tak jak zboża, że rozsypuje się kapuściane ziarna, a potem ona sobie wyrasta, tylko do ziemi wkłada się sadzonki, które wcześniej kilka tygodni podrosły w szklarniach na farmie obok. Dopiero potem, po umieszczeniu ich w polu, zaczynają one rosnąć, a następnie, gdy osiągną pełnoletniość, zbierane są przez mieszkańców Europy (głównie) Środkowo-Wschodniej. Zbiory przeprowadza ekipa zwana po angielsku GANGIEM. Gang to był traktorzysta z traktorem + supervisor + 8–10 osób z nożami do obcinania kapusty, więc właściwie tak samo jak na Hackney, gdzie też zawsze 10 typów z nożami stało wokół jakiejś maszyny, tylko tam częściej niż ciągnik John Deere była to osobowa honda civic. Ciągnik miał z tyłu zamontowany poprzeczny taśmociąg, który był od niego kilka razy szerszy. Za nim szli pickerzy, którzy odcinali nożami kapustę od ziemi, a potem wrzucali ją na ten taśmociąg, który zabierał kapustę na przyczepę. Takimi oto pickerami mieliśmy zostać ja i Stomil, i od tego czasu łączyć za traktorem.

Po odwiedzinach pola musieliśmy jeszcze pójść do biura i podpisać, że zapoznaliśmy się z przepisami BHP, co rzekomo miało miejsce, gdy pan Wojtek oprowadzał nas po farmie. Potem zostaliśmy zakwaterowani w holendrze z 6 typami, którzy akurat byli jeszcze w polu, więc nie mieliśmy okazji ich od razu poznać. Przedmioty osobiste leżące w domku wskazywały, że to w większości Polacy. Biorąc jednak pod uwagę, że poprzedzającej nocy przespaliliśmy łącznie z 4 godziny, nie czekaliśmy na powrót tych typów z pracy, tylko poszliśmy spać. Tym bardziej, że następnego dnia mieliśmy wstać do roboty skoro świt.

Pole

Przeciętny dzień pracy na kapuście wyglądał tak, że wstawało się o 6 rano, jadło śniadanie, ogarniało, a potem o 7 spotykało się ze swoim gangiem koło magazynu. Jak byli wszyscy, to robiło się kolejno odlicz, aby ten fakt znalazł potwierdzenie matematyczne, a potem jechało się w pole. Chwila gadki, jak traktorzysta sprawdzał maszyny, jak wszystko było ok, to załączał silnik i do roboty. Żeby nie było wątpliwości, zbieranie kapusty do ZAJEBIŚCIE ciężka praca. Pierwszego dnia pod koniec zmiany byłem bliski omdlenia, a Stomil prawie uciął sobie palec nożem od kapusty, bo ze zmęczenia się zagapił przy wycinaniu jej z ziemi. Przez pierwszy tydzień praktycznie non stop mieliśmy zakwasy, ale potem stopniowo zaczęło się robić coraz lepiej. Na pewno mieliśmy to szczęście, że mieliśmy całkiem spoko gang. Było dwóch Włochów, którzy nie znali słowa po angielsku, więc gadali tylko ze sobą, ale za to gadali tak ładnie, że nawet jak się nie znało włoskiego, to miło było posłuchać, i człowiek się czuł, jakby siedział w Neapolu w eleganckiej restauracji i jadł pizza italiana margarita na cienkim cieście, bo tam się tylko na takim cieście je. Był Rumun i Rumunka – on nie gadał o angielsku, ale ona tak, więc jak było trzeba, to go tłumaczyła. Była piątka Polaków, czyli ja, Stomil, taki Klaudiusz z Legnicy i państwo Ządkowscy, którzy byli po

pięćdziesiątce. Na państwa Ządkowskich składała się pani Ządkowska, będąca kobietą o złotym sercu, bardzo słusznej posturze i nadludzkiej sile, oraz Ządkowski, który był jej zupełnym przeciwieństwem. Pani Ządkowska kiedyś podobno była mistrzynią województwa rzeszowskiego w trójboju siłowym kobiet. Przy kapuście zapierdalała za dwóch, a czasami i za trzech, i nigdy nie zapomnę jej tego, jak kilka razy w ciągu naszych pierwszych dni pracy na farmie, kiedy już nie wyrabialiśmy kondycyjnie, to mówiła do mnie albo Stomila ODPOCZNIJ SOBIE SYNKU i zbierała przez chwilę za nas, żebyśmy mogli złapać oddech. Szczególnie że to, że coś powiedziała, było raczej wyjątkiem, bo była dosyć małomówna. Jej mąż natomiast był człowiekiem o szczurzej fizjonomii i charakterze, przypominającym oberlejtanta Von Nogaya z filmu „C.K. Dezerterzy”. Większość czasu pracy spędzał na podlizywaniu się panu Wojtkowi, który był naszym supervisorem, bądź na obrażaniu swojej żony na różne sposoby. Po pracy starał się przypodobać młodej farmowej patologii, typu bracia Tokarowie, o których powiem później. Robił to, stawiając im wóde, podlizując się werbalnie czy jadąc dla ich uciechy swojej żonie. Nie mam pojęcia, dlaczego Ządkowska była z Ządkowskim, bo rzadko zwracał się do niej inaczej niż KROWO czy DUPO WOŁOWA. To musiał być jakiś syndrom sztokholmski czy coś takiego, bo różnice fizyczne pomiędzy nimi były takie, że jak by raz za te obelgi go pizgła przez łeb, to typ padłby trupem, a jednak z jakiegoś powodu tego nie robiła.

Ostatnim członkiem naszego gangu i zarazem jego supervisorem był pan Wojtek, który pierwszego dnia oprowadzał nas po farmie. Przy pracy sporo nam o sobie opowiedział, a ja teraz opowiem to wam, bo to ciekawsza historia niż to, jak przez kilka tygodni podnosiliśmy kapustę z ziemi i wkładaliśmy na taśmociąg, bo mniej więcej tak upływało nam 90% czasu poza snem. Pan Wojtek mianowicie był człowiekiem, który 3 razy w życiu dorobił się wielkiego majątku i 3 razy go stracił.

JAK TRZY RAZY STRACIĆ MAJĄTEK

Pan Wojtek był spod Łodzi, gdzie jego stary był drobnym rzemieślnikiem – złotnikiem. Teraz możecie sobie to wyobrażać jako naprawianie zegarków i sprzedaż łańcuszków, ale w tamtych czasach (Wojtek miał z 60 lat, jak go poznaliśmy), czyli za komuny, to był podobno ultradochodowy prywatny biznes. Ojciec umarł, pan Wojtek przejął interes i fajnie wtedy było, ale miał większe oczekiwania wobec życia niż być zamożnym w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej: chciał mianowicie wyjechać na Zachód i pooddychać sobie tą słynną wolnością. Natomiast żeby dostać paszport, to musiał się nakombinować i wdał się w podejrzone interesy z jakimiś urzędnikami i milicjantami, na których szwagrów przepisał swój interes w zamian za tę przepustkę na wolność. Zapłacił tak drogo dlatego, że akurat wtedy był stan wojenny, więc tego typu przysługi bardzo podrożały. Tak oto stracił majątek po raz pierwszy, ale miał go szybko odrobić, bo w Wiedniu – dokąd wyjechał – zarabiano się miesięcznie 50 razy tyle co wtedy w PRL. Poszedł tam robić na budowę, gdzie symbolicznie kładł fundamenty pod istniejącą po dziś dzień tradycję pracy Polaków na emigracji na budowach. Przepracował tak kilka lat, aż pewnego dnia spadł z rusztowania i trafił do szpitala. Jak go już lekarze poskładali, to przyszli goście z Urzędu Imigracyjnego, bo w papierach wyszło, że wjechał do Austrii na okres do 6 miesięcy w celach turystycznych, podczas gdy 7 lat później uległ wypadkowi przy pracy zarobkowej, więc coś nie halo. Deportowali go do Polski, a on niespecjalnie mógł stawiać im jakiś opór, bo był cały zagipsowany. Natomiast to zagipsowanie miało również swoje dobre strony, bo w gipsie poupychał sobie wszystkie austriackie szylingi, które zarobił przez 7 lat na austriackiej budowie, bo wtedy jeszcze tam mieli szylingi, a nie euro.

Drugim obok zagipsowania szczęściem w nieszczęściu było, że deportacja odbyła się w roku 1989, który przełomowy był nie tylko ze względu na narodziny moje i Stomila, ale również na zakończenie komuny, przez którą pan Wojtek wyjechał z Polski. Zaczął się więc rozglądać za jakąś opcją na nowy biznes, aż w końcu w roku 1990 założył hurtownię sprowadzanej z Niemiec karmy dla zwierząt, bo wtedy podobno każdy zakładał jakąś hurtownię czegoś z Niemiec. Hurtownia szła zajebiście i już w 1995 pan Wojtek znowu był bogaty, mieszkał pod Łodzią i wszystko było elegancko. Natomiast w 1997 przyszedł do pana Wojtka jakiś miły pan i zaproponował, że będzie jego współnikiem. Pan Wojtek podziękował, ale nie. Wtedy miły pan sobie poszedł i na jego miejsce przyszedł niemiły pan i zaproponował to samo, tylko we właściwy dla siebie niemiły sposób. Jemu pan Wojtek też podziękował, a 3 dni później cała hurtownia mu się spaliła. A jak poszedł do ubezpieczyciela po pieniądze z polisy, to okazało się, że ubezpieczyciel miesiąc wcześniej zbankrutował, tylko jakoś zapomnieli o tym panu Wojtkowi powiedzieć. Zbankrutował pewnie dlatego, że w tamtych czasach podobno cały czas coś się komuś spalało i nie nadążali z wypłacaniem za to odszkodowań. A pan Wojtek drugi raz został z niczym.

Pojechał więc do roboty do Niemiec, gdzie podjął się pracy w fabryce karmy dla psów, którą załatwili mu dawni partnerzy biznesowi, bo to była ta sama karma, którą handlował w u siebie w hurtowni. Można więc powiedzieć, że karma wraca, hehe. Z 7 lat robił w tej fabryce, aż odłożył sporo marek niemieckich, a potem euro, bo akurat w czasie jego emigracji była zmiana waluty. Z tymi euro wrócił do Polski mniej więcej wtedy, jak wchodziliśmy do UE. Miał ciągle trochę tej ziemi koło Łodzi, na której kiedyś stała jego hurtownia. Postanowił wykorzystać jej strategiczne położenie, bo tereny były tuż przy drodze krajowej numer 72, i założyć tam kompleks drogowo-zajazdowy, czyli postawić stację paliw, restaurację i pensjonat. Oczywiście nawet w niemieckiej fabryce przez 7 lat nie zarabia się tyle, żeby to wszystko sobie kupić za gotówkę, więc musiał wziąć z banków kredyty pod zastaw posiadanej przez siebie ziemi. Bank dał się do tego pomysłu przekonać i już prawie finalizował z panem Wojtkiem formalności, więc ten włożył już wszystkie przywiezione z Niemiec euro w przygotowywanie działki pod budowę, żeby już coś się działo. Natomiast robienie fundamentów, doprowadzanie energii i wszystkich innych takich rzeczy pod tak dużą inwestycję jest bardzo drogie, więc część z wykonawców pan Wojtek miał spłacić, już jak dostanie kredyt z banku, bo tych jego euro w gotówce na to nie starczyło. Wszystko szło bardzo dobrze aż do momentu, gdy Generalna Dyrekcja Krajowych Dróg i Autostrad nie ogłosiła, że obok będzie szła autostrada. Nie byłoby to nic złego, gdyby nie to, że OBOK oznaczało 10 kilometrów dalej, a przecież nikt nie będzie zjeżdżał 10 kilometrów w bok od autostrady, żeby zalać ropy i zjeść hot doga na stacji czy schabowego z ziemniakami i kapustą w zajeździe SARMATA, bo pewnie tak by się ten zajazd nazywał. Również z tego samego powodu wszyscy ludzie, którzy niegdyś jeździli tą trasą, teraz jeżdżą autostradą A2 – no chyba że jakiś mieszkaniec Łodzi jedzie w odwiedziny do Rawy Mazowieckiej, ale takich osób jest raczej niewiele. Bank w ostatniej chwili wycofał się z całego interesu, ziemia pana Wojtka stała się gównem warta, a za niepospłacane zobowiązania firmy budowlane, co kładły fundamenty pod stację i zajazd, nawet tę gówno wartą ziemię mu zabrali. W ten oto sposób pan Wojtek stracił wszystko po raz trzeci, po czym wyjechał pracować do UK, bo akurat tutaj wtedy wszyscy wyjeżdżali, bo się otworzył rynek pracy. Siedział tutaj już 5 rok, a żeby oszczędzić 400 000 złotych, które według swoich wyliczeń potrzebował, musiał posiedzieć jeszcze z 2 lata. Oszczędzał natomiast na to, żeby na starość wrócić do Polski i otworzyć sobie jakiś nieduży zakład złotniczy, bo na tym fachu cały czas się znał, chociaż od lat go nie praktykował. Gdy zauważyłem, że to pewna ironia losu, bo przecież nieduży zakład złotniczy już miał na początku lat 80., więc mógł od tego czasu nic nie robić, to pan

Wojtek powiedział, że wie, ale niczego w życiu nie żałuje. Może poza tym, że przez te różne emigracje i ciągłą pracę całe życie spędził sam, ale w gruncie rzeczy jeszcze taki stary nie jest i jak wróci do Polski i znowu zostanie złotnikiem, to sobie pojedzie do sanatorium i może jakąś panią pozna.

Ostatnim członkiem naszego gangu był Antanas, czyli Litwin, kierowca traktora, za którym chodziliśmy, ale siłą rzeczy nie miałem z nim zbyt dużo kontaktu, bo oddzielała nas przyczepa na kapustę i taśmociąg, który hałasował.

Po przeciętnym dniu przy zbieraniu kapusty następował przeciętny wieczór w domku holenderskim, czyli prysznic, kolacja, czasami telefon do domu, obejrzenie filmu czy piwko ze współlokatorami i spać, bo o 6 trzeba wstać. Szczerze mówiąc, te wieczory były tak monotonne, że nie ma o nich zbytnio co opowiadać, bo wszystkie zlewają się w jeden. Podobnie jak nasi współlokatorzy z domku, o których również nic ciekawego nie mogę powiedzieć, poza tym, że jeden starszy gość miał cały łeb siwy, a wąsy żółto-brązowe od ciągłego palenia szlągów, i z tego powodu miał ksywkę RUDY, bo jak się dobrze człowiek przyjrzał, to te wąsy przy odpowiednim oświetleniu wpadały momentami w odcienie pomarańczowego.

Ciekawiej było w weekendy, bo w soboty pracowaliśmy trochę krócej i był czas na wyprawę do miasteczka obok po zakupy. Potem wieczorem zazwyczaj się coś hehe dziabnęło, w niedzielę się odpoczywało, grając w ping ponga, czytając książki, dzwoniąc do rodziny czy w niektórych przypadkach kontynuując picie browarków.

Będąc już po robocie, w pewne sobotnie popołudnie zdecydowałem się w końcu podłączyć telefon do ładowania, czego od kilku dni nie robiłem, bo i tak był mi tutaj niepotrzebny. Trochę się podładował, włączam, a tam 20 nieodebranych od matki, więc już było wiadomo, że jakaś gruba opcja – po pierwsze, że tyle nieodebranych, a po drugie, że dzwoni, pomimo że wtedy roaming był po 8 złotych za minutę, więc wcześniej to głównie sobie wysyłaliśmy sms-y. Moja pierwsza myśl to była, że Jezus Maria, ojciec umarł. Oddzwaniam spanikowany, na samym początku opierdol od matki, dlaczego 3 dni nie odbieram i ona już myślała, że to ja umarłem. Trochę mnie ten opierdol uspokoił, bo jak by rzeczywiście stało się coś z ojcem, to matka byłaby pogrążona w żałobie i tak nie krzyczała. Jak już się uspokoiła, to mówi, że są dwie fantastyczne wiadomości.

Po pierwsze, że ona sprawdzała w tym internetowym systemie, w którym się sprawdza, czy się dostało na studia, i okazuje się, że się dostałem – co prawda z listy rezerwowej, ale zawsze. Nie chcę zdradzać, na jaki konkretnie kierunek studiów poszedłem, ale powiem tylko, że to jeden z tych kierunków humanistycznych, o których jeszcze te 10 lat temu ludzie myśleli, że będzie po nich praca, a teraz wiedzą, że jednak nie było. Ja oczywiście też wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, więc też się cieszyłem.

Po drugie natomiast to nie miałem wyjeżdżać do Warszawy sam, bo dzień później okazało się, że matka dostała robotę w MINISTERSTWIE – może na niezbyt wysokim stanowisku, ale jednak W MINISTERSTWIE. Wolałbym nie mówić w którym, ale powiem tylko, że było to tak, że jej koleżanka ze studiów z Warszawy tam trafiła na jakąś prominentną posadę i zadzwoniła do mojej matki, że jej tam potrzebuje, bo ona jeszcze ze studiów pamięta, że mojej matce można zaufać. Nie znałem mojej matki na studiach, ale znam ją teraz i się z tym zgadzam. Nawet mój ojciec podekscytował się tą perspektywą, bo mieszkanie w Warszawie dawało mu większe możliwości rozwoju jego kariery politycznej niż rozdawanie ulotek jakichś lokalnych bonzów, co mają 19. miejsce na liście wyborczej. Wynika to z tego, że w Warszawie to na każdym skrzyżowaniu można spotkać jakiegoś Tuska, Kaczyńskiego albo chociaż Waldemara Pawlaka, wykazać się przed nim i już człowiek trafia do wielkiej polityki. Entuzjazm ojca dało się usłyszeć nawet w UK, bo jak gadałem z matką przez

telefon, to on w tle łąził po pokoju i podśpiewywał piosenkę WARSZAWA DA SIĘ LUBIĆ. Wychodziło więc na to, że przeprowadzamy się do stolicy we trójkę, co było dla mnie o tyle dobre, że nie musiałem sam dla siebie wynajmować pokoju czy mieszkania. Poszedłem pochwalić się Stomilowi, który akurat grał w ping ponga na świetlicy. Było oczywiste, że to już potrójny kombos, bo po pierwsze awans matki, po drugie studia, a po trzecie jest sobota, no to wiadomo, trzeba coś wypić. Wzięliśmy plecaki i poszliśmy na wyprawę spedycyjno-logistyczną do pobliskiego miasta.

Slowford

Położone najbliżej farmy miasto, do którego było 5 kilometrów ścieżką na skróty przez pole albo z 8 kilometrów szosą naokoło, powinno nazywać się Slowford, bo wiało tam chujem. O ile Londyn to, jak wiadomo, jedna z najważniejszych metropolii na świecie i obecna stolica nieobecnego imperium, to Slowford nie było prawdopodobnie nawet trzecią najważniejszą metropolią w powiecie, który po angielsku nazywa się COUNTY. Żeby dostać się do miasta od strony pola kapusty, trzeba było najpierw przedostać się przez tory kolejowe, korzystając z tak zwanego dzikiego przejścia. Ryzyko było, bo pociągi faktycznie przez Slowford jeździły. Natomiast pomimo tego, że była tam stacja, to się nie zatrzymywały. Kilka lat wcześniej lokalną linię kolejową przejęła prywatna korporacja, znana wcześniej głównie z prowadzenia sieci: z jednej strony sieci telefonii komórkowej, z drugiej strony sieci klubów fitness. Specjaliści tej korporacji wyliczyli, że biorąc pod uwagę, jak sprawy się w Slowford mają, nie opłaca się wyhamowywać pociągu, żeby zatrzymał się na stacji, a następnie od nowa go rozpędzać, bo zużywa to zbyt dużo energii w stosunku do ludzko-pasażerskiego potencjału miasta. Pociągi po prostu przecinały Slowford bez zwalniania, na drodze pomiędzy jedną a drugą większą miejscowością. Z punktu widzenia mieszkańców lepiej by chyba było, żeby linię całkowicie zlikwidowano, bo w tej sytuacji każdy przejeżdżający skład kolejowy był dla nich jak policzek, przypominający, że ekspercki algorytm uznał ich niegodnymi postoju pociągu. W dodatku przejeżdżając przez miasto, składy przepisowo wydawały ostrzegawczy sygnał dźwiękowy, na który mieszkańcy reagowali splunięciami bądź mamrotanymi pod nosem przekleństwami skierowanymi do władz korporacji kolejowej. Natomiast według relacji miejscowych przynajmniej część zaoszczędzonej na postojach pociągu energii firma zainwestowała w budowę nowego masztu telefonii komórkowej, bo podobno od czasu zlikwidowania połączenia zasięg tej sieci bardzo się poprawił. W tym przypadku trzeba przyznać, że rynek niejako sam się wyregulował, bo lepszy zasięg komórek pozwolił na utrzymywanie kontaktów z tymi bliskimi i przyjaciółmi, których nie dało się już odwiedzać tak często jak kiedyś z powodu braku połączenia kolejowego. Natomiast prawdopodobnie z tego samego powodu w Slowford nie powstał klub fitness tej samej firmy, bo nieobecność pociągów skłaniała do długich spacerów, marszobiegów czy joggingu – kto płaciłby kilkadziesiąt funtów miesięcznie za możliwość korzystania z bieżni na siłowni, skoro to samo miało się za darmo za każdym razem, gdy chciało się odwiedzić szpital czy urząd skarbowy w miejscowości obok.

Po przejściu przez tory wchodziło się bezpośrednio na PLAC, który z jednej strony miał nieczynną już stację kolejową, z drugiej Tesco, z trzeciej parterowy budynek usługowo-handlowy, w którym była poczta, urząd pracy, pub i kilka fast foodów, a z czwartej strony nie było nic, w sensie była ulica. Na środku placu był natomiast parking samochodowy. Dookoła parkingu siedzieli wszyscy mieszkańcy Slowford, podzieleni na ekipy: młodzież bliżej stacji kolejowej, emeryci w okolicach pubu, bo ich było stać, menele pod Tesco i tak dalej. Opisywana przeze mnie na Hackney polityka multikulturalizmu tutaj nie odniosła aż tak spektakularnych sukcesów (lub nie poniosła porażek – w zależności od poglądów na tę

politykę), bo w Slowford nie była po prostu realizowana, co dało się poznać po tym, że jakieś 99% mieszkańców miasta stanowili biali Brytyjczycy. Jedynym wyjątkiem, jaki widziałem, był jeden taksówkarz o pochodzeniu pakistańskim, który swoją drogą poza byciem jedynym Pakistańczykiem (czy też Brytyjczykiem o korzeniach pakistańskich) w Slowford był również jedynym taksówkarzem. Sądzę, że pojawienie się w ciągu kilku lat kilkuset przybyszów z Europy Środkowej, Wschodniej i Środkowo--Wschodniej na farmie obok jego miejscowości było w jego życiu przełomem, bo w końcu i on miał okazję, żeby po kimś sobie pocisnąć, bo wcześniej pewnie pozostałych 99% mieszkańców miasta cisnęło po nim. W soboty do Tesco ciągnęły z naszej farmy prawdziwe pielgrzymki i na przykład między 18:00 a 20:00 przez supermarket przewijało się 200 Polaków, Rumunów, Litwinów i Hiszpanów, zaopatrujących się zarówno na nadchodzący wieczór, jak i cały następny tydzień. Ludzie wychodzili z Tesco obciążeni siatkami, z którymi trzeba było przejść jeszcze 5 kilometrów przez pola. Ten taksówkarz stał przy samym wyjściu z Tesco i w przedrzeźniający sposób namawiał wychodzących, żeby dali się zawieźć z zakupami z powrotem na farmę taksówką – czego oczywiście nikt nie robił, bo każdemu było szkoda te 20 czy 30 funtów, więc wszyscy odmawiali. Spotykając się z odmową, taryfiarz krzyczał do meneli, którzy też siedzieli przy wyjściu z Tesco PATRZCIE, WOLĄ GODZINĘ IŚĆ Z SIATAMI PRZEZ BŁOTO ZAMIAST SIĘ PRZEJECHAĆ SAMOCHODEM ZA 20 FUNTÓW, A POTEM TE PIENIĄDZE WYSYŁAJĄ DO SIEBIE ZA GRANICĘ! Tak jak pewnie 20 lat za nim krzyczało 99% homogenicznych etnicznie mieszkańców miasta.

To właśnie w sobotnie wieczory sytuacja była najbardziej napięta, bo dookoła parkingu siedzieli dosłownie wszyscy mieszkańcy Slowford, w większości przynajmniej lekko najebani, bo nie było zbytnio co innego robić. W tym samym czasie do supermarketu schodziły się dziesiątki, a czasami i setki pracowników farmy, którzy następnie wychodzili, dzierżąc siatki wypełnione różnymi dobrami, kupionymi za pieniądze pozyskane z pracy ukradzionej obserwującym ich miejscowym. Co bardziej spragnieni farmerzy też nierzadko odpalali jakąś flaszkę z Tesco tuż po wyjściu, a piwka na drogę przez pole brał właściwie każdy. Najbardziej doświadczeni robili tak, że jak chcieli dużo wypić, a nie chcieli dużo nosić, to najpierw pili na parkingu, a potem dokupywali jeszcze zapas do domu i tym sposobem musieli nieść ze sobą tylko połowę. No a jak wiadomo, alkohol + taki parking = nieszczęście, bo jeszcze w dodatku obydwie strony miały poczucie krzywdy. Miejscowi, że im skradziono pracę, marzenia i pociągi. Przyjezdni ogólne pretensje dziejowe: że my ich broniliśmy w czasie bitwy o Anglię, a oni nas sprzedali w Jalcie, i przez to my tutaj musimy wydzierać z obcej ziemi kapustę po 10 godzin dziennie przez 6 dni w tygodniu, żeby zarabiać na zasiłki dla tych leniwych Angoli, co cały tydzień siedzą z browarami dookoła parkingu, a my możemy to robić tylko w weekendy. Chyba zrozumiałe jest, że w tej sytuacji pojawiały się tak zwane KOMENTARZE, które mają to do siebie, że w sobotnie wieczory lubią przeistaczać się w czyny, dlatego w tej właśnie porze dnia i tygodnia na parkingu zawsze stał patrol policji i pilnował porządku – zresztą nawet gdyby porządek stanowił się samoistnie, to i tak pewnie by tam stali, bo niespecjalnie było gdzie. Ten patrol podobno ustawili po wielkiej awanturze, która była rok albo dwa lata wcześniej. Według Polaka, który mi to opowiadał jako pierwszy, to 10 Anglików zaczęło bić przechodzącą sobie spokojnie Słowaczkę, a wtedy z Tesco wyleciało 3 Polaków i tym 10 Anglikom najebało. Według jednego Bułgara ode mnie z gangu od kapusty to 15 Anglików chciało okraść Rumunkę, a wtedy 2 przechodzących obok Bułgarów stanęło w jej obronie i najebało tym Anglikom do nieprzytomności. Natomiast według jednego Anglika z magazynu, z którym raz paliłem szluga, to w rzeczywistości było tak, że 20 Litwinów chciało zgwałcić Angielkę, ale wtedy przyleciał jeden Anglik i naczelnemu gwałcicielowi zapierdolił tak, że tamten padł na miejscu trupem, a poboczni

gwałcicie, jak to zobaczyli, to wszyscy uciekli. No ale że niestety ten typ teraz siedzi za tego Litwina, bo mu to zakwalifikowali jako przekroczenie granic obrony koniecznej. Którakolwiek wersja nie byłaby prawdziwa, to kobiety wszystkich nacji mogły z pewnością czuć się w Slowford bezpieczne.

Jednym słowem w tym angielskim mieście było tak chujowo jak w moim rodzinnym mieście 10 000–19 999 mieszkańców. Jeden większy supermarket, trzy restauracje (pizza, burger, kebab), trzy sklepy monopolowe, trochę młodzieży pozbawionej perspektyw i sporo starszych ludzi wspominających, że KIEDYŚ TO BYŁO. Największa na pierwszy rzut oka różnica istniejąca wtedy pomiędzy Slowford a moim miastem to to, że u nas nie było imigrantów zarobkowych, tylko emigranci. Natomiast gdy w zeszłym roku byłem przejazdem w swoim mieście 10 000–19 999, to dowiedziałem się, że $\frac{3}{4}$ zatrudnionych w KOŁCHOZIE, czyli na farmie agrestu, to imigranci zarobkowi z Europy Wschodniej (bez Środkowo). A dowiedziałem się tego od typów, co siedzieli z browarami pod Biedronką i wkurwieni obcinali tychże imigrantów robiących zakupy po całym tygodniu zapierdalania. Słuchając tych bejów narzekających na SZOSZONÓW, uświadomiłem sobie, że oto w Polsce dokonuje się awans cywilizacyjny. Jak jeszcze tylko u nas w mieście robią Ubera – a będzie tylko jeden na całe miasteczko, bo na więcej raczej nie ma popytu – którego kierowcą będzie jakiś Pakistańczyk, tak jak w Warszawie, to rzeczony awans cywilizacyjny się dopełni i nikt do nikogo już nie będzie miał żalu o bitwę o Anglię i Jaltę. Będzie można bez kompleksów zasiąść pod supermarketem i sączyć browarki z krajami Europy Zachodniej (absolutnie bez Środkowo).

Pogrom

Ze Slowford wróciliśmy ze Stomilem na farmę koło 18:00. Wchodząc na OSIEDLE, łamane przez OBÓZ, najpierw przechodziło się przez dzielnicę klasy wyższej, czyli tych, którzy mieszkali we własnych przyczepach i kamperach. Idąc tamtędy, słyszymy nagle jakichś typów kłócących się po polsku, a jeden z głosów wydawał mi się znajomy
WYLICYTOWAŁEŚ PAN NA E-BAYU, TO TERAZ PAN PŁAĆ! Z DOSTAWĄ DO DOMU
PAN DOSTAŁEŚ, JAK BYŁO UMÓWIONE!
UMÓWIONY BYŁ KAMPER W IDEALNYM STANIE TECHNICZNYM!
NO I JEST!
TO DLACZEGO JAK SIĘ W LEWO KRĘCI, TO W PRAWO SKRĘCA!
NIE BĄDŹ PAN DEBIL! BO JESTEŚMY W ANGLII, A TUTAJ NA DROGACH JEST
ODWROTNIE – PRAWA PO LEWEJ, A LEWA PO PRAWĘJ.

Wychodzimy zza rogu, a przed nami stoi kilku typów, do których te głosy należały, a pośród nich dobrze znani mi Szuki i Wano, z którymi jakiś gość właśnie zerwał negocjacje, mówiąc, że on to pierdoli, a następnie zamykając się w swojej przyczepie kempingowej.

Ja miałem w sobie więcej entuzjazmu wobec nich, bo aż ich uściskałem i się pytam, skąd oni się wzięli na tym zadupiu u nas. Cyganie też nie mogli nadziwić się temu zbiegowi okoliczności, więc przystępują do tłumaczenia.

Tego kampera, którym jechaliśmy do UK, to udało im się sprzedać, zanim w ogóle dojechali do Bristolu, jakiemuś losowemu facetowi na parking, któremu tam wpadł w oko, bo jak wiadomo, stan igła, miał prawo się spodobać. Co ciekawe, typ podobno był z Niemiec, z okolic Hanoweru, skąd kamper właśnie przyjechał, więc nawet nie trzeba było przekładać kierowcy, bo on podobnie jak jego nowy pojazd w UK był tylko na chwilę w celach turystycznych. Podobno jeszcze się cieszył, że nie będzie musiał płacić niemieckiego podatku, bo samochód kupiony na terytorium Wielkiej Brytanii czy coś takiego. Z dodatkową

gotówką Szuki i Wano pojechali dalej do Bristolu, gdzie tak, jak planowali, kupili drugiego kampera, którego zamierzali przywieźć na handel do Polski. Jednak wbrew ich planom, gdy ich kuzyn-mechanik próbował przesunąć kierownicę z prawej strony samochodu na lewą, przystosowując tym samym pojazd do ruchu prawostronnego, wyszły niespodziewane komplikacje. Było to mianowicie najwidoczniej trudniejsze niż przełożenie całego układu kierowniczego pomiędzy dwoma kaperami, a do tego okazało się, że kuzyn z tym pięcioletnim doświadczeniem w warsztacie samochodowym to trochę przyfantazjował, bo owszem, na początku pobytu w UK pracował jako mechanik, ale po kilku miesiącach go zwolnili i od tego czasu miał się tak zwanych prac dorywczych. W każdym razie, jakie by tam jego CV nie było, to przeróbki mechaniczne skończyły się tak, że kamper owszem, miał kierownicę po lewej, europejskiej stronie, ale gdy kręciło się nią w prawo, to jechał w lewo, a jak kręciło się w lewo, to jechał w prawo. Za chują nie byli w stanie tego naprawić, więc stwierdzili, że go wystawią na aukcję w Internecie, uczciwie dopisując w ogłoszeniu, że jeździ po lewej zamiast po prawej – co mogło być jednak różnie interpretowane. No i tak się niesamowicie złożyło, że tego kampera kupił jeden supervisor od nas z farmy, który do tej pory mieszkał w zwykłej przyczepie, ale teraz się już dorobił i zdecydował na przeprowadzkę do lepszego lokalu.

Pytam chłopaków, jak im się kurwa udało dojechać z Bristolu na drugi koniec kraju samochodem, który jeździ w przeciwną stronę, niż się skręca kierownicą. Wano tłumaczy, że owszem, na początku było ciężko i kilka razy wylecieli na pobocze, ale potem wymyślili taki patent, żeby prowadzić auto z rękami skrzyżowanymi na kierownicy. Może niektórzy z was kiedyś próbowali robić to, jeżdżąc na rowerze. Chodzi o to, że jeżeli położy się ręce na kierownicy na krzyż, to gdy ciągnie się lewą ręką, to kierownica skręca w prawo, a jak prawą ręką, to w lewo. Dzieje się tak, bo nasze mózgi zakodowują się w ten sposób w momencie, gdy uczymy się rower czy samochód prowadzić – robi się to intuicyjne. Z tym krzyżowaniem rąk to raczej taka ciekawostka, zabawa dla dzieciaków, jak się chce podpuścić kolegę, żeby powiedział NO PRZECIEŻ TO PROSTE JECHAĆ ZE SKRZYŻOWANYMI RĘKAMI, a potem się wypierdolił, bo to proste jednak nie jest. Natomiast w przypadku cygańskiego kampera było to rozwiązanie idealne, bo to zakodowanie mózgowe w pewnym sensie niwelowało błąd mechaniczny w układzie kierowniczym: ciągnąłeś kierownicę lewą ręką, a ona wtedy skręcała w prawo, ale koła skręcały w lewo, więc wszystko było jakby normalnie. Teraz już ostatnim problemem pozostawało przekonanie potencjalnego kupca do takiego stylu jazdy. Szuki i Wano postanowili podjąć jeszcze jedną próbę przemówienia mu do rozumu, a ja wytłumaczyłem, gdzie potem znajdą nasz domek, żeby przyszli z nami wypić po jednym, bo jest okazja.

Nasza dalsza trasa do domu wiodła koło magazynu, gdzie zobaczyliśmy grupę ludzi obserwujących nietypowe zawody. W kółku utworzonym przez kilkunastu widzów stała pani Ządkowska, jej nikczemny mąż oraz bracia Tokarowie, o których wcześniej obiecywałem opowiedzieć, więc już to robię.

Bracia Tokarowie to były największe kurwa chamy na całej farmie. Było ich trzech: Aleksander „Olo” Tokar, Bolesław „Bolo” Tokar i Jarosław „Jaro” Tokar. Podobno nie byli bliźniakami i było pomiędzy nimi kilka lat różnicy, ale wyglądali prawie identycznie. Zwrot ZAKAZANY RYJ musiał stworzyć człowiek, który ich znał, nie ma innej opcji. Gdyby bracia Tokarowie żyli w czasie drugiej wojny, to zajmowaliby się zawodowo sprzedawaniem hitlerowcom Żydów za wódkę. Gdyby żyli za komuny, to zajmowaliby się pałowaniem internowanych solidarnościowców za wódkę. Jako że żyli na początku XXI wieku w UK, to zajmowali się wymuszaniem pieniędzy na wódkę od rodaków z farmy kapusty. Wszyscy trzej byli w jednym kapuścianym gangu, w którym poustawiali wszystko tak, że w ogóle nic nie

pracowali, tylko cały dzień siedzieli na polu pod drzewem, palili szlugi i pili litewskie ćwiartki, które kupowało się u takiego jednego Litwina z magazynu. Pozostałe 7 osób z gangu – swoją drogą rodacy – musiało zapierdalać za nich, bo wszystkich zastraszyli tak, że nawet supervisor bał się im sprzeciwić. Zastraszanie akurat przychodziło im łatwo, bo byli schabami po 120 kilo i te 8 miesięcy w Polsce, których nie spędzali na kapuście w UK, przesiadywali pewnie ciągle na jakiejś osiedlowej siłowni, żrąc sterydy. Przez kilka tygodni mojej pracy na farmie kilkakrotnie widziałem, jak dopierdalali się do różnych ludzi o jakieś głupoty. Raz też jednym Słowakiem wytarli podłogę na świetlicy za to, że niechcący trafił piłeczką od ping ponga w łysy łeb któregoś z braci Tokarów – trudno powiedzieć którego, bo trudno ich rozróżnić. Było to dla Słowaka o tyle upokarzające, że patrzyło na to z 50 obecnych na świetlicy osób, w tym jedna panna Słowaczka, która mu się podobno podobała. Swoją drogą z tych 50 osób ona jedyna zareagowała, bo wszyscy inni się bali, ale Tokarowie kazali jej spierdalać i zbyt wiele nie mogła już zdziałać.

Biorąc pod uwagę charakter Tokarów, nie było niczym dziwnym, że szczura Ządkowskiego tak do nich ciągnęło, bo był taką samą mendą, tylko nie miał predyspozycji do gnębienia kogokolwiek poza swoją własną żoną (do tego predyspozycji zresztą też nie miał, ale jakimś cudem mu to jednak wychodziło). W tej sytuacji mógł za to patrzeć, jak oni gnębią innych, i czuć się trochę tak, jakby to on gnębił, poprzez utożsamianie się z Tokarami. Jest zjawiskiem potwierdzonym naukowo, że takie kanalie lubią się poczuć członkami grupy silniejszej, której silniejszość jest najlepiej widoczna przy skonstrastowaniu go z grupą słabszą, zazwyczaj poprzez napierdalanie jej. Zostawmy natomiast dywagacje na temat psychiki mendi Ządkowskiego i bydłaków Tokarów i wróćmy do zawodów pod magazynem. Zawody polegały na tym, że typy z magazynu wystawiły kilka skrzynek kapusty, które zostały ustawione jedna na drugiej. Następnie pani Ządkowska, dosyć ewidentnie przymuszona do tego przez swojego męża, próbowała je podnosić na zmianę z Jarusiem Tokarem. No po prostu takie zawody w martwym ciągu pomiędzy Ządkowską a Tokarem, tylko zamiast sztangi były skrzynki z kapustami. Jedna dojrzała kapusta waży 4–5 kilo i wiem to bardzo dobrze, bo codziennie podnosiłem takich setki. Do skrzynki mieści się średnio 6 kapust mniejszych, czterokilowych, lub 5 kapust większych, pięciokilowych. Jak już co bystrzejsi zdążyli policzyć, oznacza to, że przeciętna skrzynka z kapustą waży około 25 kilo. Jak przyszliśmy, to pani Ządkowska dźwignęła właśnie 6 skrzynek, wyrównując rekord Tokara wynoszący 150 kilo. Ten zamruczał coś pod nosem, bo ci neandertale głównie w taki sposób się komunikowali, jebnął grzdyla wody, bo pomiędzy zebranymi na turnieju krążyło już kilka flaszek, bo w końcu sobota wieczór, i załadował 7 skrzynkę – 175 kilo. Pośród kibiców przeszedł szmer podziwu, a Tokar złapał skrzynki, napiął się, poczerwieniał na ryju, ale podniósł. Teraz kolej Ządkowskiej, szarpie je z ziemi, jak może, publiczność kibicuje, krzycząc DA-WAJ, DA-WAJ, DA-WAJ, tylko jej mąż jej ciśnie, że WEŻ SIĘ PRZYŁÓŻ KOBYŁO JEBANA, BO PIENIĄDZE PRZEGRAM – bo widocznie się z Tokarami założył. Jest, podniosła, zgromadzeni wiwatują we wszystkich językach Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej. Jarowi Tokarowi mina trochę zrzędła i ładuje 8 skrzynkę – 200 kilo. Złapał się za to, ciągnie, ciągnie, łeb mu zaraz chyba eksploduje, ale nie idzie. Brat do niego wtedy krzyczy NO DAWAJ, NIE BĄDŹ PIZDA. To widocznie Jara zmotywowało, bo podniósł, ale jak dla mnie, to do końca nie wyprostował kolan, jednak życie mi było jeszcze miłe, więc mu tego nie wytykałem. Natomiast jak odchodził od skrzynek, to najwidoczniej nogi mu odmówiły posłuszeństwa, bo nagle się wypierdolił na ziemię i bracia musieli go podnosić. Dobra, nadchodzi chwila prawdy, kolej na Ządkowską. Złapała skrzynki, mocuje się z nimi, ciągnie w górę, ile wlezie, ale niestety widać, że nie da rady. Wtedy jej szczurzy mąż, będąc już świadomy porażki, podszedł do niej od tyłu i krzyknął ESZ TY KURWA i

kopnął ją w postawną dupę, która była wypięta, jak to zazwyczaj jest wtedy, gdy coś się próbuje podnieść. Pani Ządkowska się wywaliła do przodu na te wszystkie skrzynki, które siłą rzeczy i grawitacji pospadały na ziemię, wysypując z siebie całą kapustę. Zajście to nie rozbawiło nikogo poza Tokarami, którzy chwilę porechotali, ale potem pogrozili Ządkowskiemu palcem i powiedzieli, że do końca dnia ma mieć pieniądze. Ten coś zamruczał wkurwiony pod nosem, ale niezbyt głośno, bo jemu też życie było miłe. Potem już głośniejszym, najwidoczniej, aby dodać sobie kurażu, powiedział PIERDOŁĘ TO, IDE SE ĆWIARTKĘ KUPIĆ i zniknął w głębi hali, gdzie można było znaleźć tego Litwina, co ćwiartki sprzedawał. Upokorzona przez męża pani Ządkowska na kolanach zbierała rozsypaną kapustę do skrzynek i był to widok tak przykry, że już nie chcieliśmy na to patrzeć, tylko z pozostałymi kibicami rozeszliśmy się do swoich domków.

Poza incydem na zawodach pod magazynem to na OSIEDLU atmosfera panowała raczej szampańska, jak to zazwyczaj w sobotę wieczór. Ze Stomilem usiedliśmy u nas w domku i odpaliliśmy flaszkę dla uczczenia dostania się przeze mnie na studia oraz awansu życiowego mojej matki. Zaraz przysiadło się dwóch naszych współlokatorów z browarkami, a po chwili przyszedł jeszcze ten typ z rudym wąsem od palenia, postawił na stół pół litra od siebie i powiedział, że słyszał, że się na studia dostałem, i on gratuluje i z nami to chętnie uczci. Wszystko fajnie, zaczął się robić taki przyjemny ciepły wieczór, ludzie chodzili odwiedzać znajomych albo na świetlicę, gdzieś tam organizowano jakieś okolicznościowe domówki-holenderki i ogólnie było sympatycznie. A jak jest sympatycznie, to wiadomo, że czas szybko mija, i ani się nie obejrzeliśmy, a już była 21, czyli godzina, o której zamykają halę i magazyn. Szuki i Wano jeszcze nie przyszedli, ale założyliśmy, że albo jeszcze negocjują z tym supervisorem, co miał kupić kampera, albo już udało im się dobić interesu, tylko jeszcze go uczą, jak prowadzić ze skrzyżowanymi rękami.

Nagle przed domkiem słyszymy jakieś niepokojące hałasy, wychodzimy wszyscy na zewnątrz sprawdzić, co się stało, a tam alejką pomiędzy domkami leci jakiś spanikowany typ i krzyczy LUDZIEEEEE, LUDZIEEEEE, NA HALI CZŁOWIEKA ZABILI!!! No to biegniemy wszyscy na halę, zresztą podobnie jak chyba większość mieszkańców osiedla, bo pod wejściem zrobił się już pokaźny tłum, bo każdy chciał się dowiedzieć, co się tak właściwie stało. Nagle z wnętrza hali wychodzi kilku mężczyzn, którzy w różnych językach Europy Środkowej i Wschodniej krzyczą PRZEJŚCIE, ZRÓBCIE PRZEJŚCIE! i wynoszą nieżywego, a przynajmniej nieprzytomnego Ządkowskiego. Wszyscy pracownicy farmy w głębokim szoku. Bezwiednie uformowany kondukt zaczął go odprowadzać do bramy. W tym czasie nam udało się wypytać jednego typka pracującego na hali, co tam się właściwie odpiardoliło, a on powiedział, że jak kończyła się zmiana i już halę sprząтали i mieli ją zamykać, to Ządkowskiego znaleźli w tym wielkim bębnie, co odwirowuje kapustę w celu osuszenia. Podobno tak się tam zakleszczył, że musieli rozkręcać całą maszynę, żeby go wyciągnąć. Jak nam to mówił, to przyjechała karetka i Ządkowskiego odwieźli na sygnale do szpitala do Peterborough. Zaraz spotkaliśmy tę Polkę z recepcji, która nas pierwszego dnia wpuściła na farmę, a która teraz twierdziła, że stała blisko karetki, jak go ładowali, i słyszała, że lekarze mówili, że jest w bardzo ciężkim stanie i nawet jeżeli z tego wyjdzie, to może być warzywem do końca życia – co potwierdzało wersję z bębniem osuszającym kapustę. W tłumie pracowników obserwujących odjazd karetki zaraz zaczęły roznosić się różne pomruki, szepty i plotki. Gdy rozchodziliśmy się z miejsca zdarzenia, zdążyłem już podsłuchać teorię, że podobno Ządkowskiego tak urządzili Tokarowie, bo kwestionował ważność jakiegoś zawartego z nimi zakładu, a takie numery z nimi nie przechodzą. Po powrocie do domku znowu usiedliśmy do flaszki ze współlokatorami, a Szukiego i Wano nadal nie było. Po kilku kolejkach do typa z rudym wąsem przyszedł jakiś kolega z jego

gangu i mówi, że OOO PANOWIE, WIDZĘ, ŻE WÓDKĘ PIJECIE, to my mówimy, że NO, a on mówi, że ALE MAM NADZIEJĘ, ŻE TO NIE OD TYCH LITWINÓW Z MAGAZYNU.

Dopytujemy, dlaczego nie, bo do tej pory z tej wódki wszyscy byli zadowoleni, a on zaczyna opowiadać, że przecież już wszyscy wiedzą, że to właśnie oni Ządkowskiego zabili, bo miał u nich podobno 400 funtów długu za ćwiartki-chwilówki, co brał na kredyt i nie spłacał, więc go tak załatwili, żeby jeszcze dać przykład innym. Ja się wkurwiłem i mu mówię, że idę na dwór zapalić, bo takie pan farmazony ciśniesz, że się nie da słuchać. Wychodzę przed domek, ale się okazuje, że zapomniałem ognia. Na szczęście akurat przechodziła ta para Rumunów z naszego gangu z pola, więc podbijam do tej panny, co mówiła po angielsku, i zagaduję, czy oni może nie mają, a ona na to, że owszem, mają, ale nie dla Polaków. Ja pytam, co im nagle się nie podoba w Polakach, bo jak robiliśmy w polu, to nigdy żadnych uprzedzeń ksenofobicznych nie wykazywała, a ona mi zaczyna pierdolić, że tego Polaka co zabili, to zabili za to, że jedną Bułgarkę próbował molestować i ona się poskarżyła swojemu bratu i on z kolegami tego Polaka tak urządzili. Ale że to dobrze, bo mu się zboczeńcowi należało, i Polacy sobie w ogóle za dużo pozwalają, bo myślą, że jak ich jest na farmie więcej, to są ważniejsi. Tłumaczę jej, co ty dziewczyno w ogóle wkręcasz, przecież robicie razem z nami w gangu i nikt was nigdy nie cisnął za to, że jesteście z Rumunii. Ządkowski był kanalią i szcurem i sami o tym dobrze wiecie, bo widzieliście, jak się zachowywał przy robocie, więc właściwie każdy go mógł tak załatwić, bo nikt go nie lubił. A zresztą najbardziej prawdopodobne, że sam się do tego bębna wpierdolił, bo może wbrew przepisom BHP włożył tam łeb, żeby popatrzeć, jak się kapusta kręci.

Jej najwidoczniej moja argumentacja nie przekonała, bo centralnie napłuła mi pod nogi, wzięła tego swojego chłopaka pod rękę i poszli dalej. No to wracam do domku jeszcze bardziej wkurwiony, niż byłem, bo nie dosyć, że nie zapaliłem, to jeszcze się nasłuchałem kocopołów. A w środku jeszcze gorzej, niż jak wychodziłem, bo Stomil już tym wszystkim naszym współlokatorom oraz przychodnemu gościowi od teorii z Litwinami tłumaczy, że on wie z pewnego źródła, że jak wszyscy nieśli Ządkowskiego do karetki, to jeden manadżer Anglik już latał ze szmatą i z maszyny na hali czyścił ślady, żeby nie było potem w sądzie dowodu, że miał miejsce wypadek na terenie zakładu i nie musieli płacić odszkodowania. Po prostu wszystkim kurwa coś padło na mózg, jak by były jakieś zawody, kto nagada większych farmazonów. Narzuciłem trochę szybsze tempo picia, bo naiwnie liczyłem, że uczyni to całą tę sytuację znośniejszą.

Było już jakoś koło północy, a sytuacja w naszym domku mimo wszystko raczej się nie zmieniła i ciągle są snute różne teorie, kto Ządkowskiego tak urządził i za co. Nagle z zewnątrz holendra słyszymy POWIEDZ KURWO JESZCZE RAZ, ŻE TO JA, NO POWIEDZ. Wyglądamy przez okno, a tam jeden z Tokarów napierdala jakiegoś zwolennika teorii, ŻE TO ON. Tamten typ już na ziemi, cała twarz we krwi, a Tokar go trzyma za kołnierz i dalej bije pięścią po twarzy, powtarzając NO POWIEDZ, ŻE TO JA. A tu nagle nie wiadomo skąd przybiega z 5 osób, wśród których kilka rozpoznałem jako ludzi od Tokarów z gangu, i zaczynają tego konkretnego Tokara w 5 napierdalać. Być może nawet nie o tyle w obronie tego typu leżącego na ziemi, co za wszystkie krzywdy wyrządzone przy pracy. W pięciu go od razu na glebę i na kopy po brzuchu, po głowie, po wszystkim. Wybiegamy przed domek, bo takie coś to trzeba zobaczyć z bliska, a tutaj z 10 metrów dalej jakaś Litwinka się z Bułgarką ciągną za włosy i wyzywają. Nagle z drugiej strony, dosłownie z 3 metry za naszymi plecami, z wnętrza sąsiedniego domku wylatuje przez okno krzesło – nie wiadomo do końca, z jakiego powodu, ale słysząc, że w środku też jest gruba awantura. Jeszcze dobrze nie rozkminiliśmy, co tam się dzieje, a tu pomiędzy nami przebiega jakiś typ z

koszulką zawiązaną na twarzy i prawdopodobnie kradzionym magnetofonem pod pachą, a goni go jakaś Hiszpanka krzycząc BANDIDO! BANDIDO!

Myślę, ja pierdołę, czy to ten słynny koniec świata? Ten dopiero jednak miał dopiero nadejść, bo nagle na terenie całej farmy włącza się alarm, a kilka osób zaczyna rozpaczliwie krzyczeć w różnych językach, że się pali – i faktycznie, od strony osiedla supervisorów leci dym. Biegniemy ze Stomilem na miejsce, a tam już dwie przyczepy całe płoną, a sąsiedni domek holenderski się właśnie od nich zajmuje ogniem. Część ludzi próbuje gasić jakimiś garnkami z wodą, ale w tym samym czasie ktoś łapie stojącego przed płonąca przyczepą grilla i z nim ucieka, ktoś zaczyna kogoś napierdalać za jakieś dawne nieporozumienia, a ktoś jeszcze inny z kopa wypierdala drzwi do zupełnie innej przyczepy i nawet nie wchodzi do środka, żeby ją okraść czy coś, tylko wypierdala je dla samego wypierdolenia i idzie dalej. Wracamy biegiem do naszego domku, żeby bronić własnego dobytku, skoro takie rzeczy już się na osiedlu dzieją. Alejkami biegają ekipy ludzi z koszulkami ponaciągany na twarze, zaczyna się plądrowanie, pożoga i lada moment pewnie jeszcze będą gwałcić, więc zapierdalamy byle szybciej do schronienia. Dobiegamy do swojego holendra, a tam nie wiadomo skąd wziął się Szuki i od razu do nas z mordą, czy my nie widzimy, co się dzieje, i żebyśmy łapali co się da z naszych rzeczy i spierdalali. Ja w rozpaczę pytam SZUKI, ALE GDZIE SPIERDALALI?!

A ZNASZ TAKIE POWIEDZENIE: KOWAL UKRADŁ, A CYGANA POWIESILI?
NO ZNAM.

No to ono się nie wzięło znikąd. Tak jak tutaj to się każdy pogrom zaczyna i za chwilę na pewno wyjdzie tak, że to wszystko jest wina jego i Wano, więc oni właśnie w tym momencie biorą swojego kampera i spierdalają do Polski, a jak nam życie miłe, to powinniśmy z nimi. Patrzymy się ze Stomilem po sobie i w ułamku sekundy się nawzajem zrozumieliśmy, że nasza kariera tutaj jest skończona, bo przecież po takich niepokojach społecznych to zajmie kilka miesięcy, żeby przywrócić fabrykę kapusty do pracy. Za darmo nam nikt nie będzie tygodniówki płacił, a dla jakiejś symbolicznej odprawy to nie ma co tu siedzieć i ryzykować życia. Złapaliśmy z domku hajs, dokumenty, dosłownie kilka ciuchów i biegniemy z Szukim do jego kampera, który zaparkowany był w części supervisorów, czyli tam, gdzie były najgrubsze zamieszki i jak się teraz biegło, to trzeba było rękami zasłaniać łeb, żeby czymś w niego nie dostać, bo w powietrzu latały różne przedmioty. Wano już siedzi za kierownicą z odpalonym silnikiem i macha do nas przez okno, żeby szybciej, a tu nagle w biegu mijamy klęczącego przed płonąca obok przyczepą kempingową pana Wojtka, kierownika naszego gangu. Myślałem, że może czymś dostał i dlatego jest na ziemi, więc go łapię za ręce i podnoszę, i wtedy widzę, że fizycznie chyba jest cały, ale psychicznie na pewno nie, bo płacze. Krzyczę do niego PANIE WOJTKU, CO JEST, ŻYJESZ PAN?! A on otarł łzy i mówi tak nawet dosyć spokojnie, biorąc pod uwagę okoliczności, że żyje, tylko w tej przyczepie mu się spaliły te wszystkie pieniądze, co przez 5 lat odkładał na emigracji. Domyśliłem się, że pewnie chował je do skarpety, bo miał uraz do banków po tym, jak mu cofnęli te kredyty na budowę stacji paliw przy drodze krajowej pod Łodzią. Tymczasem Szuki już stoi w drzwiach od kampera, a Wano za kierownicą drze mordę, że oni odjeżdżają. Sytuacja była patowa, bo nie chciałem pana Wojtka w takim stanie zostawiać samego, bo przez cały pobyt na farmie był dla nas bardzo dobry. W tym momencie podbiega Stomil i mówi NO PANIE WOJTKU, PAN TO JUŻ SIĘ TROCHĘ ZA DŁUGO NA TEJ EMIGRACJI NASIEDZIAŁ, CO NIE? I go normalnie za chabety wciągnął do Cyganów do kampera, ja wskoczyłem za nimi i długa.

**Z lewej na prawą,
z prawej na lewą**

Niestety nie mogę powiedzieć, że gdy tylko opuściliśmy teren farmy, to ogarnęła nas ulga, bo doświadczeni pokoleniami ciężkich, cygańskich doświadczeń życiowych Szuki i Wano mówili, że musimy jeszcze jak najszybciej wyjechać z UK, bo jak rano tam opadnie już dym nad pogorzelskiem i policja zacznie dochodzić, co i jak, to na pewno zaraz ktoś powie, że na farmie wszystko było dobrze, aż pewnego dnia przyjechało dwóch Cyganów i o, proszę teraz spojrzeć. Nerwowej atmosfery dodawało też to, że aby szybko dotrzeć do granicy, to Wano zapierdalał tym kamperem ze 120 na godzinę, co jest bardzo dużą prędkością jak na taki pojazd, szczególnie gdy trzyma się ręce skrzyżowane na kierownicy, która skręcała w złą stronę. Smutno było nam również z powodu pana Wojtka, który już 4 raz w życiu stracił wszystko, a na 5 to już mu chyba nie wystarczy czasu, więc tylko patrzył w milczeniu przez okno.

Do Dover dojechaliśmy około 4 nad ranem, gdy już powoli robiło się jasno. Przed wjazdem do portu, gdzie mieliśmy dostać się z kamperem na prom, jest jeszcze takie rondo, na którym ruch zmienia się z prawostronnego – angielskiego, na lewostronny – kontynentalny. Wjechaliśmy na nie, jesteśmy już w tym momencie, jak Wano powinien zmienić pas i wyjechać z drugiej strony ronda, po prawej stronie ulicy prosto na prom, ale tego nie zrobił, tylko pojechał dalej w kółko na rondzie, a potem znowu i znowu. Pytamy, ty mordo, co jest? A on spanikowany krzyczy, że nie wie kurwa, że nie rozumie, że tego wszystkiego jest już za dużo: bo to jest samochód na angielskie drogi, którymi jeździ się po lewej, a nie po prawej, ale kierownicę ma po prawej stronie, ale przełożoną przez kuzyna z Bristolu na lewą, ale jak się nią kręci w lewo, to skręca w prawo, a jak w prawo, to w lewo – no chyba że ma się skrzyżowane ręce tak jak on, to wtedy jednak odwrotnie, a tutaj jeszcze w dodatku musi się na rondzie przestawić się z ruchu lewostronnego na prawostronny. Szuki mu mówi, żeby się po prostu zatrzymał, na spokojnie sobie to wszystko rozkminimy. Na to Wano zamiast hamować to zaczyna przyspieszać, bo widocznie jego mózg nie był w stanie ogarnąć tylu przełożeń z lewej na prawą i z prawej na lewą i nogi też mu się pomyliły, więc wciskał gaz zamiast hamulca. Przejeżdżamy następne okrążenie ronda jeszcze szybciej, a następne jeszcze szybciej, a następne to już tak szybko, że opony zaczynają pisać i zaraz kurwa wylecimy z drogi i zginiemy. Wano w panice wykrzyczał swoje ostatnie słowa, które brzmiały KURWOOO JEBANOOOOO!!!, po czym uderzył pięścią w kierownicę.

Potem przez moment zrobiło się jakoś tak dziwnie cicho, coś zatrzęszczało pod deską rozdzielczą samochodu, a potem nagle wylecieliśmy z ronda prosto na drogę na prom, tylko jednym kołem zahaczyliśmy trochę pobocza, a samochód potem zaczął jechać normalnie, po prawej stronie ulicy, a jak się skręcało kierownicą w lewo, to jechał w lewo. Nie mam pojęcia, co zaszło w jego układzie mechanicznym. Pytaliśmy potem na promie Szukiego i Wano, co tam się wydarzyło, ale oni zbytnio nie chcieli o tym gadać i powiedzieli tylko bardzo ogólnikowo, że to są takie tam cygańskie sprawy. Swoją drogą to o niczym nie chcieli zbytnio gadać, bo byli mega spięci tym, czy jak koło 6 rano dopłyniemy z Dover do Calais, to francuscy pogranicznicy nas tam nie zawiną, bo może będzie już za nami list gończy z UK za rzekomy udział w spaleniu farmy kapusty, a może i zabójstwo Żądkowskiego. O tym, jak byli zestresowani, najlepiej świadczy fakt, że z nerwów w ogóle nie palili papierosów, chociaż wcześniej odpalali jednego od drugiego.

Ich obawy okazały się natomiast nietrafione, Francuzi sprawdzili tylko dokumenty pojazdu i nasze, które wszystkie okazały się w porządku – również pana Wojtka, który jako doświadczony emigrant zawsze nosił paszport przy sobie, więc nie spłonął on w pożarze jego przyczepy. Ci pogranicznicy nawet nie wchodzili do środka kampera, bo byli pewnie zjebani po całonocnej zmianie, tylko życzyli szerokiej drogi i nas puścili. Jak wyjechaliśmy z

przejścia granicznego, to wszyscy zrobili UFFFF. Cyganie nas pytają TO GDZIE WAS CHŁOPAKI PODRZUCIĆ HEHE, a ja mówię, że MNIE TO DO WARSZAWY HEHE, a Stomil mówi, że ojciec przed wyjazdem mu powiedział, że bez co najmniej kilku tysięcy funtów na doinwestowanie jego średnio łamane przez słabo prosperującego warsztatu blacharsko-lakierniczego to może się z powrotem nie pokazywać, więc że w tej sytuacji, wioząc ze sobą z emigracji jedynie 450 funtów, to on też jedzie HEHE DO WARSZAWY razem ze mną. Nawet pan Wojtek się rozchmurzył i tłumaczy Stomilowi, że z ojcem się jeszcze zdążą pogodzić, bo o pieniądze to się w życiu nie ma co kłócić i on teraz też już sądzi, że pomimo tego, że po raz 4 stracił cały majątek, to może jakoś sobie życie ułożyć, no nie wiem. Że kilkaset funtów mu się ostało w portfelu, to żeby może jego podrzucić do Krynicy-Zdrój, może tam kogoś pozna, zobaczymy.

W tym momencie z tyłu kampera otwierają się kurwa drzwi do kibla, zza których wychodzi pani Ządkowska, która nie wiem, jak w ogóle w swojej potężnej osobie do tej malutkiej toalety turystycznej się zmieściła, a co dopiero przeczekała tam dobre 5 godzin.

UFFF PANOWIE, SZCZĘŚCIE, ŻE CI FRANCUZI DO TEGO KŁOZETU NIE ZAJRZELI, BO JA WCZORAJ W PRZYPLYWIE EMOCJI CHYBA ZABIŁAM MĘŻA I JESTEM OBECNIE WDOWĄ, BYĆ MOŻE POSZUKIWANĄ. NATOMIAST JEŻELI PAN KIEROWCA I PAN WOJTEK NIE MAJĄ NIC PRZECIWKO, TO JA TEŻ BYM POPROSIŁA Z PANEM DO KRYNICY-ZDRÓJ.

Tak więc pan Wojtek pojechał w celu ułożenia sobie życia do Krynicy z panią Ządkowską, która jeszcze przed wyjazdem z Francji wróciła do panieńskiego nazwiska. Szuki i Wano pojechali do Cieszyna sprzedać kampera, a potem po kolejnego pod Hamburg, Leipzig, Bamberg czy gdzie ich tam poniosły dostatanie, niemieckie autostrady. My ze Stomilem pojechaliśmy do Warszawy, gdzie miał nas czekać dalszy ciąg wchodzenia w dorosłość, ale o tym to opowiem już innym razem, bo teraz i tak już za bardzo się rozpisalem i zrobiłem zbyt dużo dygresji, biorąc pod uwagę, że chciałem tylko opisać Dni Agrestu w miejscowości o liczbie mieszkańców 10 000–19 999.

Opieka redakcyjna: Maciej Makselon

Korekta: Małgorzata Kłosowicz, Maria Nowicka

Projekt okładki: Martyna Wójcik-Śmierska

Skład i łamanie: Katarzyna Piątek

Druk i oprawa: Interdruk, Warszawa

Książkę wyprodukowano na papierze Creamy,
dostarczonym przez (logo zign)

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 48, 02-672 Warszawa

tel. 22 828 98 08, faks 22 395 75 78

e-mail: biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN: 978-83-280-6637-3